

Jedi Adam
Upadek Jedi... Upadek Czlowieka...

Jedi Adam
Upadek Jedi... Upadek Człowieka...

ROZDZIAŁ 1

Coruscant, stolica, kolebka, źródło ludzkości i innych tego typu określeń używano w stosunku do jednej, jedynej planety, której koordynaty to 0-0-0. Od zarania dziejów międzygwiazdnych Coruscant była niekwestionowanym centrum władzy, prawa, historii i kultury. Otoczona chmurą satelitów, luster, skyhooków, stacji bojowych i przemieszczających się nieustannie wszelkiego rodzaju jednostek kosmicznych, rozbłyskująca niezliczoną ilością światła planeta przypomina pobrużdżoną kulę z metalu i betonu. Po dziesiątkach tysięcy lat rozwoju technicznego i ciągłego zamieszkiwania cała jej powierzchnia została pokryta budynkami na wysokość kilku kilometrów. Ocalały jedynie fragmenty czap polarnych i gór Manawai. Miliony ludzi i innych istot, zarówno inteligentnych, jak i całkiem bez rozumnych, żyły w tym wielopoziomowym, sztucznym labiryncie – od najbogatszych, zajmujących apartamenty dachowe i zakotwiczone nad powierzchnią skyhooki, do najbiedniejszych, gnieźdzących się na dolnych poziomach, gdzie już nigdy nie dotrze światło słoneczne.

Nieustannie trwało tam wyburzanie i przebudowa, a budynki stawały się coraz wyższe, co pociągało za sobą opuszczanie kolejnych dolnych poziomów. Królowały tam obskurne lokale, poniewierał się porzucony, zniszczony sprzęt, a stale panujący pół mrok bądź mrok krył ghule, granitosługi i rzesze mutantów wszelkich możliwych ras i ich kombinacji. W centrum planety-miasta leżała siedziba odwiecznych strażników pokoju – Świątynia Jedi. W jej wnętrzu w swojej prywatnej komnacie siedział wiekowy Mistrz Yoda. Nie wiadomo dokładnie, kiedy i gdzie się urodził ani u kogo pobierał nauki. Nie jest nawet pewne do jakiej rasy należy. Prawdopodobnie przynajmniej w części pochodziła ona od gadów o czym świadczy struktura zielonkawo-brązowej skóry i trójpalczaste kończyny zakończone pazurami. Stary Jedi będący od stuleci największym autorytetem w zakonie właśnie medytował. Siedział z podkurczonymi nogami i zamkniętymi oczyma. Skupił się tylko na Mocy. Czuł ją, jak go otacza i przenika. Nagle z szybkością pustynnej pantery z Tatooine nawiedziła go wizja ukazana dzięki Mocy. Widział planetę kompletnie mu nie znaną, lecz jakby znajomą. Była pełna zieleni, różnego rodzaju roślin, zwierząt i pełna jezior. W ogóle nie splamiona ręką cywilizacji. Zobaczył zwierze. Kształt jego nie przypominał mu niczego co dotąd widział, a przez wieki widział naprawdę dużo. Bestia ta miała z sześć metrów wzrostu, stąpała na ośmiu łapach zakończonych ostrymi szponami. Skóra koloru turkusy była pokryta pancerzem, wydającym się na bardzo wytrzymały. Cztery wielkie, ostre kły przykuwały wzrok. Z czubka głowy na długiej fałdzie skóry wystawało oko ostro fioletowe.

Potwór wyglądał na pana tej planety. Yoda nagle wyczuł płynący od zwierzęcia strach.

Niespodziewanie olbrzymi jaszczuropolodoby stwór wyłonił się z wody, bez problemu pożerając jednookiego potwora. Dreszcz go przeszedł po plecach jakby zaatakowała go fala cierpienia emanująca od umierającego zwierzęcia. Następnie nastąpiła ciemność, mroczna i ponura. Nagle krajobraz kompletnie się zmienił. Widział wielkie połacie gór, lecz nie były to góry pokryte śniegiem

jak na Hoth, ale pomarańczowe, suche. Skąły były pokryte bruzdami, jakby miały się zaraz rozpaść. Z przeciwnych stron szło dwóch rycerzy. Jeden odziany w jasny płaszcz Jedi z kapturem nasuniętym na głowę, tak iż nie można było rozpoznać twarzy.

Drugi miał taki sam strój z wyjątkiem koloru płaszcza, który był całkiem czarny. Yoda wyczuł rosnący spokój od jasnego rycerza i wielką koncentrację. „Strachu on nie zna” – pomyślał. Od mrocznego wojownika natomiast można było wyczuć gniew, krwiożerczy gniew, potrafiący unicestwić wszystko. W całkowitej ciszy dobyli mieczy świetlnych i rozpoczęli walkę. Wizja trwała dalej, lecz kierunek w jakim podążała zaniepokoiła starego Jedi. Rycerz w czerni zdobywał przewagę. Cięcia jego krwawo czerwonego miecza przepelnione gniewem i agresją odpychały przeciwnika. Sługa jasnej strony mocy dzielnie bronił się, parował jego ataki, lecz nie udało mu się wyprowadzić żadnego skutecznego kontrataku. Jeden w końcu mu wyszedł. Sparował cios ciemnego Jedi z góry, używając Mocy odepchnął go i przewrócił się. Czuł satysfakcję, że się udało, lecz nagle oblał go strach.

Mroczny Sith szybko wstał i wystrzelił błyskawice Mocy w kierunku swojego przeciwnika.

Czerpał siłę z strachu i cierpienia rycerza Jedi, który teraz leżał na ziemi krzycząc, czując tak straszliwy ból jakby się palił. Po chwili skończył rzucać błyskawice Mocy. Podszedł do człowieka leżącego i wijącego się w konwulsjach.

– Nie znasz potęgi Ciemnej strony Mocy... – rzekł taksującym i przeraźliwym głosem, aż jeszcze większy strach ogarnął leżącego Jedi.

Sith zamachnął się i zakończył żywot swojego wroga. Potem zobaczył już tylko dwie rzeczy.

Planetę z punktu widzenia orbity, bądź też oddalającego się statku I twarz człowieka... która zaczynała marnieć, niszczyć, jakby trawiona przez jakiegoś pasożyta. Ból, cierpienie emanowały od tajemniczej postaci. „Kim ona była?” – zastanawiał się Mistrz Jedi. Nagle planeta wybuchła tworząc nowe pole asteroidów.

Czy to była Wizja przyszłości czy też Widmo przeszłości?. Yoda ocknął się lekko zdezorientowany „Zastanowić się na tym muszę” – pomyślał. Wstał, wziął swoją niezastąpioną laskę i ruszył powolnym krokiem do wyjścia. Wyszedł na zewnątrz i skierował się do sali nr 4, gdzie właśnie miał odbyć lekcje z padawanami w średnim wieku. Nauczanie Jedi miało swoją wielowiekową tradycję i swoje prawa. Do szkolenia starano się wybierać dzieci w wieku około 5-6 lat. Nigdy nie zabierano dzieci wbrew woli rodziców i prawodawstwu danego państwa lub rządu. Wśród Jedi przeważali zatem przedstawiciele niższych warstw społeczeństw i bardzo niewielu było przedstawicieli establishmentu – dla dziecka farmera z Tatooine zostanie Jedi to olbrzymi awans, a dla dziecka senatora z Alderaanu – także, ponieważ bycie Jedi to ogromne wyróżnienie. Wybrane dzieci umieszczano na okres 9-10 lat w siedzibie Zakonu na Coruscant, gdzie podlegały wstępnemu szkoleniu i starannej obserwacji prowadzonej przez najlepszych mistrzów (najprawdopodobniej członków Rady). Po pierwsze miało to służyć znalezieniu jednostek, które z różnych względów nie nadawały się na Jedi, po drugie ocenie indywidualnych predyspozycji – ktoś w przyszłości będzie świetnym dyplomata, inny filozofem itp. Pod koniec tego okresu zaczynało się szukanie dla kandydata mistrza – musiał on zarówno specjalizować się w tym, w czym dany kandydat mógł być najlepszy, jak i mieć cechy osobowości, która pozwoli uniknąć konfliktów między uczniem i nauczycielem. Podobną rolę odgrywała Rada Jedi w sytuacji, gdy mistrz zginął przed ukończeniem szkolenia przez padawaną. Kandydat w wieku około 15 lat zostawał padawanem i przez około 10 lat jego mistrz przekazywał mu swoją wiedzę i umiejętności. W tym dokonywał on ostatecznej selekcji kandydata

i kiedy uznał, że padawan jest gotów, przedstawił go Radzie Jedi, która po pozytywnym przejściu przezeń prób nadawała padawanowi tytuł mistrza. Tak więc mistrzem Jedi zostawało się w wieku około 25 lat.

Czerń kosmosu... Pustka... Gwiazdy... To właśnie otaczało statek dwóch Jedi..

Młodego Arnita i jego Mistrza. Minęły lata od kiedy wyrwał się z swojego domu na Corelii...

Już był prawie dorosły. Odbывał właśnie podróż z swoim mistrzem Quell Perrem na Corelię.

Jedi nie powinni mieć powiązań z swoją rodziną, jednak czasem zdarzały się wyjątki. W sumie cieszył się, że spotka swoich bliskich. Młody chłopak był naprawdę utalentowany.

Opinia taka krążyła w zakonie od kiedy przyjęli go na szkolenie. Niestety teraz jest w wieku, kiedy ciemna strona najbardziej kusi... Czy będzie miał na tyle siły i mocy żeby się jej przeciwstawić? Arnit spał w swojej koi. Od około miesiąca miał koszmary. Mistrz mówił, że to tylko sny i nie powinien się przejmować, ale on nie mógł po tym co widział. Kiedy miał iść na spoczynek, kiedy miał zasnąć zawsze był przerażony. Wolałbym nigdy nie zaznać snu byle nie widzieć tych strasznych obrazów. Teraz sen powtarzał się jak co dzień. Był na pustynnej planecie... Szedł przez piaski w stronę jakiejś farmy. Widział w oddali znajdującą się tam kobietę, mężczyznę i chłopaka w dojrzałym wieku. Kiedy znalazł się blisko ujrzał w nich swoją rodzinę. Ojca, matkę i starszego brata. Ojciec wsiadł do speeder'a i udał się do portu na spotkanie w interesach. Chłopak czuł się szczęśliwy. W zakonie było mu bardzo dobrze, lecz w sercu, w jego głębi zawsze mu czegoś brakowało. Czy ojca? Czy matki? Tego nie wiedział młody jedi. Teraz jak ich widział, czuł, że ta pustka w środku znika... zamyka się tworząc całość. Jednak ta chwila szczęścia długo nie będzie gościć w sercu młodzieńca.

Chwilę później znikąd pojawiła się grupa osób. Czy to byli ludzie czy też przedstawiciele innych ras? nie było wiadomo. Odziani w srebrne zbroje i hełmy tegoż samego koloru byli nie do rozpoznania. Jeden z nich się wyróżniał. Wydawał się ich przywódca. Jego zbroja była koloru czerwono-białego, a u pasa zwisała srebrna rękojeść. Wyglądali niczym rycerze z jakiejś baśni dla małych dzieci, opowiadane żeby marzyły tylko o kosmicznych bitwach.

Arnit patrzył na nich chwile, gdy nie spodziewanie usłyszał krzyk swojej matki. Zobaczył jak się dusi... jej usta z braku tlenu zrobiły się sine... nie mógł nic zrobić... sparaliżowany strachem nie mógł nawet zrobić kroku. Spojrzawszy na stojącą nieopodal grupę ujrzał gest człowieka w czerwono-białej zbroi... Charakterystyczny gest o jakim czytał w archiwum Jedi... gest istoty używającej ciemnej strony do zagłady ludzkiego życia. Chłopak poczuł gniew, tak silny, tak niewyobrażalnie potężny... Wiedział, że jest to prosta ścieżka ku ciemnej stronie, ale w tej chwili było mu wszystko jedno. Matka chłopców w agonii padła na ziemię...

pośmiertne drgawki jeszcze szamotały jej ciałem.. Brat jedi podbiegł i krzyknął „Mamo otwórz oczy, mamo” Żadnej reakcji... Jednak to nie koniec tragedii. Chłopak wziął leżący nieopodal kij i z furją w sercu ruszył na napastników. Ci jednak nie wzruszeni desperackim atakiem młodzieniaszka, wystrzelili kilka razy z nastawionych na ogłuszanie blasterów i go zabrali. Arnit stał, patrzył i nic nie mógł zrobić. Przepelniała go czysta frustracja i przeraźliwy strach. Strach, uczucie popychające każdego Jedi ku ciemnej stronie Mocy. Śmierć, życie czym one są... Czemu nawet Jedi nie może tego powstrzymać?!?! – krzyknął w duchu. Łzy zaczęły mu spływać po policzku. Ogarniał go smutek i gniew. Uczucie, które ku jego zdziwieniu dało mu siłę, niespotykaną Moc. Jednak sith go widział... i w sercu miał ogromną radość ze strachu chłopca... czerpał z niego siłę... czerpał z niego swoją Moc... Strach chłopaka był jego największym sprzymierzeńcem... Podszedł do niego i rzekł

głosem jakby czystego zła, śmiejąc się:

– Jedi... Nic nie poradzisz... Twoje przeznaczenie jest kroczyć tą ścieżką... twoje przeznaczenie jest połączone z moim... Patrz...

Arnit spojrział na matkę... wyglądała jak anioł otulony błogim snem. Nagle jej skóra zaczęła odpadać. Szybciej... coraz szybciej, aż po chwili było widać kości... Tylko jej twarz niczym nie zrażona nadal wyglądała jakby należała do anioła podczas snu... Gniew... nienawiść... te emocje wlały się w serce chłopaka z niewiarygodną siłą... Mężczyznę w zbroi wydał z siebie przeraźliwie szyderczy śmiech. Chłopak padł na kolana... łzy poczęły mu spływać po policzkach wprost na piasek, który już od dawna nie czuł na sobie wody. Sprzeczne ze sobą emocje kołatały się w sercu młodego Jedi. Od nienawiści poprzez radość, aż do niewiarygodnego cierpienia i bólu. Spojrział z wielką nienawiścią na mężczyznę, którego chciał w tej chwili zabić. Ten mu rzekł śmiejąc się:

– Spotkamy się niedługo!! – i zniknął tak niespodziewanie jak się pojawił.

Nagle z czterech stron świata zaczęły biec pustynne jaszczury zwane Prizepy.

Jaszczury koloru Pomarańczowo-Błękitnego o kłach ostrych jak szpony były postrachem ludzi mieszkających na pustyni. Ich cztery pary dwudziesto centymetrowych kłów robiły nie lada wrażenie... Rzuciły się na zwłoki matki chłopca... Jedi poważnie zdenerwowany wziął miecz świetlny i chciał go zapalić ale nic nie mógł poradzić. Miecz nie działał. Nie wiedział dlaczego, ale słyszał znowu przeraźliwy krzyk matki, której resztki były pożerane przez żarłoczne bestie... Krzyk ten wdarł się do jego wnętrza rozdrabniając serce na kawałki... Stał się tak głośny, tak przeraźliwy, taki pełny cierpienia, że młody Jedi nie mógł tego znieść i padł na ziemię...

Jedi obudził się z krzykiem cały oblany potem. Powtarzał sobie w myślach „to tylko sen”. Położył się i rozmyślał. Czuł w głębi strach, że ten sen może się sprawdzić. Jednak już nie spał. Nie chciał ponownie przeżywać tego samego koszmaru...

Mężczyzna otworzył oczy. Oślepiający biały kolor ścian. Tylko to widział wokoło.

Nic nie pamiętał, ani kim był, ani gdzie jest, ani też skąd się tu wziął. „Co ja tu obie?” zastanawiał się. Leżał i rozmyślał szukając w głębi swojej pamięci informacji, które by mu powiedziały kim jest. Dawano mu dwadzieścia kilka lat... Miał długie kruczo czarne włosy zwinięte z tyłu opaską. Na twarzy miał zarost, o który dbał wiele miesięcy, by wyglądał odpowiednio dystygowanie. Był nie wielkiej postury. Smukły, pozornie wyglądał na słabego człowieka. Nagle ściana się otworzyła i do środka weszła Kalamiarianka z grupą mężczyzn nie znanej mu rasy. Zaczęła wypytywać o swoją tożsamość, ale żadne słowo się nie wydostało z jego ust, więc żadnej odpowiedzi nie otrzymał. Dostał zastrzyk i czym prędzej stracił przytomności. Jedyne co usłyszał to trzy litery, które wbiły mu się głęboko w pamięć...

K I D.

Moc... Mistyczne pole energetyczne wytwarzane przez wszystko co żyje... otaczające i przenikające wszystko i spajające całą galaktykę. Jak w przypadku każdego pola tego typu, dostęp do niego otwiera się dzięki znajomości odpowiednich technik. Właśnie znajomość technik, ale przede wszystkim podatność na wyczuwanie tej wszechobecnej energii daje Rycerzom Jedi ich siłę oraz możliwości. Żeby ją wykorzystać muszą oni ją poczuć wokół siebie, jak ich przenika, jak spaja z całością wszechświata, której to istotnie są częścią.

Istnieją dwie strony Mocy. Pierwsza to normalna zwana także Jasną lub po prostu Mocą.

Istotom służącym i wykorzystującym tą stronę Mocy towarzyszy odpowiednia filozofia i styl życia. Związana jest ze spokojem, wiedzą, dobrocią i uczciwością. Zakon Jedi i jego przedstawiciele

są właśnie takimi orędownikami i strażnikami pokoju we wszechświecie.

Jednak jak wszystko tak i moc ma drugą stronę. Jest to Ciemna strona, przywołana przez strach, złość i agresję. Wyznają ją upadli Jedi pragnący władzy... i innych niby ludzkich pobudek. Obie są częścią odwiecznego naturalnego porządku rzeczy. Dzięki mocy Rycerze Jedi mogą widzieć odległe miejsca i wydarzenia, a także dokonywać rzeczy powszechnie niemożliwych dla przeciętnych istot.

Arnit z Corellii właśnie dolatywał swoim statkiem do ojczystej planety. Corellia – planeta zwana przez mniej rozwinięte rasy po prostu Korelią. Stąd różnice w pisowni. System pięciu zamieszkałych planet jako jeden z pierwszych został członkiem Starej Republiki. Bez żadnych problemów wylądowali w głównym porcie. Mistrz Jedi udał się do władz, w celu w jakim tu przybył. Swojemu młodemu uczniowi pozwolił odwiedzić rodzinę. Chłopak czuł się lekko zdenerwowany. Nie widział swoich bliskich wiele lat. Mieszkali oni w Coronet, stolicy Corelli, leżącej nad złotymi plażami. Miasto dobrze rozwinięte o wysokich budowlach w kształcie słupów. Po kilku minutach dotarł do domostwa, gdzie się urodził. Czuł dziwne podniecenie, zmieszane z obawą. „Mam dziwne przeczucie” – pomyślał. Podeszedł do drzwi.

Tylko ten kawałek transparistali dzielił go od spotkania z rodziną. Zadzwoił i odczekał chwilę, aż ktoś otworzy. Nagle drzwi się otworzyły. Zdziwiony chłopak na wszelki wypadek chwycił rękojęść miecza świetlnego i trzymał ją w pogotowiu. Wszedł do środka omiatając pokój szybkim spojrzeniem. Nikogo nie było, w całym mieszkaniu panował bardzo wielki nieład. „Co tu się stało?” – pomyślał. Niespodziewanie oblał go strach... oczom jego ukazały się istoty w srebrnych zbrojach. Istoty z jego koszmaru. Chłopak ze zgubnym dla niego gniewem włączył miecz świetlny, który po chwili padł na ziemię wraz z nieprzytomnym Jedi.

Stało nad nim trzech mężczyzn odzianych w zbroje z durastali pomieszanej z nieznanymi jeszcze materiałami. Wydawały się trwałe i ciężkie, ale oko może mylić równie dobrze jak słowa. Zbroja istotnie była trwała i prawie niezniszczalna, ale dzięki kilku modyfikacjom nosiło się ją niczym zwykłe ubranie. Jeden z tajemniczych napastników miał podręczny blaster, którym potraktował nieprzytomną już ofiarę.

– Zabierzmy go na statek i w drogę. Czekają na nas... – rzekł jeden z napastników.

Wzięli razem bezwładne ciało i ukryli je w zgniatarce śmieci i wyszli wraz z nią udając się w kierunku portu.

Popularne przysłowie głosi, że każdy zrezygnowałby ze wszystkich skarbów w zamian za wszystkie diamenty Arkanii, co dokładnie odzwierciedla powszechne mniemanie o planecie, na której górnicy wydobywają kamienie we wszelkich odmianach i rozmiarach – od malutkich, w sam raz na pierścionek, po gigantyczne, wielkości melona. Arkania stanowi bowiem marzenie jubilera, a to za sprawą zamieszkującej ją humanoidalnej inteligentnej rasy wyróżniającej się mlecznobiałymi oczyma i czteropalczystymi dłońmi o palcach zakończonych pazurami. Rasa ta ma szczególny talent do manipulowania nauką i techniką, a efektem jednej z owych manipulacji są diamenty. Z tej właśnie planety pochodził jeden z największych Mistrzów Jedi – żyjący ponad cztery tysiące lat przed Bitwą o Yavin – Arca Jeth. Oprócz wiedzy i mądrości Mistrza Jedi Arca posiadał do perfekcji opanowaną sztukę wpływania na morale i koordynację każdej armii, znaną jako medytacja bojowa Jedi. Przez wiele lat aktywnie pomagał Republice, na przykład w czasie Wielkiej Rewolty Droidów na Coruscant, a potem powrócił na Arkanie, gdzie zajął się kształceniem przyszłych Rycerzy Jedi. Za najlepsze do tego celu miejsce uznał okolice z dala od najstarszej z kopalń diamentów – uczniowie mieszkali w domu, ale medytowali w jurtach, słuchali nauk przy ognisku i uczyli się ciosów od

arkaniańskich smoków, doskonaląc sztukę walki mieczem świetlnym w ćwiczeniach z droidem pojedynkowym. Mistrz Arca wybrał sobie trzech uczniów – braci Ulica i Cay'a Qel Dromów oraz Totta Doneeta z rasy Twi'lek.

Najzdolniejszym okazał się Ulic, który, niestety, potem źle skończył.

Gdy wszyscy trzej zostali Rycerzami Jedi, Arca wysłał ich na pierwszą misję – mieli zakończyć wojnę domową szalejącą od lat na planecie Onderon. Jednak w trzy dni po ich odlocie Arca musiał opuścić planetę i pospieszyć im z pomocą, w efekcie której wojna rzeczywiście została zakończona. Mistrz zginął potem podczas wielkiego zebrania Jedi, zabity przez droida bojowego nasłanego przez Krath. Umierając, powiedział Ulicowi, iż

odnalazł go wróg znający jedynie ciemność, podczas gdy on zna także światło.

Z tej właśnie planety wracała szczęśliwa kobieta. Otóż udało się dokonać rzeczy dotąd uważanej za trudną, a wręcz za niemożliwą. Okradła arkanian z ich największego skarbu, będącym jednocześnie jednym z najlepszych osiągnięć ich techniki. Mowa tu o diamencie.

Jednak nie jest to zwykły diament. Klejnot ten był większy niż inne, o średnicy około 70 centymetrów. To nie wszystkie zalety owego marzenia jubilera. Otóż czystsze i piękniejsze w samej swojej istocie diamentu nie widziała wcześniej galaktyka. Jest to istnie dzieło sztuki. Dziewczyna natomiast pochodziła z planety Coruscant będącej od początku stolicą Republiki. Akinoma Ikiv bo tak brzmiało jej imię była młodą kobietą o jasnej lekko zarumienionej karnacji. Jej oczy koloru czerni kosmosu, dobrze się komponowały z krótkimi czarnymi włosami. Z twarzy wydawała się piękna, bił od niej pewien blask dobra i ciepła, co w połączeniu z jej wybuchowym charakterem dawało niespodziewanie intrygujący rezultat. Cieszyła się z odniesionego sukcesu. Skończyła wklepywać do komputera koordynaty skoku w hiperprzestrzeń i już tylko sekundy dzieliły ją od spokoju. Nagle coś zatrzęsło jej statkiem. „Pościg” – pomyślała lekko zdenerwowana. Rzucając okiem na komputer dostrzegła, że cztery statki klasy Z-95 Łowca Główny szybko podążają jej śladem.

Wiedziała, że to dopiero początek i że na pewno już startują kolejne statki z planety. Jej astrometryczny robot klasy R2D4 dał jej wiadomość na którą czekała. Może skakać w hiperprzestrzeń. Jednak najpierw musi coś zrobić z pościgiem. Zrobiła ostrą beczkę myśliwcem do tyłu wsiadając na ogon jednego z ścigających ją statków. Wzięła go na cel i bez żadnego skrupułu odruchowo nacisnęła spust. Zobaczyła jak czerwone promienie jej działek docierają do wroga, wpięrk uszkodzając lewe skrzydło, potem działko, a na koniec trafiając w silnik, co spowodowało wielką eksplozję. Niestety dla Akinomy reszta nie spała i strzelała do niej nie zwracając uwagi na śmierć towarzysza. Dziewczyna była doskonałą pilotką, ale nawet jej nie udało się wyminąć wszystkich strzałów. Najpierw kompletnemu zniszczeniu uległ R2D4, a potem jej statek był prawie nieuzbrojony. „Zaryzykuje” – stwierdziła i przesunęła dźwignie napędu nadprzestrzennego. Skoczyła prawie na ślepo...

Tymczasem na Corelli Mistrz Jedi Quell Perr skończył swoje zadanie i udał się do portu na spotkanie ze swoim uczniem. Coś go niepokoiło. Jednak nie wiedział co. Czekał w statku kilka godzin, poważnie się martwiąc. Uczeń spóźniał się już dłuższy czas. Zdecydował się sprawdzić czy nie ma jakiś wiadomości na holonecie. Senat Starej Republiki zlecił kiedyś budowę sieci łączności holograficznej, obejmującej całą zamieszkaną galaktykę, by umożliwić wolny przepływ informacji, bez opóźnień czasowych, między planetami należącymi do Republiki. Do tej pory używano droidów łącznościowych, mogących podróżować w nadprzestrzeni, albo przekaźników laserowych. Te ostatnie jako tanie i wystarczające, są nadal podstawą łączności wewnątrz systemowej lub takiej,

która obejmuje systemy sąsiadujące, gdzie opóźnienia wynikające z prędkości rozchodzenia się światła nie są duże. HoloNet używa setek tysięcy nadajniko-odbiorników, tworzących sieć łączności, wykorzystującej znane trasy nadprzestrzenne. Przesyłanie informacji odbywa się za pośrednictwem licznych przekaźników, komputerów i dekodatorów, co daje prawie natychmiastową obustronna łączność. Niestety niezbyt zaskoczony znalazł zakodowaną wiadomość o bardzo krótkiej treści: „Twój uczeń nie żyje, wynoś się z Corelli”. Mistrza z podopiecznym zawsze łączyła specyficzna więź, potęgowana przez Moc. Temu też wiedział, że jego Padawan żyje, lecz nie posiadał wiedzy gdzie był i co się z nim stało. Po chwili namysłu zdecydował się powrócić czym prędzej na Coruscant, udać się do Świątyni Jedi w celu poinformowania o zaistniałej sytuacji oraz zasięgnięcia rady co powinien czynić dalej.

Rex był młodym obiecującym padawanem. Ten chłopak pochodził z systemu Corell, zwanego powszechnie corelliańskim. To pięć zamieszkałych planet i bardzo stara stacja zwana Centerpoint. Od dawna krążyły pogłoski, że jest to sztuczny twór, ale ten temat zajmował wyłącznie wąskie grono naukowców. Wszystkich pozostałych interesował handel, przemysł, interesy i olbrzymi przemysł stoczniowy, stanowiący własność Corelian Engineering Corporation, czyli CEC.

Rex siedział teraz w sali treningowej, gdzie wraz z Kalamarianinem Rablanem podwyższali swoje umiejętności władania mieczem świetlnym – ostrzem czystej energii używanej przez Rycerzów Jedi i Sithów. Może on przeciąć prawie wszystko prócz innego miecza. Niestety by posługiwać się nim efektywnie wymagane są lata ćwiczeń. Każdy miecz świetlny jest tworzony jako część treningu Jedi i posiada unikalne elementy konstrukcyjne.

Energia miecza świetlnego jest produkowana przez kilka kryształów połączonych ze źródłem mocy umiejscowionej w uchwycie miecza. Skonstruowanie miecza laserowego to jedno z trudniejszych zadań jakie uczeń-jedi musi wykonać podczas treningu. Kiedy sekret budowy zostanie już ujawniony padawanowi, budowa wraz z modyfikacją miecza może zająć ponad miesiąc. Pamiętać trzeba jednak, że doświadczony Jedi w sytuacji kryzysowej potrafi zbudować nowy miecz w zaledwie kilka dni. Miecze Światłne są na pozór łatwe w budowie.

Rękojeść ma zwykle długość od 24-30 cm. To w niej umieszczone są jednostki energetyczne oraz jeden do trzech wielościanowych kryształów Adegąńskich. Te wypuszczając ją przez wklęsły dysk na końcu rękojeści jako wąską i stabilną kolorową wiązkę światła i energii o długości około 1 metra. Kiedy są włączane, miecze laserowe syczą uwalnianą energią. Miecz z jednym kryształem ma ustaloną amplitudę i długość ostrza. Jedi którzy posiadają wiele kryształów Adegąńskich mogą, poprzez pokręcanie zewnętrznej kontrolki na rękojeści miecza zmieniać amplitudę miecza oraz jego długość. Jako dowód szacunku, wielu młodych Jedi konstruuje swe miecze na wzór mieczy swych mistrzów. Chociaż Jedi uczą się walczyć mieczami od wczesnych lat. Są one stworzone domyślnie, aby odbijać strzały z blasterów i innych tego typu zagrożeń. Z powodu wyginięcia Sithów od ponad tysiąclecia, tylko naprawdę zręczny Jedi może zmierzyć się z innym przeciwnikiem uzbrojonym w miecz świetlny. Mimo to młodzi Jedi uczeni są, by ich umysły podczas waki stanowiły jedność z ciałem i Mocą. Tradycyjnie, miecze świetlne o podwójnym ostrzu są używane podczas treningu Jedi, chociaż takich mieczów jest zaledwie kilka, a jeszcze mniej Rycerzy Jedi używa ich do walki. Częściej słyszano o Jedi używających 2 mieczów naraz. Taki przypadek w historii był powiązany z osobą Exara Kuna.

Słychać było tylko charakterystyczny odgłos stykających się mieczy. Rablan był dobrym

szermierzem, jednak pod względem umiejętności jego przeciwnik znacznie go przewyższał. Rex wyprowadził swoim błękitnym mieczem świetlnym cięcie z lewej, na co przeciwnik zaskoczył go skutecznym blokiem i natychmiastowym kontratakiem z pół obrotu.

Niespodziewający się takiego obrotu walki nie przygotował dobrego bloku i impetu ciosu Kalamarianin przewalił go na ziemię. Rablan już zamachiwał się, żeby odebrać mieczem oręż z ręki, gdy Jedi z Corelli, dzięki Mocy, zrobił błyskawiczny odskok. Żółta broń świetlna jego sparing partnera przecięła tylko powietrze. Rex Natychmiast zadał serie ciosów to z lewej to z prawej zmuszając go do totalnej defensywy. Zakończył pojedynek mocnym zamachnięciem z lewej, jak uczył go Mistrz Obi-Wan Kenobi, pozbawiając go narzędzia treningu i powalając na ziemię. Zdyszany podniósł Rablana i podziękował za trening.

– Jesteś coraz Lepszy Rex – wydyszał Kalamarianin.

– Dzięki! Jednak do Mistrza Windu czy Yody dużo mi brakuje... – zażartował.

– Chodźmy zobaczyć na sale nr 3, podobno Mistrz Ki-Adi Mundi wraz z Lefem Indun dają pokaz szermierczego kunsztu.

Wstali i praktycznie biegle, żeby się nie spóźnić na pokaz. Chwilę później dotarli do celu. Ku ich zdumieniu ujrzeli nawet niezły tłum młodych padawanów, a także świeżo upieczonych rycerzy i zaciekawionych pokazem mistrzów. Mistrz Lefem Indun pochodził z Kalabry, planety o umiarkowanym klimacie i słabo rozwiniętym przemyśle, położonej w pobliżu najważniejszych systemów Środkowych Odległych Rubieży. W posługiwaniu się mieczem świetlnym był bardzo dobry. Jednak to jego łączność z Mocą czyniła go wyjątkowym. Potrafił wykorzystywać ją podczas pojedynku. Ki-Adi-Mundi pochodził natomiast z rajskiej planety Cerea. Był także dobrym szermierzem, jednak lepiej sobie radził ze słowami niż z mieczem.

Dwaj Jedi stali naprzeciwko siebie z bronią w dłoniach. Jak na zawołanie równocześnie nacisnęli guziki wysuwające ostrza, które wyłoniły się z sykiem. Pokaz się rozpoczął...

Akinoma Ikiv wyskoczyła z nadprzestrzeni w charakterystycznym pseudo-ruchu.

„Ciekawe gdzie jestem?” – zastanawiała się czując wielką ulgę, że nie pojawiła się pośrodku pola asteroidów, gdzie niechybnie by zginęła. Ucieszyła się jak zobaczyła na komputerze napis System Y'toub z planeta Nal Hutta w centrum Nal Hutta jest planetą położoną w centrum Przestrzeni Huttyjskiej, a Nar Shaddaa to jej księżyc, zabudowany wielopoziomowo i zamieniony w wielki port kosmiczny. Bardziej znany był jako Księżyc Przemysłowców, ponieważ od wielu lat był oazą dla piratów, przemysłowców, handlarzy bronią i wszelkiego innego śmiecia galaktyki. Dziewczyna nie czekając na nic udała się na Nar Shaddaa, gdzie odda do naprawy statek i pójdzie się odpocząć w jej ulubionej kantine „Zdechły Vrbllther”.

Nazwa kantyny pochodzi od humanoidalnych istot polujących na dolnych poziomach księżycy portu, ponieważ uważają je za swoje terytorium. Wylądowała w porcie i zgrabnie posadziła swój statek na zarezerwowanym miejscu. Idąc spotkała Shuba Xar, przyjaciela z przed wielu lat, z którym przeżyła wiele przygód, a który był doskonałym mechanikiem i stworzył tutaj w rajku dla tego fachu warsztat, gdzie spokojnie sobie żyje z Danni swoją żoną.

Był on człowiekiem średniego wieku, o łysawej głowie i dobrotliwej szczupłej twarzy.

Charakterystyczne w jego wyglądzie była blizna pod lewym okiem i brak dwóch przednich zębów, przez co trochę seplenił.

– Jak tam idzie interes? – spytała Akinoma – Znakomicie... ostatnio mam masę roboty...te silniki

z Damorian Manufacturing Corporation ostatnio szwankują... Później pogadamy mam masę roboty...

Kobieta pożegnała się i udała wolnym krokiem do kantyny. Idąc wolnym krokiem spotykała istoty najrozmaitszych ras, od Gamoreanów, przez Drylli po nawet Barabelli. Jednak jej uwagę przykuły dwie istoty, dziwnie wyglądające i jakby się jej przyglądające. Jeden to człowiek z opaską na oczach, ślepiec i jego przewodnik wielki Thrill z sześcioma parami oczów, oraz błękitnej jak morze skórze. Nie myślała, że jest to istotne więc spokojnie weszła do wnętrza kantyny. Od razu na wejściu zaatakowała ją woń różnorodnych istot z wielu rejonów galaktyki.

Rozejrzała się spokojnie po całym pomieszczeniu. W lewej części zobaczyła grupę ludzi i Chubbitanów z Arridus palących błyszczystym albo jakąś inną przyprawę, o którą w tym rejonie nie było trudno bo przecież głównymi jej dostawcami tego w galaktyce byli Huttowie.

Towarzyszył temu bardzo charakterystyczny zapach, którego chyba przemytniczka nigdy nie zapomni. Byli tam Wookie, ludzie, Selonianie, kilku Dralli, Ugnaut, dwóch Gotalów i wiele innych istot. Zobaczyła swoje znajomego młodego przemytnika Talona Karrde rozgrywającego partie Sabacca z czterema innymi osobami. Gra się w nią elektronicznymi kartami, których wartość zmienia się przypadkowo podczas gry. W talii znajduje się siedemdziesiąt sześć kart w czterech kolorach: szable, flaszki, monety i kije. W każdym z kolorów jest jedenaście kart numerowanych od 1 do 11 oraz cztery funkcyjne od 12 do 15, a są to: Komendant, Pani, Mistrz i As. Jest także szesnaście kart obrazowych. Jeden z graczy, po rozdaniu kart uruchamia wmontowany w stół generator impulsów, powodujący zmiany rozdanych kart. Celem tej gry jest zdobycie dwudziestu trzech punktów, zanim położą się karty na stole. Tylko wtedy przestają zmieniać swoją wartość dzięki polu wygłuszającemu.

Osiąga się to blefując, stawiając i wymieniając karty. Są dwa sposoby wygrania: „czysty sabacc”, czyli zebranie dwudziestu trzech punktów w kartach, oraz „zestaw idioty”, składający się z karty „idioty” i dwóch kart, o nominałach dwa i trzy. Niektórzy gracze oszukują za pomocą tzw. Skiftera, czyli karty zmieniającej wartość na znaną graczowi, kiedy przyciśnie on narożnik karty.

Nagły okrzyk Talona dał jej do zrozumienia, że udało mu się ograć przeciwników.

Łowca nagród Lotap Kerr z którym grał, podejrzewał oszustwo. Sięgał już po blaster, żeby odzyskać przegrane pieniądze. Ludzie Karrde byli czujni. Z tyłu do niego podchodziło dwóch błękitnoskórych Lowwinów i Wookie imieniem Lelobacc. Lowwini byli zwykłymi pionkami nie wartymi nawet blastera, natomiast Lelobacc, Wookie z Kashyyyk był wartościowym pracownikiem dla Karrde. Był on ochroniarzem przemytnika. Lotap widząc co się szykuje wolał jednak nie ryzykować strzelaniny i załatwić to walką wręcz. Gdy dwaj błękitnoskórzy podeszli do niego od tyłu, on wstał i szybkim ruchem rozbił krzesło na jednym i silnym ciosem powalił drugiego. Niestety z Wookiem tak łatwo nie pójdzie, więc Lotap szybko uciekł z kantyny, wiedząc, że nie ma w tej chwili szans. Akinoma zaśmiała się do siebie na widok starych dobrych znajomych. Idąc w stronę swojego stolika natknęła się na człowieka.

Był on bardzo szpetnej urody, z blizną idącą przez lewe oko. Mężczyzna chciał coś do niej powiedzieć, lecz szybko podszedł do niego ciemnoskóry ubrany w szykowny strój, idący razem z najnowszą modą, a na jego plecach ujrzyć można było pelerynę. Podszedł do dziewczyny:

– Witaj Piękna nieznajoma! Ten człowiekiem imieniem Kiran chciał ci postawić Aldeeriańskie Piwo jednak pomyślałem sobie, że nie ma w sobie tyle czaru i taktu co ja więc go odwiodłem od tego pomysłu – rzekł mężczyzna obdarowując ją jednym z swoich najbardziej czarujących uśmiechów.

– Dziękuję! Nie pijam Aldeeriańskiego piwa... może innym razem – próbowała mu dać do

zrozumienia, że nie ma ochoty na rozmowę.

– Jednak nalegam... Rozumiem Aldeeriańskie piwo to kiepski trunek... Hmm...

Proponuje jakikolwiek trunek sobie życzysz... A do tego mam bardzo ciekawą ofertę, o której chciałbym porozmawiać...

– Dobrze... Skuszę się... – odpowiedziała zaciekawiona Akinoma.

Udali się do jej stolika i usiedli. Dziewczyna zamówiła jeden z najdroższych dostępnych napojów, a mianowicie Marushańskie wino z Kewer. Napój o smaku nie do opisania był gratką dla ludzkiego podniebienia. Akinoma należała do amateerek tego typu napitek, więc ucieszyła się, że mogła znów się napić czegoś lepszego od Corelliańskiego koniaku czy straszego, obrzydliwego Gamoreańskiego bimbru. Kiedy siedzieli coś przykuło znów jej uwagę. Ponownie ujrzała patrzących na nią: ślepego człowieka i sześciookiego Thrilla. „Co jest?” – zastanowiła się. Nagle dwie istoty znikły. Wprawiło to w wielkiego osłupienie i zdezorientowana dziewczyna wzięła łyk wina i kontynuowała rozmowę.

– Droga Akinomo... Chciałbym od ciebie odkupić twój nowy skarb. Jaką cenę proponujesz?

– Jaki skarb?? – spytała podejrzliwie dziewczyna.

– No Diament z którym tu przybyłaś... Wiem, że najlepszym przyjacielem dziewczyny jest jej diament, ale bardzo chciałbym Cię odciążyć od tego.

Proponuję sto tysięcy...

– Hmm... – zamyśliła się nad ceną która niestety nie była zbyt wysoka, wzięła głęboki wdech – Za mało... przyjaciół tanio nie sprzedam... – dodała uśmiechając się.

– Widzę, że z ciebie twarda negocjatorka... – zaśmiał się – jeden milion, myślę, że to dobra cena...

– Zgadza się... – ucieszona dziewczyna podała rękę mężczyźnie na znak dobicia interesu i dodała – Spotkajmy się za dwie godziny w hangarze nr 4. Dostaniesz swój skarb.

Mężczyzna uprzejmie z gracją podziękował, dopił Marushańskie Wino i udał się do swojego statku. Dziewczyna po godzinie siedzenia i rozmowie z Talonem udała się do portu, żeby przygotować wszystko do transakcji. Kiedy już docierała do celu zastąpiło jej drogę pięć istot, w tym dwóch ludzi i trzech roślących Gamoreanów. Zrobiło się jej nie dobrze jak spojrzała na ich obrzydliwe, podobne do świń mordy.

– Podobno masz całkiem ładny klejnot... Daj nam go... teraz – rzekł przywódca grupy najuprzejmiej jak potrafił.

– Nic wam nie dam nerfi odchodzie – odrzekła.

Wyciągnęła blaster i zdążyła wystrzelić w stronę największego Gamoreana, który raniony w pierś padł na ziemię. Silnym uderzeniem nogą w rękę rozbroił ją najbliższy napastnik, o drazu zadając mocny cios w szczękę. Akinoma upadła na kolano i aż jęknęła z bólu. Kiedy podniosła się analizując sytuację i opracowując taktykę walki, dostała kopniakiem w głowę.

Upadła nieprzytomna na ziemię. Gdy napastnicy chcieli ją zabrać w kierunku portu na jej statek, żeby dowiedzieć się gdzie ukryła skarb stało się coś dziwnego. Najpierw ujrzeni niskiego człowieka z opaską na oczach, czyli ślepego i dużego, sześciookiego Thrilla.

Zdziwienie ich narosło kiedy usłyszeli dobiegający z ich strony szyderczy śmiech. Nagle zniknęli, a w miejscu gdzie byli pojawił się leżący człowiek, powoli się podnoszący i stający na dwóch nogach. W jego rękach widniał blaster. Jest to broń ręczna zwana także miotaczem strzelająca wiązką spójnego światła, zwanego po prostu laserem. Tajemniczy mężczyzna odziany w zwykły strój pilota,

z długimi czarnymi włosami zaplecionymi z tyłu głowy wystrzelił dwa razy w stronę oprawców kobiety. Strzały, które na pierwszy rzut oka wydawały się niczym, były celne i zabójcze. Przywódca ludzi, z wyrazem wielkiego zdziwienia na twarzy i dwoma dziurami na klatce piersiowej padł na ziemię niczym kłoda.

Zdezorientowani pomocnicy bez przywódcy jak bez mózgu nie wiedzieli co mają czynić.

Zdecydowali się uciekać. Schował miotacz i wziął nieprzytomną dziewczynę na ręce i udał się w kierunku jej statku. Minęło trochę czasu i Akinoma obudziła się leżąc na koi swojego statku. Wstała, szybko zastanawiając się skąd tu się wzięła. Rozejrzała się i ujrzała siedzącego nieznajomego mężczyznę.

– Kim jesteś?? – spytała i w odpowiedzi usłyszała coś czego chyba w ogóle się nie spodziewała.

– Nie wiem... Ci ludzie... chcieli coś od Ciebie... Ale poszli, zabrałem Cię tutaj.

Proszę zabierz mnie na Coruscant. Muszę się tam pilnie dostać...

– Dziękuję... Mam nie lada szczęście, że mnie uratowałeś. I tak się tam wybieram więc czemu nie... – odpowiedziała lekko się uśmiechając.

– Zostań tu i odpocznij nie wyglądasz najlepiej... Ja przygotuję statek do startu...

Mężczyzna podziękował uprzejmie i położył się na koi. Wydawał się jej znajomy. Jakby gdzieś się z nim spotkała bądź gdzieś go widziała. Wzięła ze skrytki diament z Arkanii umieszczony w wielkim pudle i wyszła przed statek. Niedługo czekała. Po pięciu minutach jej klient pojawił się z walizką, na którą czekała.

– Witaj moja piękna przemytniczko – rzekł bardzo miło – widzę że masz dla mnie prezencik.

– Tak... prezent o jakim królowie z Perolli marzą... Proszę – wręczyła mu ogromną paczkę.

– Uuu... widzę, że swój ciężar ma – otworzył paczkę i oczy mu zabłyśły z radości i zdumienia jak ujrzał diament. – Cudowny...

– Cieszę się że Ci się podoba – Proszę oto zapłatę... spieszę się nieco. Mam nadzieję że niedługo się spotkamy – rzekł i szybko się oddalił.

Dziewczyna wsiadła do statku i zaczęła przygotowywać go do startu. Statek stojący tuż obok należał do śniadolicego mężczyzny. Udawał się teraz do systemu Rafa, w poszukiwaniu starożytnego skarbu obcej rasy. Jego statek dostał pierwszy pozwolenie na start, a tuż po nim statek Akinomy. Statek mężczyzny to stary corelliański frachtowiec o długości około dwudziestu siedmiu metrów, jednak tak zmodyfikowany, że jedynie z zewnątrz przypomina pierwowzór. Statek ten zwany jest Sokołem Millenium, Sokołem Tysiąclecia lub Tysiącletnim sokołem z powodu błędów w przekładach, wywołanych wielkością języków istniejących w galaktyce. Właścicielem tego statku był Lando Carlissian, młody przemytnik powoli ugruntowujący swoją reputację.

– Powodzenia – rzekł Akinomie z orbity przez komunikator.

– Tobie też rzezimieszku – odpowiedziała żartobliwie i skoczyła w nadprzestrzeń.

Podczas lotu przez hiperprzestrzeń nieznajomy wybawiciel dziewczyny spał. Miał nadzieję, znaleźć odpowiedzi na swoje pytania w snach. Sen pokazał mu obrazy. Był na Coruscant.

Tego był pewien, temu chciał bardzo się tam dostać. Szedł długim szarym korytarzem.

Patrząc na prawo ujrzał duże trójkątne okna ręki jednego z najlepszych obecnych architektów Tullusa Sulana z Yaga-Minor. Za oknem widać było piękny zachód słońca i ciągły, nieustanny ruch miejski różnorodnych statków. Szedł dalej i jego oczom ukazały się wielkie drzwi. Otworzył je i wszedł do środka, gdzie zobaczył wielu ludzi zajmujących się pracą. Wszyscy, gdy go zobaczyli, zaczęli salutować. Zdziwiony, odsalutował i szedł dalej do biura, do którego coś go ciągnęło.

Spojrzał do góry i ujrzał napis CORSEC. Co oznacza Coruscant Security. „Czy ja tu pracuje?” – zastanawiał się. Nagle drzwi się otworzyły i wybiegła kobieta. Tuląc go czule ucałowała go w policzek. Była średniego wzrostu, o włosach spiętych z tyłu. Jej oczy pełne były życia i radości. Można dostrzec także dobrze ukrywany smutek. Widać także było w nich, że darzyła mężczyznę miłością.

- Gdzie byłeś tyle czasu? – spytała dziwiąc się dlaczego tak dziwnie na nią patrzy.
- Kim jesteś? ja nie pamiętam.. – próbował coś wydusić.
- Magata... – urwała.

Chciała mu odpowiedzieć, lecz ledwie usłyszał jedno słowo. Nie wiedział czy to było imię czy coś innego, ale postarał się je zapamiętać. Nagle sceneria jego snu się zmieniła., znalazł się na planecie Roonadan. Zobaczył wejście do jaskini. Przed nim stał karzeł tin-tin. Zaczął do niego mówić wspak:

- idej norcoloh, idej norcoloh, idej norcoloh, idej norcoloh, idej norcoloh.

Nie rozumiał o co mu chodzi. Wszedł do środka, a zanim jakaś postać. Wyglądał na Chandra-Fana. Niewysoki, mniej więcej metrowy, inteligentny, humanoidalny gryzoń o dużych uszach, ciemnych oczach i okrągłych nosach z czterema nozdrzami, porośnięty futrem. Na górze jaskini zobaczył dziurę. Kapały z niej krople tworząc kałuże. Mały stwór podszedł do dziury i powąchał kałuże. Była to krew. Nagle z dziury wypetłł długi stwór i czterema małymi szczypcami chwycił chandra-fana. Mały gryzoń wijąc się i krzycząc próbował się wyrwać jednak jego oprawca po prostu odgryzł mu głowę i wciągnął do góry.

Mężczyzna przerażony odwrócił się i zaczął biec do wyjścia. Zobaczył dwie postacie.

Człowieka niskiego wzrostu bez oczu i sześciookiego Thrilla. Przewrócił się i uderzył głową o kamień. Od razu się obudził. Usiadł i popatrzył przed siebie. Dziwne było to, że strasznie bolała go teraz głowa...

W tym samym czasie na nieznanym planecie leżącej w nieznanym systemie. Arnit ocknął się z długiego snu. Jego oczom ukazał się pustynny krajobraz i ku jego przerażeniu farma w oddali. Czuł, że jego koszmar właśnie się sprawdza. Tak jak we śnie podszedł i ujrzał ten sam obraz co wtedy. Wszystko, aż do momentu kiedy chciał włączyć swój miecz świetlny. Tym razem przepelniony czystym gniewem uczynił to. Jego zielone ostrze z sykiem wyłoniło się ze srebrnej rękojeści. Jego matka już w agonii leżała na ziemi. Chłopak już jej nie widział. Nie widział niczego poza trzema napastnikami. Wewnątrz czuł gniew, nienawiść która mu dodawała sił. Jego łączność z Mocą było niewiarygodna. Nic więc dziwnego, że uznawany był za utalentowanego młodego padawana. Dwóch tajemniczych wrogów w srebrnych zbrojach zapaliło miecze świetlne. Z sykiem wyłoniły się purpurowe ostrza. „Kim oni są?” – zastanawiał się chłopak. Ruszyli do ataku na młodego rycerza. Oboje jednocześnie zadawali ciosy, które on z trudnością parował. Raz z jednej raz z drugiej strony jego miecz blokował ich ataki. W końcu przyszedł czas na kontratak Arnita. Z lewej z pół obrotu wykonał mocne cięcie w stronę lewego przeciwnika. Ten z kolei zablokował je, odsłaniając głowę. Tylko na to czekał chłopak z Corelli. Zamaszyście kopnął go w głowę tyłem buta.

Czuł, że aż go noga zabolęła bo kopnięciu w twardą zbroję. Drugi wojownik nie czekał na nic i w tym samym czasie zadał cios raniący młodzieńca w bok. Zaklął siarczyście po Corelliańsku i przewrócił się na ziemi. Jego przeciwnik pobiegł za nim chcąc zadać śmiertelny cios. Nagle Arnit wyczuł dziwne uczucie od podchodzącego przeciwnika. Było to uczucie radości i dziwnej satysfakcji. Nadszedł moment znany ze snu kiedy to bestie zabrały się za zwłoki. Krzyk taki sam jak w koszmarze wdarł się w umysł chłopaka przeszywając go na wskroś. Gniew, agresja, te emocje

nasiły się w nim z niewiarygodną siłą. Szybko wstał, zablokował dość powolny cios czerwonego miecza świetlnego i z pół obrotu obciął napastnikowi rękę. Krzyknął ten straszliwie bardzo dezorientowany. Chłopak nie czekał na zaproszenie do zakończenia pojedynku. Podszedł i płynnym ruchem wbił swoje ostrze w jego pierś. Po chwili oddech jego przeciwnika zamarł i leżało tylko martwe ciało. Drugi wojownik zadał cios na który chłopak nie był kompletnie przygotowany. Przejechał mu po oku zadając straszliwe cierpienie. Padł na ziemię nie wiedząc co zrobić i szybko myśląc nad taktyką obronną. Napastnik powoli podchodził i już wznosił swoje ostrze, żeby zadać cios odbierający życie. Jednak łączność jego z Mocą była wielka. Usłyszał w umyśle słowa „Nie ma gniewu... Jest spokój” i dzięki mocy uspokoił się. Wstał i używając mocy odepchnął przeciwnika na odległość trzech, może czterech metrów. Podbiegł do niego i zadał serie cios z lewej, z góry, które jednak skutecznie były zablokowane. „Czy to sith? Czy to sługa ciemnej strony, a może Ciemny Jedi??” – zastanawiał się wychodząc z kolejnymi płynnymi ciosami.

On już nie kierował swoimi dłońmi. Czyniła to za niego Moc. Kierowała każdym jego ruchem dodając finezji i szybkości. Jego wróg nie wiedział jaką obrać taktykę, ponieważ zaczął się cofać. W końcu wyszedł z pchnięciem do przodu, które zakończyło się dla niego tragicznie. Młody Jedi z Corelli szybkością wzmocnioną przez swojego największego sprzymierzeńca uniknął ciosu i od razu wyszedł z pchnięciem celując w głowę. Ostrze przebiło na wylot hełm z durastali. Rycerz w zbroi padł na ziemię. Tymczasem ich przywódca przyglądał się temu z nieukrywaną radością. „Kim on był?” – myślał. W tej chwili spojrzał w kierunku, gdzie leżała jego matka. Była martwa, a on jej nie uratował. Nie zdołał. Nie miał siły, żeby zapobiec jej śmierci. Spojrzał na człowieka odzianego w czerwono-biały strój.

Strach... Nie wiedział czemu, ale to poczuł jako pierwsze uczucie... Smutek... Gniew...

Nienawiść...

– Dobrze... Tak... Czuję twoją nienawiść... pierwszy krok nastąpił... – rzekł i śmiejąc się zniknął.

Zdziwiony chłopak nie wiedział co zrobić. Nie mógł go gonić bo nie wiedział gdzie uciekł.

„Znajdę Cię” – krzyknął z całych sił i padł na ziemię płacząc. „Co za sens jest być Jedi jeśli nawet własnej rodziny nie mogę ochronić?” – myślał. Ujrzał postać kobiety. Ubrana była w białą suknię. Wydawał mu się piękna, ale czuł, że to tylko iluzja, która rozmyła się po chwili.

Nie myślał o tym. Położył się na ziemi i płakał niczym dziecko, a nie dzielny rycerz Jedi...

Planeta Tyranillia leżała daleko w odległych rubieżach. Była ona niezbyt popularna ani znana. Panował klimat umiarkowany. Teren pokryty górami, wielkimi łańcuchami koloru pomarańczowego. Skąły pokryte wielki bruzdami wydawały się jakby miały się rozpaść. Na jednej z takich gór były dwie jaskinie. Mężczyzna w czerwono-białej zbroi stał przed jedną z nich. Wchodząc do środka ujrzał szkielety, pozostałości jego poprzedników, którzy tu byli tak jak i on w poszukiwaniu tej wartościowej rzeczy. Zastanawiał się co ich zabiło. „Czy to jakieś monstrum?” – myślał. Niespodziewanie z sufitu wypełził straszliwy oślizgły robak z czterema parami szczypc. Zaatakował go. Ten jednak nie przestraszył się potwora. Włączył swój czerwony miecz świetlny i płynnym ruchem wbił w łeb zwierzęciu pozbawiając je życia.

„Czy to tylko to?” – zastanawiał się. Nagle pojawiło się widmo. Nawet teraz ten nieustraszony Sith poczuł wewnątrz uczucie, które mu się nie spodobało. Potem pojawiło się drugie widmo. Stały obok siebie, materializując się tworząc postacie dwóch pradawnych sithów. Obydwoje twarze mieli wytatuowane w znaki mówiące każdemu kto spojrzy, że ta istota całkowicie jest oddana ciemnej stronie mocy. Nie chciały go one atakować. Patrzyły na niego... Nagle znowu się stały

widmami i zaczęły lecieć w jego kierunku. Weszły w niego.

Człowiek w zbroi zaczął się wić i rzucać po całej jaskini broniąc się przed tym co właśnie następowało. Po chwili padł bez ruchu na ziemię. Patrzyła na niego niska postać.

Prawdopodobnie Chadra-Fan. Po kilku minutach leżący wstał. Otworzył oczy, które były przepelnione czerwienią. Rycerz w zbroi podszedł do ściany kilka kroków dalej. Włączył miecz świetlny i zaczął ją niszczyć. Po chwili wypadł z dziury w ścianie mały kwadratowy przedmiot. Był to holocron Sith...

ROZDZIAŁ 2

Biegł... uciekał... było ciemno... widział pełno drzew przez które przedzierał się z wielką trudnością. Słyszał kroki goniących go. Oddech... szybszy... coraz szybszy...

Zastanawiał czy mu się uda. Czy przeżyje... Czy zobaczy swoją siostrę Anelim. Strach... coraz bardziej mu się wdzierał w dusze. Doganiali go. Teraz był bezsilny. Nie uda mu się.

Potknął się o gałąź. Wiedział, że to koniec. Słyszał ich... Byli coraz bliżej... a z nimi te bestie... Ukazali się jego oczom... z pysków potwornych Krytylli kapiała ślina. Nie miał broni.

Tylko Moc... która zawsze z nim była. Cztery potwory zwolnione z smyczy ruszyły na niego..

Zdołał tylko dwa odepchnąć siłą mocy... Pozostałe rozerwały jego gardło na strzępy...

Arnit znajdował się na planecie, której nie znał i nie wiedział czy oprócz niego był tu ktoś żywy. Pochował matkę, zgodnie z obyczajem jaki znał, jakiego go nauczono w zakonie.

Szedł przez piaski pustyni, która stała się teraz taka odrażająca. W jego głowie panował wielki zamęt, a w sercu gościł smutek. Krańca pustyni nie widział. Doszedł do jakiś gór.

Wysokie na tysiące metrów. Oczami nie mógł dojrzeć szczytów. Wszedł do jaskini i zdecydował, że tu odpocznie. Rana w boku zadana przez wrogów ciągle mu doskwierała. Nie wiedział, czemu rana wciąż się nie goi. Kolor jej był bardzo ciemny. Jednak krew nie leciała.

Przypomniawszy sobie jak go uczono w świątyni Jedi. Położył się i wszedł w leczniczy trans Jedi.

Młody Jedi nie widział tego, ale ktoś mu się cały czas przyglądał. Postać w mrocznym kącie jaskini skulona na ziemi, czekająca na coś. Widać było tylko trzy żółte ślepia wylaniające się z mroków. Jedi zasnął zagłębiając się w leczniczym transie... Podczas snu widział nie zrozumiałe dla niego obrazy. Planeta widziana z oddali... głos kobiety przemówił „Śmierć...

życie... narodziny... ten który się urodził musi umrzeć, żeby mogli się narodzić... Salatan... planeta przynosząca prawdę o władcach Mocy... Tam odszukasz tego którego poszukujesz...

Ten który zasnął musi się przebudzić...”

Jedi obudził się prawie wstając. Nie rozumiał o co chodziło... „Co to był za sen?” – zastanawiał się. Spojrzał na ranę. Była prawie zagojona. Jednak miał dziwne przeczucie.

Niespodziewanie z mroków jaskini wydobył się chichot:

– Przybyłeś!! Tak... Tak... Przybyłeś...!!! – krzyczał i podskakiwał niski stwór.

– Kim jesteś???

Jednak nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Niska istota o trzech żółtych oczach, łysej głowie i spojrzeniu szaleńca stała i śmiała się, patrząc prosto w oczy Arnita. Nagle rzucił jakiś okrągły przedmiot wprost pod nogi młodzieńca. Wybuchł od razu rozsyłając po jaskini chmurę nieznanego gazu. Chłopakowi zakręciło się w głowie. Zemdlął...

Mężczyzna obudził się. Cały czas zastanawiał się dlaczego go tak mocno bolała głowa. „To był przecież sen...” – myślał. Wstał, przemył twarz wodą i poszedł do kokpitu.

Właśnie wychodzili z nadprzestrzeni. Ku zdziwieniu jego oczom nie ukazał się Coruscant, lecz zupełnie inna planeta.

– Gdzie jesteśmy? – spytał.

– Na Coruscant dotrzemy, lecz w odpowiednim czasie... – odrzekła mu uśmiechając się – Jesteśmy na Bonadan.

Ich oczom ukazał się sektor należący do jednego z najbardziej ruchliwych systemów w Sektorze Wspólnym. Przez całą dobę pełno tu barek, frachtowców, liniowców pasażerskich, okrętów wojennych czy statków kosmicznych rozmaitego kształtu i przeznaczenia, startujących i lądujących w którymś z dziesięciu olbrzymich portów kosmicznych. Władze Sektora Wspólnego w pełni zasłużyły na reputację wyjątkowo bezwzględnych w zarabianiu wszechmocnych kredytów, a Bonadan był doskonałym przykładem efektów tej chciwości. Jego powierzchnia, w nielicznych miejscach, których nie zajęły jeszcze fabryki, złomowiska, miasta lub śmietniska, to jałowy, pustynny ugór.

Zwierzęta w większości wyginęły. Zostały tylko nieliczne, a i one wymierały, jak na przykład sześciorami żółw Tortapo żyjący jedynie na tej planecie. Jednak nikt nie robi ani nigdy nic nie robił, żeby zapobiec ich wyginięciu. Powód jest bardzo prosty – to by kosztowało, a władze nie są zainteresowane żadnymi dodatkowymi kosztami, podobnie jak i dalszymi losami planety.

Kiedy lecieli w stronę Bonadan wzrok Akinomy przykuł statek będący niedaleko z przodu.

Była to korweta klasy Marauder. Miała być czymś pośrednim między wielkimi pancernikami czy niszczycielami Victory, a małymi transportowcami i myśliwcami. Według założeń powinna brać aktywny udział w operacjach przeciw piratom czy też w ewentualnych bitwach kosmicznych na większą skalę, pełniąc podobną rolę, jak później Korwety Koreliańskie.

Producentem tego szybkiego statku była firma Republic Sienar Systems. Korweta była potężnie uzbrojona w osiem podwójnych turbolaserów, trzy emiterzy promienia ściąającego i jeden dywizjon myśliwców. Przeważnie były to Z-95 łowców głów albo eksperymentalne modele PX-10 z skrzydłami w kształcie litery X.

– O nie... Szunaj... – wyszeptała.

– Co się stało? – zapytał zdziwiony mężczyzna, lecz ona nie odpowiedziała od razu.

Dopiero po krótkiej chwili.

– On... jest przywódca organizacji zwanej „Ranoria”... kiedyś dla niego pracowałam... jednak... – zawahała się... – nie czas teraz na to... zaraz wylądujemy na planecie...

Po krótkiej wymianie zdań z kontrolą lotów dostała pozwolenie na lądowanie w porcie Southeast II. Kobieta modliła się w duchu, żeby się z nim nie spotkać...

W świątyni Jedi na Coruscant sędziwy mistrz Yoda zaczynał wykład z młodymi padawanami. Łączył wykłady teoretyczne z ostrym treningiem fizycznym i psychicznym.

Uczył ich, że jedność z naturą zwiększającą umiejętność posługiwania się Mocą. Mówił także, że Jedi używa Mocy do obrony, nie do ataku. Jest ona źródłem wiedzy, nie władzy.

Trening fizyczny padawana Yody obejmował bieg z przeszkodami, przeważnie z mistrzem na plecach, ćwiczenia z mieczem świetlnym, utrzymywanie równocześnie równowagi i koncentracji oraz inne praktyczne sposoby użycia Mocy. Natomiast trening psychiczny obejmował „odrzuć” pewnych informacji, dotąd uważanych za prawdziwe oraz regułę,

aby nie wierzyć we wszystko co się widzi i słyszy. Podstawowa zasada Yody brzmiała: „Nie próbuj. Rób albo nie rób, ale nigdy nie próbuj.”. Drugą istotną prawdą, zwłaszcza dotyczącą poruszania obiektów, było to, że ich wielkość nie ma znaczenia. Według niego tyle samo wysiłku

i koncentracji potrzeba, by przesunąć liść, co myśliwiec.

Padawani z którymi Mistrz siedział w sali byli w wieku, kiedy to każdy ma już swojego mistrza. Ich zadaniem było wychowanie podopiecznych na dobrych rycerzy. Jednak sędziwy Yoda lubił nauczać filozofii. Uważał, że umysł dziecka był wspaniały, chłonny, jak pusta karta, w której Moc zapisuje się złotymi zgłoskami.

– Ciemnej strony strzec się musicie... Strach... nienawiść... Gniew... prostą ścieżką ku niej są... – rzekł Yoda.

– Mistrzu... Czy Ciemna strona jest silniejsza? – spytał młody uczeń imieniem Kieran.

– Silniejsza nie jest... prostsza... łatwiejsza...bardziej kusząca... lecz nie silniejsza...

– Mistrzu Yodo... Opowiedz nam o Sith'ach... Czy to prawda co o nich mówią? – zapytał młody Duros o imieniu Lewan.

– Sith pytasz... tajemnicza była to grupa... Urodzeni Ciemnej Strony Słudzy...

skusiła ich ciemna strona Mocy...lecz teraz nie ma ich już... Wszyscy Sithowie wyginęli...Kiedyś ich tyle co rycerzy Jedi było... Jednak chciwość... nienawiść...

skłóciła ich... między sobą zabijać się poczęli... Historia mówi o jednym z Mrocznych Lordów, który zmienił coś. Darth Bane... Tak imię jego brzmiało.

Stworzył on zasadę, która przez wieki stosowana była. Brzmiała ona tak, że zawsze dwóch ich jest... Mistrz i Uczeń... Potem podczas Wielkiej Wojny Sith ostatni z nich życie oddali... od tysiąca lat Sitha nikt nie widział... – mówił Yoda wiedząc, że przed siedmioma laty pojawił się jeden mroczny Jedi, który pozbawił życia Qui-Gon Jinn. Po chwili dodał:

– Idźcie już... zmęczony jestem... sprawy ważne mnie czekają... Niech Moc będzie z Wami...

Yoda wyczuł poprzez Moc stojącego przed salą Mistrza Quell Perra. Młodzi wybiegli szybko udając się do swoich opiekunów. Stary Jedi powoli wyszedł do Quell Perra.

– Witaj przyjacielu... – powiedział Yoda lekko się uśmiechając – smutek... niepokój wyczuwam... co stało się?

– Mistrzu... Chodzi o Arnita... On zginął.. a raczej został porwany... Jednak nie wiem przez kogo...

– Hmm... Dziwne to jest...Czy chłopak wizję Mocy miał już po raz drugi?

– Nie miał... Raz przed dwoma laty tak jak pamiętasz... Potem tylko nawiedzały go koszmary, lecz ta wizja się nie powtórzyła... Mistrzu czy nie uważasz, że to dziwne, żeby Moc ukazała młodemu nie wyszkolonemu Jedi obrazy przyszłości?

– zapytał ciekawy Quell Perr.

– Tak... Dziwne to wydawać się może... Jednak... To Moc.. Nie my.. wybiera komu ukazuje co ukazuje... Do Rady Jedi udać się musimy... Naradzić się nam trzeba co czynić dalej musimy... Raport z misji swojej nam zaraz zdasz...

– Tak Mistrzu...

Razem udali się do miejsca, gdzie urzęduje słynna rada Jedi. Wielka wieża w świątyni.

Najwyższe miejsca wznoszące się ponad wszystkimi. Siedzieli zawsze na samym szczycie w małej sali. Rada Jedi zawsze liczyła dwanaście osób. W skład wchodziło kilku nowych mistrzów, Pierwszy siedzący po lewej był Yarael Poof. Był on Quermianinem, który stał się niekwestionowanym mistrzem myślowych sztuczek Jedi. Mistrzem siedzącym obok Yaraela był Even Piell. Dalej siedział Saesee Tiin będący znakomitym pilotem Iktotchi. Jako telepata patrzył na wszystko z odmiennej perspektywy. Następnie siedział mistrz Ki-Adi-Mundi, który pochodził

z rajskiej planety Cerea. Obok niego siedział mistrz Loop z rasy Wookie. Loop był bardzo młodym Wookie mającym siedemdziesiąt cztery lata. Jego pełne imię to Loopwarrump. Ulubioną bronią jaką używał na polowaniach było ostrze ryyykw. Na Kashyyyk nigdy nie posługiwał się mocą, ponieważ zabrania mu tego kodeks. Gdyby użył mocy podczas polowania byłby potępiony przez swoich braci. Wszystkie zdobycze zawdzięcza własnym zdolnością i sile. Kolejnym członkiem rady była kobieta o imieniu Depa Billaba z Chalakty. Jak inny potrafi uporządkować rozbieżne opinie członków Rady. Na środku koła w jakim siedzieli członkowie rady znajdował się przewodniczący Rady Mistrz Yoda, który już od ośmiuset lat jest Jedi. Po jego prawicy jak zazwyczaj siedział Mistrz Mace Windu.

Powoli zbliżał się do swojego miejsca, by usiąść i rozpocząć obrady Rady Jedi.

– Rozpocząć możemy... Mistrzu Quell Perr...oznajmij nam postępy swoje... – rzekł Yoda. Quell Perr stanął na środku, gdzie każdy mówiący przed radą miał swoje miejsce i zaczął:

– Na Corelli wszystko poszło dobrze... Rozmawiałem z trzema stronami sporu...

Durosi byli najbardziej skorzy do ugody... Corellianie trochę nastawieni pokojowo i zarazem lekko nieufni, a Selonianie niestety nieufni. Wiem, że mogło to wszystko się zakończyć wojną domową, ale na szczęście wszystko skończyło się

w pokojowy sposób...

– Dobrze, że ci się udało Mistrzu Quell Perr... – powiedział Mace Windu.

– Jednak... Mistrzowie... Stało się coś z moim uczniem Arnitem... został porwany.. – wziął głęboki oddech, zobaczył jak wszyscy zdziwieni na niego patrzą i dodał – Wiem, mnie też to się wydaje dziwne i niezrozumiałe. Poprzez Moc nie straciłem z nim kontaktu. Czuję, że nic mu nie jest. Na pewno żyje.

– Jak Jedi może być porwany? – spytała zdziwiona Depa Billaba. Cała rada zaczęła mówić między sobą przez co rozległ się niezły harmider.

– Cisza... – głośno krzyknął Yoda – na co wszyscy umilkli – przemyśleć nam to trzeba... Arnit... odnajdzie się... pomedytuję nad tym czas duży... Mistrzu Quell Perr... zadanie dla ciebie mamy... Rada Jedi została poproszona o pomoc przez regentkę trójprzymierza Valasos. Dowiedz się szczegółów... Niech Moc będzie z Tobą... – Yoda artykułując dokładnie ostatnie zdanie dał znak trójpalczałą ręką co oznaczało koniec rozmowy.

Mistrz skłonił się lekko przed radą i czym prędzej wyszedł. Udał się od razu do grupy apartamentów zajmowanych przez ambasadorów i senatorów z Trójprzymierza Valasos...

Arnit otworzył oczy. Był w jakimś zbiorniku. Nie wiedział co się dzieje. Na zewnątrz ujrzał kontury kilku postaci, które mówiły. Postacie te coś robiły przy maszynach. Nagle otoczył go ból. Stracił przytomność...

„Nie ma emocji – Jest spokój, nie ma ignorancji – jest wiedza, nie ma pasji – jest pogoda Ducha, Nie ma śmierci – Jest Moc”. Wbiły się te słowa nie tylko w umysł młodego Rexa, lecz także w jego serce. Miał czarne krótkie włosy, z standardowym warkoczem padawana zwisającym mu na ramieniu. Oczy miał piwne, niczym nie wyróżniający się nos i wargi.

Podstawy kodeksu Jedi były dla niego tak ważne, jak religia dla kapłanów. Niedługo miał po raz pierwszy odkąd stał się uczniem Okuuna, pochodzącego z planety Kalla, udać się na misje poza Coruscant. Kalla leży w Sektorze wspólnym, była siedzibą wielu znanych instytucji naukowych o specjalnościach głównie technicznych i administracyjnych. Jeszcze nie wiedział dokąd polecą. Jednak wolał się przygotować. Po chwili Mistrz wszedł do jego pokoju.

– Zbieraj się... Idziemy do apartamentów trójprzymierza Valasos spotkać się z Mistrzem Quell

Perrem.

– Tak Mistrzu...

Rex podniecony, że w końcu ta chwila nadeszła sprawdził raz jeszcze czy wszystko ma i wyszedł za mistrzem ze swojej komnaty. Udali się na spotkanie...

Arnit obudził się. Oślepiło go mocne światło dochodzące z sufitu. Po chwili jego oczy przyzwyczyły się do jasności. Usiadł i rozejrzał się. Ujrzał pokój cały szary i dwa medyczne droidy. Ich podstawową funkcją było diagnozowanie, leczenie chorób i ran, pomoc w operacjach chirurgicznych i opieka nad pacjentami. Stanowiły one standardowe wyposażenie szpitali i placówek medycznych w całej galaktyce. Niektóre modele nie były mobilne, lecz na stałe połączone z komputerami diagnostycznymi i stołami operacyjnymi. Najczęściej można było spotkać droidy serii MD, od modeli zero, czyli droidów diagnostycznych, pomagających przy badaniu pacjenta., do najnowszych modeli MD-4, czyli znanych jako „wiejscy doktorzy”, gdyż mogą samodzielnie diagnozować i leczyć. Droidy tej serii są wszechstronne, kompetentne i niedrogie. Można spotkać też modele aktualnie najczęściej używanych serii FX czy 21B. To właśnie były dwa droidy serii FX. „Ambulatorium medyczne??” – pomyślał.

Nagle wejście do pokoju otworzyło się i weszło dwóch ludzi. Kobieta i mężczyzna.

Spostrzegli, że był przytomny.

– No witaj... W końcu się obudziłeś... Spałeś sporo czasu... Znaleźliśmy Ciebie nieprzytomnego na Vanag IV. Coś ty tam robił sam pośrodku pustyni??? – spytał zdziwiony mężczyzna.

– Ja.. – chciał coś powiedzieć, lecz nagły grymas bólu pojawił się na jego twarzy.

– Leż.. – zwróciła się do mężczyzny – Garn... Będzie na to później czas... niech odpoczywa... – wyszeptała kobieta.

– Dobrze dobrze... spokojnie...Anelim. Ja wracam na mostek.. Ty porozmawiaj z naszym.. – zawahał się – Gościem – wyartykułował.

Garn wyszedł. Kobieta została tylko z Arnitem. Jedi spojrzał na nią. Nie rozumiał dlaczego przypominała mu kobietę z snów... kobietę, którą ujrzał na pustyni. Miał średnio długie brązowe włosy sięgające do ramion. Przykuwały wzrok jej piękne zielone oczy, pełne blasku, które patrzyły na niego z ufnością i czułością. Jej usta czerwone jak płatki Reab z Pternas II.

Tak pełnej i doskonałej czerwieni nie widziała dotąd galaktyka. Zostali sami i rozmawiali.

Jedi opowiedział jej krótko co się wydarzyło w ciągu ostatnich dni...

Akinoma Ikiv wylądowała w porcie na Bonadan. Wyszła wraz z tajemniczym pasażerem ze statku. Nie musieli daleko iść bo miała się spotkać z nieznaną mężczyźnie osobą w porcie. Nagle ktoś wymówił imię dziewczyny. Był to Szunaj w towarzystwie swojej przybocznej gwardii. Mężczyzna w średnim wieku o włosach powoli siwiejących, czarne oczy, w których było widać, że w młodości brał za dużo błyszczostymu.

– Akinoma Ikiv... No moim oczom nie wierze... Co ty tu robisz stara przemytniczko?? – spojrzał na jej towarzysza – I kim jest twój towarzysz? Kolejny kochanek? he?

– Witaj Szunaj... Kto ma zginać, że znalazłeś się na tej planecie?? – spytała pogardliwie.

– Jak ty mnie dobrze znasz... – zaśmiał się – A może mnie przedstawiś swojemu przyjacielowi hmm??

– To jest... – zawahała się – Mój mąż... Zwą go... – szturchnęła mężczyznę lekko łokciem..

– Zwą mnie Kid – tylko te trzy litery pamiętał, więc zdecydował na razie tak się nazywać.

– Tak.. Jakoś ci nie wierze...Akinomo... Dobrze wiesz, że ciągle jesteś mi coś winna... –

wycedził.

– Nie wierzysz... to patrz – rzekła i pocałowała namiętnie swojego towarzysza, który był mniej chyba zszokowana od Szunaja.

– A... Porozmawiamy później – krzyknął Szunaj i poszedł w kierunku miasta.

Dziewczynie spodobało się całowanie mężczyzny, więc dopiero po jakiejś minucie puściła go z żelaznego uścisku. Mężczyzna przez chwilę kiedy był połączony z nią w pocałunku widział w niej kobietę ze swojego snu. Jednak iluzja znikła bardzo szybko.

– Przepraszam... nie powinnam... – powiedziała zakłopotana.

– Nic nie szkodzi... – odrzekł, uśmiechając się.

Po kilku minutach przyszedł Duros z którym miała spotkać się Akinoma. Duros była to rasa inteligentnych humanoidalnych istot, od dawna podróżujących po galaktyce. Mają duże oczy, wąskie usta i nie posiadają nosów. Pochodzą z planety Duro, ale opuścili ją dawno temu.

Podszedł do Akinomy.

– Witaj! Jak miło Cię widzieć Akinomo... Myślałem, że nie przybędziesz... – rzekł Duros.

– Taak... Dotarłam jak najszybciej mogłam... Niestety... Poluss trafiłam na Szunaja...

tutaj... – westchnęła głęboko.

– Nie martw się nim... Chodźmy... Czekają na nas w umówionym miejscu... Kim jest twój przyjaciel??? – spytał podejrzliwie...

– Uratował mi życie... zwał go Kid... Pójdzie z nami... Nie martw się tym... Szybko załatwimy swoje sprawy i polecimy na Coruscant...

Udali się do władz portu, gdzie musieli zostawić swoją broń. Aby zapanować nad licznymi górnikami, robotnikami oraz tłumami przybywającymi na planetę, lokalna policja wpadła na jedyny umożliwiający utrzymanie porządku pomysł – nikt oprócz stróżów prawa nie mógł nosić broni poza ładowiskiem. Pilnują tego liczne rozmieszczone i z dala widoczne detektory.

Wynikiem tego była stosunkowo niewielka liczba morderstw, ponieważ nawet najbardziej wytrawni zabójcy woleli działać w bardziej sprzyjającym otoczeniu.

Poszli do miejsca zwanego „Przystanią Bonadańską”. Leży ona w południowej części portu Southeast II. Wszyscy strudzeni podróżnicy udają się tam odpocząć i załatwić przeważnie interesy i różne sprawy.

Istota w czerwono-białej zbroi siedziała i patrzyła na leżący nieopodal kwadratowy przedmiot. Był to HoloCron Sith. Istniały ich dwa rodzaje. Było wiele Holocronów Jedi, lecz tylko jeden był holocronem Sith. Był to legendarny artefakt, zawierający pradawną wiedzę i mądrość w odróżnieniu od Holocronu Jedi nie należącą do Mistrzów Jedi, lecz do Mrocznych Lordów Sith. Przedmiot mieszczący się w dłoni o kształcie krystalicznego sześcianu z wypukłym czubkiem o dziwnych wzorach wtopionych w ścianki, które potwierdzają, iż był naprawdę stary. Dzięki użyciu prymitywnych technik holograficznych, wiele wieków temu wypełniono go wiedzą, do której dostęp może uzyskać tylko prawdziwy sługa Ciemnej Strony Mocy, będący w stanie wejść w interakcję z tym co jest w nim zawarte. Jednak coś było nie tak. Istota nie mogła użyć Holocronu. W powietrzu narastała coraz większa wściekłość. Nagle rozniósł się głos, który mówił: „Darth Bane... Darth Bane...” Powtarzał imię jednego z najsłynniejszych pradawnych Lordów Sith. Zaczęła go boleć głowa... Mężczyzna w zbroi padł na ziemię łapiąc się za nią... Walczył... jakby z samym sobą... znowu głos przemówił, lecz teraz wdał się w polemikę z drugim głosem:

– Opiera się...

- Długo nie będzie...
- Coś jest nie tak...
- Jak otworzyć Holocron... jak użyć holocron... Czemu on nie działa...
- Może źle wybraliśmy...
- Nie... Pomyliliśmy się co do użycia... brakuje nam czegoś...
- Może on jest niegodny?
- Norcoloh Idej... Norcoloh Idej...
- Amulet Korribanu...
- tak...

Człowiek podczas dialogu dwóch głosów wił się i szamotał po ziemi. Nagle jakby ktoś odciął mieczem świetlnym, przestał i znieruchomiał. Po chwili wstał, spakował przedmiot i wyszedł.

Zaczynał akceptować to co z nim się działo... Słyszał tylko jeden głos w głowie, który mówił : „Leć na Korriban...”

Komandor Bellan Halcyon spacerował po mostku okrętu desantowego klasy Acclamator. Acclamator to pierwszy poważny znak nadchodzących zmian w budownictwie okrętowym. Ten potężny okręt desantowy Republiki został od podstaw zaprojektowany jako ciężka jednostka bojowa o dalekim zasięgu. Poza 16 000 żołnierzy, jego standardowy ładunek to 80 kanonierek szturmowych różnych wersji, 48 maszyn koczających AT-TE, 36 dział samobieżnych i 320 śmigłów. Duża ilość ciężkiego uzbrojenia pozwala mu zarówno toczyć walki w przestrzeni, jak i zabezpieczać obszary lądowania na powierzchni planety-celu. Teraz znajdował się on na orbicie Bestine. Bellan Halcyon był już starym komandorem, z dużym doświadczeniem. Postawny wysoki mężczyzna o siwej brodzie i włosach tego samego koloru miał w przyszłym tygodniu przejść na emeryturę. Właśnie przeglądał swoje notatki.

Wybierał dokąd, jak już wróci do swojego domu na Aldeeran, pojedzie na długie wakacje z żoną. Miała to być jego ostatnia misja jako Komandora statku Republiki. Wokół jego okrętu flagowego, którego nazwał na cześć swojej żony „Arian” krążyła chmara myśliwców.

Znajdowały się tam także dwa duże okręty tego samego typu i jeden nosiciel myśliwców klasy Kellan. Mieli odbyć standardowe ćwiczenia. Myśliwce były klasy Delta-7 Aethersprite.

Lekkie i szybkie ogólnego przeznaczenia, przydatne szczególnie przy uzyskiwaniu i utrzymywaniu przewagi powietrznej. Z jednej strony, dzięki małym rozmiarom i dużej zwrotności, Delta-7 był bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem w walce kołowej, z drugiej zaś – niemal zupełnie nie nadawał się do przeprowadzania ataków na cięższe okręty wroga.

Brak hipernapędu i bardzo ograniczona przestrzeń ładunkowa nie pozwalają też tej maszynie na dalsze rajdy w przestrzeń, przywiązując ją do macierzystej planety, stacji kosmicznej, okrętu – nosiciela myśliwców. Małe statki trenowały ustawienia w szykach bojowych i różne manewry. Większe okręty sprawdzały szybkość ludzi obsługujących poszczególne systemy.

Nagle z nadprzestrzeni wyłoniły się statki. Było ich bardzo wiele. Komandor nie znał ich kształtu, klasy i pochodzenia. „Co to za huttyjskie pomioty??” – zaklął. Znajdywało się tam pięć dużych okrętów rozmiarem dorównującym Acclamatorom. Kształt nie wyróżniał się znacząco. Był ciemny, podłużny, o trzech wysokich, jakby z niego wyrastających cyplach, bądź wieżach. Wyglądał jak głowa trójrogiego Mellana z Krenos III. Leciały wprost na statki Republiki. Komandor Bellan zastanawiał skąd pochodzą i czego chcą.

– Poruczniku Wedge... Czy możemy się z nimi skontaktować przez komunikator???

– zapytał Komandor.

– Próbuje... ale nie odpowiadają Sir...

– Sir z tych statków wylatują chyba myśliwce! – krzyknął jeden z podwładnych.

Ich oczom ukazał się zaiste imponujący widok. Z dołu statków otworzyły się dwie klapy.

Wyglądało to jakby otwierała się paszcza potwora chcącego opluć trującym kwasem swoją ofiarę. Zaczęła wylatywać chmara czarnych sześciokątnych myśliwców. Podobnie jak w większych statkach tak i w mniejszych z góry wychodziły trzy jakby wieże. Komandor patrząc na to nie miał wątpliwości... Nie mieli oni pokojowych zamiarów...

– Wysłać wiadomość do dowódców pozostałych okrętów! Nie wiążemy się w walkę dopóki nie zostaniemy zaatakowani! – rzucił do oficera łączności.

– Tak jest Sir!!!

– Wszyscy na stanowiska... Niech myśliwce będą w gotowości... – krzyknął.

Ludzie praktycznie nie potrzebowali rozkazów. Była to bardzo doświadczona załoga, więc każdy wiedział co ma robić na wypadek takich sytuacji. Wszyscy ludzie obstawili swoje miejsca pracy. Turbolasery czekały w pogotowiu. Tarcze ochronne były ustawione na pełną moc.

Tajemnicze myśliwce prawie zbliżyły się już do zasięgu działek laserowych republikańskich statków. Nagle w każdym komunikatorze statku należącym do Republiki rozległ się basowy, narastający syczący głos „Norcoloh Idej.. Norcoloh Idej!!!!”. Myśliwce w tym momencie otworzyły ogień z trzech wież. Pierwsze niespodziewające się ataku statki republiki trafione, rozprysły się na kawałki.

– Dowódca Delta do eskadry! Szyk bojowy L – 1 – rzucił do mikrofonu.

– Delta 2 gotowy...

– Delta 3 gotowy...

I tak po kolei każdy zgłaszał swoją gotowość do bitwy.

– Pokażmy im kto tu rządzi!!! – krzyknął dowódca.

Działka laserowe otworzyły pełny ogień. Walka się rozpoczęła. Dowódca Delty siadł na ogon jednemu z wrogów. Wziął go na cel. Nacisnął spust. Niebieskie nitki laserów z jego działek, docierając do kadłuba myśliwca posłały go w niebyt. Nagle zatrzęsło nim. Na ogonie jego statku było dwóch wrogów. Robił uniki, lecz nie zbyt skuteczne. Trafili go w lewy silnik.

Zaklął w duchu, próbując opanować statek. Niespodziewanie jeden z ścigających go myśliwców wybuchł.

– Osłaniam Ciebie dowódco!! – rozległ się głos w komunikatorze.

– Dzięki!! Pter...

Niestety wrogów było więcej. Kiedy Pter przeleciał pod myśliwcem dowódcy delta nadział się na dryfujący w kosmosie zniszczony statek przeciwników. Odbił się od niego jak kula i poleciał w górę. Chwilę później jego statek wybuchł trafiony zabłąkanym laserem. Chaos walki narastał z każdą chwilą. Dowódca Delty leciał, rozglądał się. Widział przeważającą liczbę statków wroga. Jego ludzie nadrabiali ambicją i wolą walki, lecz to nie wystarczało...

Komandor Bellan patrzył na rozwijającą się sytuację i nie mógł uwierzyć. Myśliwce wroga zdobywały przewagę. Jego statek powoli przesuwał się w zasięg turbolaserów, żeby najpierw omiatać nimi wrogie małe statki a potem większe okręty. Pierwszy w zasięg turbolaserów wszedł „Słońce Republiki”. Dwanaście poczwórnych turbolaserów, dwadzieścia cztery działka laserowe jak

na zawołanie otworzyły równocześnie ogień. Widok był to zaiste imponujący. Działka laserowe wspomagały w boju myśliwce, a turbolasery pokrywały ogniem najbliższy z większych okrętów. Trzeba było przyznać, że czyniły to bardzo dobrze. Jeden z „rogów” statku odpadł odlatując w nicość kosmosu. „Czemu nie odpowiadają ogniem” – zastanawiał się Komandor „Słońca Republiki”. Nagle z dwóch rogów zaczęły wylatywać iskry... potem z iskier zrobiła się wielka kula żółtej energii. Z kuli wyszedł promień, który się spotkał w innej kuli z przodu statku. Wtedy nastąpił kulminacyjny moment... Z kuli wprost na Acclamatora wyleciał gruby zielony promień...

Dowódca Deltę krzyknął radośnie kiedy kolejny z jego wrogów rozpadł się na kawałki. Nagle ujrzał jak z dużego okrętu wylatuje zielony promień wprost na „Słońce Republiki”. Ku jego przerażeniu gdy promień dotarł do statku, pozbawił go tarcz po pierwszych dwóch sekundkach, następnie nadgryzał kadłub, potem przeszył go na wylot.

Acclamator zaczął dryfować... Był szamotany wewnętrznymi wybuchami... aż końcowy rozpołowił go na dwie części...

Komandor Bellan siadł zszokowany na fotelu dowódcy. „Jak...” – myślał. Jego okręt dotarł w zasięg działek.

– Ogień ciągły... Może i zginiemy ale zabierzemy wielu z nami!!! – rozkazał prawie krzycząc.

Z „Arian” zaczął sypać się grad laserowych strzałów. W tym samym czasie ostatni okręt klasy Acclamator „Kryształ Floty” również objął ogniem ten sam statek nieprzyjaciela, który odpowiadał tylko mniejszymi żółtymi kulami z wież, jednak nie mógł wytrzymać takiej siły ognia...

Liczba republikańskich małych statków malała z minuty na minutę. Wrogowie wspaniale wykorzystywali przewagę liczebną. Dowódca Deltę robił uniki i starał się omiatać ogniem każdy wrogi myśliwiec. Zobaczył, że jego skrzydłowy Tavon Nov był ścigany przez trzy wrogie statki. Ruszył mu na pomoc. Dwoma strzałami rozwalił pierwszy z nich.

– Trzymaj się Tavon!! Lecę... – krzyknął.

– Dowódco długo nie wytrzymam...Dobrze strzelają... aaaaa – nie dokończył zdania.

Jego statek trafiony w silnik rozbłysnął jasnym światłem. Oślepiony dowódca zaklął ostro po huttyjsku. Zobaczył, że jego przyjaciel było coraz mniej...

– Do wszystkich! Odwrót... Powtarzam odwrót!! Zbliżyć się do Acclamatorów...

Pod ich osłoną nawiązać walkę z wrogiem... – rozkazał.

Zrobił beczkę do tyłu, od razu odwracając myśliwiec w stronę „Arian”. Za nim ku jego jeszcze większym przerażeniu ruszyło tylko sześć myśliwców. „O mój stwórco... sześć myśliwców z pięćdziesięciu...” – wyszeptał. Nieprzyjaciel poleciał za nimi w pogoń. Nagle wielki błysk oślepił wszystkich pilotów. Pierwszy z wielkich okrętów wroga uległ zniszczeniu...

Komandor na „Arian” zastanawiał się co robić. Zniszczyli jeden okręt. „Kryształ Floty” był mocno uszkodzony. Myśliwce cofały się. Cztery kolejne statki wroga wdały się w walkę z Acclamatorami. Była to walka nad wyraz nierówna. Razem dziesięć dużych okrętów przeciw dwóm...

– Wszystkie torpedy... na mój znak.. celować w podstawę niby rogów... – rozkazał.

Dał znak ręką. Wszystkie torpedy wyleciały równocześnie kierując się wprost na najbliższy okręt. Jedna torpeda przypadkiem zderzyła się z wrogi myśliwcem. Pozostałe trzy dotarły do celu... Górna część statku rozbłysła jasnym światłem... Statek wybuchł oślepiając na sekundę wszystkich obecnych na polu walki.

Uciekające myśliwce znajdowały się już koło „Arian”. Nagle pilotom ukazał się kolejny

wybuch... „Kryształ Floty” uległ zniszczeniu. Myśliwce wdały się w walkę z nieprzyjacielem z wielką ambicją. Jednak samą ambicją nikt jeszcze nie wygrał wojny... Po krótkiej chwili zostały dwa małe republikańskie statki. Kolejny wybuch. Został jeden.

Dowódca nie wiedział co ma robić. Wiedział tylko, że na pewno nie wyjdzie stąd żywy.

Zatrzęsło jego okrętem... stracił nad nim panowanie... kolejne dwa strzały... wybuch... zginął ostatni pilot myśliwca...

„Arian” był już bardzo uszkodzony. „Co zrobić?” – zastanawiał się. Nagle jakiś uszkodzony myśliwiec zdecydował się staranować przed śmiercią okręt republiki. Tarcze były już tak słabe, że go nie zatrzymały. Leciał prosto na mostek... Przerazenie Komandora i wszystkich znajdujących się na statku sięgało zenitu. Wleciał do środka, przelatując przez pół mostka, zabijając większość tam znajdujących się ludzi. „Arian” upadał. Statek będący do niedawna chlubą floty republiki, teraz prawie już nie istniał... Sekundy dzieliły go od pójścia w niebyt.

Komandor Bellan otworzył oczy. Leżał... Czuł, że każdy oddech sprawia mu potworny ból... Rozejrzał się wokoło. Ujrzał, że ma przebitą lewą część klatki piersiowej... Wokoło pełno martwych członków załogi i palące się komputery. Nie czuł nóg... wyjął z kieszeni holoprojekcje swojej żony... patrzył na nią... prosto na jej piękną twarz... jego oddech robił się coraz płytszy... zwalniał... łzy zaczęły mu spływać po policzkach... ciągle patrzył na swoją żonę... „Arian” – wyszeptał...

W tej chwili nastąpił wielki wybuch. Ostatni statek republiki rozpadł się na kawałki.

Zanim jednak nastąpił wybuch... w komunikatorze znów pojawił się głos mówiący „Norcoloh Idej, Norcoloh Idej...”

Tymczasem w apartamentach Trójprzymierza Valasos na Coruscant Mistrz Jedi Quell Perr spotkał się z Okuunem i jego uczniem Rexem. Szli na spotkanie z Regentką. Najwyższą władzą Trójprzymierza. Jest to jedna z najsilniejszych frakcji w odległych rubieżach graniczących z niezbadanymi terytoriami. W skład tego przymierza wchodzi trzy systemy.

Dathor, Menan i Gor. Przed laty targały nimi ciągłe wojny, dopóki nie pojawił się człowiek o imieniu Valasos, który zakończył panujące konflikty i stworzył Trójprzymierze. Weszli do środka. Po wymianie zdań z szefem ochrony roslým Valdirem zostali zaprowadzeni do ustronnej sali, gdzie spotkają się z regentką. Szli długim korytarzem. Patrząc na prawo ujrzeni duże trójkątne okna ręki jednego z najlepszych obecnych architektów Tullusa Sulana z YagaMinor. Szli dalej. Ukazały im się wielkie drzwi. Strażnik otworzył je. W środku biegało pełno zajmujących się pracą ludzi. Przeszli przez sale. Dotarli do drugich drzwi za którymi czekała na nich regentka. Weszli do jej komnaty. Kobieta siedziała na wielkim dopasowującym się do ciała błękitno-zielonym fotelu. Obok niej stała dziewczyna w pomarańczowej jednolitej szacie z kapturem na głowie. Spod niego widniały lśniące blond włosy. Patrzyła na nich niebieskimi oczyma, nic nie mówiąc. Jedi na wejściu nisko się uklonili. Mistrzowie usiedli, a z tyłu za nimi stał młody Padawan. Regentka pierwsza rozwiązała panującą ciszę:

– Witajcie czcigodni Jedi... Zaraz wam przedstawię sprawę dla której was tu poprosiłam... – zwróciła się potem do dziewczyny stojącej obok – Aino, podaj gościom coś do picia.

– Tak pani... – odpowiedziała dziewczyna nisko się kłaniając.

Po chwili wróciła z pucharami pełnymi napoju z ich ojczystej planety. Był to jeden z najbardziej pożądanych i ekskluzywnych trunków w galaktyce. Nazywał się „Nektarem Ravva”. Smakiem nie porównywalny do żadnego innego znanego napoju. Kiedy wlewało się do ust zielonkawo-czerwoną

substancję, na początku czuć był lekką gorycz, przegradzająca się w cudowną słodycz z posmakiem czegoś czego nie da się opisać słowami.

– Regentko... Co się stało, że potrzebujesz pomocy Jedi? – spytał spokojnie Quell Perr.

– Otóż.. zaginął mój mąż... jakieś trzy tygodnie temu... wysłałam wielu znamienitych poszukiwaczy... lecz... bez rezultatu – wzięła głęboki oddech. – martwię się... On jest ważny nie tylko jako mój mąż... proszę was o pomoc...

Tylko Jedi będą w stanie znaleźć Admirala...– wypowiedziała z trudem powstrzymując łzy.

– Regentko... Gdzie ostatnio go widziano? – zapytał Oruun.

– Był z misją dyplomatyczną na Mon Calamari. Ostatnio były dwa zamachy na jego życie... znajdźcie go...

– Zajmiemy się tym natychmiast... Damy znać jak tylko coś będzie wiadomo... – powiedział Quell Perr.

Wstali, pożegnali się, skłonili nisko i wyszli udając się do portu. Regentka nie mogąc powstrzymać łez rozplakała się... po chwili zwróciła się do adiutantki...

– Aino... Proszę... Zostaw mnie samą...

– Tak pani... – wyszeptła dziewczyna, ukłoniła się i udała się do swojej komnaty.

Nagle otworzyły się tajne drzwi w ścianie i wyszła z niej postać. Wysoka, muskularna, według ludzkich pojęć przystojna. Postać miała włosy związane w koński ogon. Zresztą rosły i tak tylko na szczycie czaszki, reszta ciała pozbawiona była zarostu. Skórę miał na ogół zielonkawą. Ukłonił się przed regentką.

– Moja droga regentko Magato... wszystko idzie zgodnie z planem...

– Idź już...

Tajemniczy osobnik wyszedł zostawiając kobietę sam na sam z wielkim bólem w sercu.

Akinoma wraz z towarzyszami dotarła do „Przystani Bonadańskiej”. Ich oczom ukazał się duży budynek wysoki na dwadzieścia metrów. Ładnie ustrojony, zachęcał do wejścia.

Weszli do środka. Na wejściu przywitała ich miła muzyka grana przez zespół Bithów. Rasa ta to dwunożne humanoidy o powiększonych czaszkach, wielkich pozbawionych powiek oczach, zanikających nosach i wolach pod szczękami. Były one obdarzone doskonałym słuchem muzycznym. Pochodzili z planety Clak’dor VII w systemie Coli sektora Mayagil.

Tutaj w odróżnieniu od kiepskich lokali w jakich dziewczyna bywała nie unosił się zbyt często dym błyszczystymu albo innych używek. Po lewej ujrzała ludzi przy monitorach obstawiających na zwycięzcę wyścigu Boonta. Faworytem był jak ostatnio rekordzista Mars Guo. Udali się do wolnego stolika, gdzie rozsiedli się wygodnie. Zamówili Nerfie kotlety wraz z krwisto czerwonym teripskim piwem. Czekali na osobę z którą mieli się spotkać.

Kiedy posiłek dobiegał już końca, podszedł do nich człowiek, i przysiadł się od razu. Był to Szunaj.

– No Akinomo znów się spotykamy...

– Odejdź stąd glisto bagienna... – wycedziła.

– Uroczą jak zwykle... ale dziś tak łatwo się mnie nie pozbędziesz... – dał znak ręką swoim ochroniarzom i chwycił dziewczynę pod ramię – Idziemy!

– Nigdzie z Tobą nie pójdę... – krzyknęła i uderzyła go mocno łokciem w brzuch.

Mężczyzna upadł na kolano. Jego ludzie rzucili się za nią w pogoń. Kid i Pollus wstali rzucając się jej na pomoc. Ochroniarzy Szunaja było siedmiu. Duros wziął drewniane krzesło i rozwalił je na

głowie najbliższego człowieka. Ten padł na ziemię nieprzytomny. Kid rzucił się na rosnącego trandoshanina. Kopnął go mocno w prawy bok, lecz ten nic chyba nie poczuł.

Zamachnął się na mężczyznę, lecz nie trafił i przewrócił się na rosnącego Gor'a stojącego przy barze. Zdenerwowany osobnik o dużej sile wziął trandoshanina i rzucił nim w stół. Zostało pięciu. Akinoma zadawała płynne celne ciosy w twarz przeciwnika, który po chwili padł nieprzytomny na ziemię. Rozjuszony Gor zdecydował się włączyć do bójki. Wziął dwóch kolejnych ludzi Szunaja rzucając nimi jak kulkami. Nagle dziewczyna dostała mocny cios w szczękę. Poczula srogi ból płynący z lewego policzka i wypluła wybity ząb. W ferworze walki spostrzegła dwie postacie wychodzące z lokalu. Ślepeca wraz z sześciookim Thrillem.

„Co jest??” – zastanawiała się. Wiedziała, że widziała już te postacie już na Nar Shaada.

Wyszli przez drzwi. W momencie gdy się za nimi zamknęły otworzyły się ponownie. Do środka weszła lokalna policja z blasterami w rękach. Okrążyło ich dziesięciu policjantów.

Jeden będący najwyższym stopniem przemówił:

– Dobra... Uspokoić się!! Co tu się dzieje? – rzekł i skierował się do pokornego właściciela lokalu – Kto zaczął?

– Panie mój... Ta kobieta wraz z swoimi towarzyszami napadła mojego drogiego gościa Czcigodnego Szunaja... – wyartykułował pokornie właściciel rasy Twi'Lek.

– To kłamstwo!! – krzyknęła Akinoma.

– Kto mówi prawdę, a kto kłamie to rozsądzę ja! – głośno dał do zrozumienia kto tu rządzi. Nagle podszedł do niego jeden z jego oficerów, pokazując mu holoprojekcję.

– No... No... Akinomo Ikiv jesteś aresztowana za morderstwo... Twoi towarzysze niech lepiej stąd idą póki nie zmienię zdania...

– Co???! – wyjąknęła.

– Jest za ciebie wyznaczona sowita nagroda... Brać ją... – zwrócił się do Szunaja – A pan niech zabiera swoich ludzi i także idzie...

Strażnicy skuli kajdankami Akinome Ikiv i wyprowadzili z lokalu. Za dwoma strażnikami poszła reszta policjantów. Pollus dostał jakąś wiadomość od człowieka i dał znak towarzyszowi. Wspólnie udali się szybko do portu obmyślając plan odbicia towarzyszki.

Policja spokojnie szła w kierunku tutejszego więzienia. Nagle na ich drodze stanęła postać. Był to wysoki mężczyzna, dobrze zbudowany, barczysty, w stroju w którym można było zauważyć wiele pustych miejsc. Dowódca oddziału podszedł do niego.

– No jesteś... mamy ją...

– Dobrze... Masz tu obiecaną część – wręczył mu kartę z dużą sumą kredytów.

– Dzięki – wziął od niego kartę, uruchomił i na widok cyfr ukazujących się na ekraniku oczy mu rozblęły światłem pełnym chciwości. Następnie zwrócił się do swoich podwładnych – Dobra zostawić ją... Nasz drogi przyjaciel się nią zajmie...

Idziemy.

Postawili ją skutą na ziemi i odeszli. Dziewczyna podniosła głowę i spojrzała na mężczyznę.

Niestety знаła go aż za dobrze. Był to znany łowca nagród Lotap Kerr. Podszedł do niej i wystrzelił z blastera. Kobieta straciła przytomność. Wziął ją na ramie i udał się do portu.

Przeglądali się temu ukryci Kid i Pollus. Wiedzieli, że nie mają szans z łowcą nagród, obytym w sztukach walki. Dlatego też nie interweniowali. Ciekawi byli o co chodzi.

Zdecydowali się pójść za łowcą i przy nadarzającej się okazji odbić Akinome...

Minęły dwa dni. Tyle Arnit policzył, będąc na statku swoich wybawicieli. Cały czas spędzał z Anelim. Bardzo ją polubił. Czuł się strasznie dziwnie w jej obecności. Wcześniej po tragedii przepływał przez niego czysty gniew. Teraz było inaczej. Kiedy siedział z kobietą, patrzył w jej zielone oczy, piękne, spokojnie, przyciągające jak wspaniałe morza Antura. Jej obecność uspokajała go. Sprawiała, że jego serce raz biło wolniej raz szybciej. Wydawała mu się bardzo piękna. Jednak zastanawiał się... dlaczego widział widmo tej kobiety na pustyni...

Czemu widział ją w swoich snach.. Odrzucił te dziwne myśli. Zdecydował się zapomnieć.

Jego mistrz mówił: „Skup się na Tu i Teraz”. Taki też miał zamiar. Wiedział, że zaczyna coraz bardziej lubić tą kobietę i nie tylko dlatego, że uratowała mu życie. Dowiedział się, że był na statku Garn’a Leblisa. Człowieka z pochodzenia Aldeerańczyka. Zajmował się on tzw.

„Swobodnym transportem towarów”. Była to nazwa jaką lubił używać na proceder, który uprawiał czyli przemyt. Lecieli teraz na Myrkr. Coś niepokoiło młodego jedi, lecz nie wiedział w tej chwili co. Niespodziewanie wszedł do środka Garn.

– Arnit mój chłopcze... Za 2 dni znajdziemy się na Myrkr... potem odwiozę cię gdzie będziesz chciał...ale...

– Dziękuję...

– Ale... chciałbym cię prosić o przysługę...

– Zrobię wszystko... W końcu uratowałeś mi życie – odpowiedział z wdzięcznością w głosie chłopak.

– Będziesz musiał użyć swoich sztuczek jedi... ale to ci wyjaśnię jak dotrzemy... odpoczywaj...

Wszedł i zostawił chłopaka samego. Arnit rozmyślał. „Czy Jedi może czuć miłość?, Czy Jedi może kochać...?” – zastanawiał się. Zdecydował się nie myśleć jednak nad tym za dużo.

Po chwili weszła do środka piękna Anelim. Dziś jednak na jej twarzy malował się dość widocznie smutek.

– Czy coś się stało? – spytał spokojnie Jedi.

– Chodzi o mojego brata... nie miałam od niego dwa tygodnie wieści... martwię się Arnit...

– Nie martw się... wszystko będzie dobrze – próbował pocieszać chłopak.

– Lecimy na Myrkr, tam ostatnio przebywał mój brat. Nie wiemy co tam spotkamy ani co tam się działo... Arnit... – zawahała się, wzięła głęboki oddech – Czy pomożesz mi go odnaleźć na planecie jak już dotrzemy???

– Tyle chociaż mogę zrobić, żeby się odwdzińczyć... – odrzekł chłopak widząc pojawiający się szczerzy uśmiech na twarzy kobiety.

Ku zdziwieniu padawana Jedi kobieta zaczęła płakać. Przytuliła się do niego i szczerze się rozplakała. Chłopak nie wiedział co ma czynić. Zdecydował się poddać Mocy. Ta mu jak zwykle poradziła najlepiej ze wszystkiego co znał. Przytulił ją mocniej do siebie. Kobieta czując to spojrzała na niego zapłakana. Uśmiechnęła się. Ich spojrzenia spotkały się. Arnit nie mógł oprzeć się magii jej wspaniałych zielonych oczu. Dziewczyna nagle przysunęła się bliżej. Zdezorientowany młodzieniec nie wiedział co czynić. Anelim pocałowała go czule w usta... Chłopak na krótką chwilę zapomniał kompletnie o trapiących go zmartwieniach...

Kid wraz z Pollusem dotarli do portu i wsiedli czym prędzej na statek Akinomy.

Wystartowali w pogoni za łowcą nagród. Jednak Szunaj też nie próżnował. Także chciał

rozmówić się z dziewczyną. Skoczył jako pierwszy za łowcą. Komputer nawigacyjny statku Ikiv namierzył dokąd skacze łowca. Celem była planeta Kuat. Oboje bardzo zdziwili się dlaczego akurat tam. Kid przesunął dźwignie napędu nadprzestrzennego. Skoczyli w pogoni za nim. Mężczyzna zostawił Pollusa przy sterach, a sam poszedł się położyć. „Kiedy mi wróci pamięć... „– myślał. Zamknął oczy. Zasnął... Nawiedził go w nocy kolejny sen. Widział znowu kobietę, która jak domniemał nazywała się Magata. Szedł długim korytarzem. Wszedł do wielkiej sali. Spojrzał na lewo. Dostrzegł taras. Wyszedł na zewnątrz. Wtedy nie mógł uwierzyć w to co widział. Miasto, wielkie ogromne... Niegdyś pełne życia... teraz płonęło...

Wszędzie było słychać krzyki... pełne bólu i cierpienia... Spojrzał w górę... Zobaczył statki...

małe czarne okręty zrzucające bomby na miasto. Pojazdy powietrzne miały charakterystyczne, wyrastające z kadłuba do góry, trzy wieże tudzież rogi. Z nich miotali uciekających cywilów laserowym ogniem. Cofnął się przerażony i wpadł na biegnącego człowieka. Podniósł go... Ten ku jego zdziwieniu padł przed nim na kolana...

– Admirale... Przepraszam to koniec... Regentka nie żyje... to koniec – Krzyknął człowiek, pobiegł na taras i w amoku rzucił się w dół.

„Admirale???” – myślał. Zastanawiał się o co chodziło. Nagle zmieniło się jego postrzeganie otaczającej rzeczywistości. Widział postacie... planety... ludzi... Było to nad wyraz dziwne.

Potem ujrzał ślepcę... w opasce jakby patrzącego na niego... Następnie zwłoki kobiety, którą widział w śnie... Magaty... podbiegł do nich... widział, że nie oddycha...

– NIE!!! – krzyknął.

Obudził się cały zlany potem. „Admirał” – zastanawiał się. Nie rozumiał swoich snów i były one co najmniej dziwne. Wstał i poszedł do sterowni. Zdecydował się porozmawiać ze swoim towarzyszem o Akinomie, której naprawdę w ogóle nie znał.

– Pollusie... Długo znasz Akinome?? – spytał.

– Jakies dwa lata... jednak znam ją dobrze... – odpowiedział patrząc prosto na rozmówcę.

– A co z osobą z którą mieliśmy się tu spotkać?

– Aa.. Mieliśmy się spotkać z pewnym biznesmenem... Niubem Shix.. Dostałem wiadomość, że opuścił planetę dzień wcześniej. Mamy się z nim spotkać za równe pięć dni na Coruscant.

– Aaa.. Coruscant.. – Westchnął – Jestem ciekawy... ee... Czemu ona tak się obawiała Szunaja...?

– To jest sprawa z jej dalekiej przeszłości...o której to chciałaby najlepiej zapomnieć... Swojego dzieciństwa nie pamięta... Wszystko co pamięta zaczynało się od momentu, kiedy kupił ją Szunaj od Hutta imieniem Bogga. Była jego niewolnicą... traktował ją... strasznie... bił... robił wiele rzeczy, który normalny człowiek nigdy by nie zrobił kobiecie... Jednak w końcu zaczął ją szanować i nawet uwolnił ją robiąc z niej swoją współpracownicę... Potem uciekła... O Szunaju wiem, tylko, że jest handlarzem niewolników. Ostatnio zasłynął polując wraz z trandoshaninami na wookie...

– Widzę... że to poważna sprawa... Nie martw się uratujemy ją... – powiedział spokojnie, pewnie i z siłą w głosie.

Pollus spojrział na niego. Zastanawiał się kim był. Wiedział, że stracił pamięć.

Podchodził do niego z pewną rezerwą. Na początku nie ufał mu, lecz teraz... Powoli się przekonywał co do swojego towarzysza. Lecieli dalej w nadprzestrzeni i rozmawiali o wszystkim i o niczym. Do celu ich podróży zostało półtora dnia...

ROZDZIAŁ 3

Wszechświat był olbrzymi, zamieszkiwany przez setki milionów różnorodnych istot.

Był on podzielony na kilka dużych części. Sektor wspólny to część znanej galaktyki najwyraźniej pozbawiona ras tubylczych, a składająca się z kilkudziesięciu tysięcy systemów słonecznych. Były także zewnętrzne odległe rubieże zlokalizowane na obrzeżach galaktyki oraz wewnętrzne odległe rubieże. No i w końcu Jądro Galaktyki, centralny jej rejon, w którym znajdują się Światy Środka i Środek Galaktyki. W tym rejonie były zlokalizowane władze Republiki. Od światów środka zaczęła się kolonizacja i ekspansja galaktyczna rozprzestrzeniająca się na wszystkie strony. Jednak cały ten wszechświat był zbudowany na jednym fundamencie. Fundamencie zwanym cierpieniem. Czyż nie to łączy wszystkie istoty? Odczuwanie tego uczucia było znane wszystkim. Co do tego prowadziło?

Smutek... Gniew... Nienawiść... Strach... Rozpacz...

Elementy popychające ku Ciemnej Stronie Mocy. Najlepiej można to wyjaśnić na przykładzie historii kilku planet leżących w zewnętrznych odległych rubieżach. Otóż na planecie Kari rządził okrutny dyktator Maddas. Swoim ludem poniewierał od wielu lat. Jedną z według niego gorszych ras zamieszkujących planetę prawie wytepił. Otóż był on wielkim szaleńcem. Zbudował przerażającą broń biologiczną, bazująca na straszliwej nieuleczalnej chorobie. Planety leżące w pobliskich systemach zaczęły się powoli obawiać osoby Maddasa.

Wlewał się w nich strach przed nim... Zdecydowali się zjednoczyć i wspólnie przeprowadzić szybki i skuteczny atak na jego system słoneczny. Przewodzili temu zjednoczeniu przywódcy dwóch najsilniejszych systemów Shub z Asu i Rialb z Ailgn. Wspólnie udało im się przemówić do rozsądku innym i zebrać silną armię uderzeniową. Ich strach przerodził się w paniczną nienawiść. Była to dla nich jedyna obrona przed ich strachem. W końcu zebrali sporą flotą statków, wielu ambitnych, chętnych do walki żołnierzy. Wyruszyli do systemu Kari. Tam rozegrała się wielka bitwa. Maddas w zenicie swojego szaleństwa wiedział, że przegrywał. Był to jego koniec.

Strach poprowadził do nienawiści... Nienawiść do cierpienia...

W czasie tej bitwy zginęło wielu niewinnych ludzi mieszkających na planecie. Straty w żołnierzach były ogromne po obu stronach. Gdy oddział żołnierza Shuba wdierał się do pałacu Maddasa, uruchomił on swoją broń ostateczną. Trzy automatyczne myśliwce wystartowały z tajnych lądowisk udając się na wcześniej podane koordynaty. Myśliwce dotarły do ojczystych planet Shuba i Rialba. Tam rozrzuciły po planetach zarazki śmiertelnej choroby. Strach Maddasa doprowadził do kolejnego Cierpienia... Dyktatora złapali i zabili.

Jednak po kilku miesiącach ojczyste planety Shuba i Rialba przestały istnieć. Mieszkańcy zostali zdiesiątkowani przez chorobę. Strach kilku ludzi doprowadził do Cierpienia kilku dziesięciu milionom ludzi. W tym przykładzie nie przeżyli, ale jednak widać co podstawy ciemnej strony mogą zrobić... do czego mogą doprowadzić...

Większość ludzi uważało, że tragedie i różnieszczęścia, które doprowadzały do cierpienia, były karą za grzechy przeciw bogom. Czy było tak w istocie? Czy zło jakie nas spotyka to kara? Czy cierpienie jest złem? Gdyby istniał wszechświat pozbawiony zła to co to byłby za wszechświat?

Utopia...

Raj...

Losy galaktyki są zbudowane na fundamencie cierpienia. Ono ją ukształtowało. Tylko to kształtuje psychikę. Wojny... Śmierć... Nieszczęścia... Były to tylko części... Wydarzenia jakie wpłynęły na losy zarówno jednostek jak i całych populacji. Silne jednostki przetrwają cierpienie... On je ukształtuje i wzmocni psychicznie. Każda tragedia prowadzi do smutku, a ten do cierpienia. To uczucie nas przenika... towarzyszy nam od narodzin, aż po śmierć. Bez niego nie było by życia. Istoty inteligentne broniły się przed cierpieniem od początku swego istnienia i będą się bronić aż do końca.

Fundamentem galaktyki jest cierpienie... Teraz nadchodziły czasy, kiedy to miało ono zebrać swoje żniwo...

Padął gęsty deszcz. Przez szaro-granatowe pustkowia biegły dwie postacie. Jedna wyglądała na człowieka, a druga na Ferrola. Rasa Ferrol pochodziła z Ferr II, planety znajdującej się w wewnętrznych odległych rubieżach. W sumie była ona znana tylko z tego, iż produkowano tam doskonałą broń białą, a specjalnością był unikalny model wibroostrzy.

Wibroostrze natomiast był to nóż albo sztylet wyposażony w generator ultradźwięków, powodujących wibrację ostrza, dzięki czemu była to bardzo groźna broń w walce wręcz.

Czyniła poważne rany przy nawet najmniejszym dotknięciu. Ferrol był niski, postawny, muskularny o łysej głowie. Szaro-zieloną skórę porastało futro. To co mogło przykuć uwagę w tej postaci to srebrna rękojeść przypasana do pasa. Biegli kawalek, aż dotarli do wejścia grotu.

– Lekod, mój uczniu.. musisz uciekać... musisz powiadomić co tu się stało... co tu się dzieje... – rzekł człowiek.

– Mistrzu Dev... Ja nie zdołam...

– Zapomnij na chwilę o swoich słabościach mój padawanie... Słabości można się wyzbyć! Akceptacja ich i ciągle usprawnianie się w tych dziedzinach sprawi, że one znikną... Zapamiętaj mój uczniu... Dzięki Mocy możesz się stać doskonałym... – artykułował z drzeniem w głosie – A teraz... Po drugiej stronie grotu jest wyjście... Tamtędy dotrzesz do miasta... Idź... Biegnij.. – Prawie krzyczał widząc dwie zbliżające się powoli postacie.

– Mistrzu...

– Idź... biegnij... nie odwracaj się... choćby nie wiem co się stało nie możesz się odwrócić... – łyż zaczęły mu spływać po policzku. – Niech Moc będzie z Tobą...

Lekod odwrócił się i zaczął szybko biec. Tymczasem Dev stanął równo i twardo na nogach i chwycił srebrną rękojeść miecza świetlnego. Skoncentrował się na Mocy.

Kompletnie otworzył się na nią. „Ja jestem pucharem, który wypełnia Moc” – rzekł w myślach. Czuł jak wlewa się w niego z całą siłą. Strach przez chwilę przedzierał się na zewnątrz, ale zdolny mistrz od razu go wyciszył i wyeliminował. Dwie postacie zbliżyły się

do niego. Ku jego zdziwieniu były to kobiety. „Z dwiema kobietami dam rade” – zastanawiał się. Stał z przygotowaną bronią. Myślał dlaczego nie atakują. Nagle zza ich pleców jak cień wyłoniła się trzecia osoba. Stąpała powoli, lecz stanowczo. Ciężkie buty słyhać było wielkim echem w małym kanionie w jakim się teraz znajdowali. Osoba miała na sobie płaszcz z kapturem chroniącym ją przed deszczem. Stała przed dwoma dziewczynami. Spojrzała na Deva, jakby analizując i przekazując, że

to jego koniec. Ku zdziwieniu Mistrza Jedi, zaczął czuć strach przed tajemniczą postacią. A zwłaszcza budziły przerażenia jej oczy, straszne granatowo-pomarańczowe oczy.

Niespodziewanie postać zdjęła z siebie płaszcz. Jego oczom ukazała się głowa, także człowieka, lecz jakby nie do końca. Coś było w niej dziwnego. W końcu postać mrugnęła oczyma i wszystko się wyjaśniło. Nie miał powiek. Mrugnięcie wyglądało jakby wewnątrz oka. Wtedy tylko kolor zmienił się z granatowo-pomarańczowego na przeraźliwie czerwony.

Cały czas miał broń w pogotowiu. Oprócz straszego zapachu deszczu, czuć było w powietrzu, wielkie napięcie, które lada chwila miało wybuchnąć niczym supernowa.

Niespodziewanie postać przemówiła:

- Norcoloh Idej... Norcoloh Idej...
- Jedi... rzuć broń! – wyszeptała pierwsza kobieta.
- Broń rzuć, albo śmierć poniesiesz – dodała druga.
- Nie! – odparł stanowczo.

Zobaczył, że tajemnicza postać daje kobietom znak. Domyślił się, iż mają iść w pogoń za jego uczniem. Nie mógł na to pozwolić. Zapalił miecz świetlny. Kobiety zatrzymały się jak porażone tutejszym paraiorunem. Dev na to liczył. Obrócił się i rzucił mieczem świetlnym w stronę grotu. Kierował nim dzięki Mocy. Wprost na górę wejścia do jaskini. Miecz dotarł do celu przecinając kawałek skały. Jednak Moc nim prowadziła. Wiedział o tym doskonale.

Toteż w miejscu, gdzie miecz styknął się z skałą powstała wielka wyrwa. Po chwili rozszerzyła się. Jedi na to liczył i skierował mocą raz jeszcze broń w tą samą stronę. W tym czasie kobiety zaczęły biec. Jedi pchnął je Mocą, dzięki czemu się przewróciły i zdobył chwilę czasu, którego bardzo potrzebował. Miecz przeciął wyrwę stanowczo i pewnie.

Kamienie zaczęły spadać i po chwili wejście do jaskini zostało zasypane. Postać patrzyła tylko na rozwój sytuacji. Kobiety wstały i wyjęły broń, która wyglądała jak długie kije. Na końcu było ostrze, długie i śmiercionośne. Mistrz nigdy nie widział takiej broni. Nagle ostrze wysunęło się i skrzywiło w jedno stronę. Zaczęło się szybko obracać wokół własnej osi tworząc jakby śmigło. Jedi rozpoznał teraz tą broń. Sam nigdy jej nie widział, ale słyszał pewne historie. Takiego narzędzia używały najemniczki Redair. Wiedział, że są doskonale wyszkolone i nawet dla Jedi sprzymierzonego z Mocą trudno będzie je pokonać.

Wojowniczkami Redair krążyły koło niego szykując się do ataku. Ich przywódca, bo tak nazwał go Dev, stał przyglądając się. Mistrz wzmocnił uścisk na rękojeści czekając na atak. Nagle najemniczki zadały ciosy równocześnie jedna z tyłu druga z boku. Jedi używając Mocy odskoczył do tyłu, i lewą ręką pchnął wojowniczkę, która straciła równowagę. Zaczął zadawać ciosy w kierunku drugiej przeciwniczki. Blokowała skutecznie swoją bronią jego ataki. Mistrz Jedi zdziwił się wielce, że miecz świetlny nie przeciął tego oręża na pół. Druga przeciwniczka wstała i chciała go zaatakować z tyłu. Jedi nie był dostatecznie szybki. Broń kobiety przecięła mu bok. Dev odskoczył do tyłu. Spojrzał na ranę dostrzegając, iż krew sączyła się z niej mocno. Dzięki Mocy nie czuł praktycznie płynącego z rany bólu.

Przeciwniczki powoli zbliżały się pragnąc zadać śmiertelne ciosy, lecz stało się coś dziwnego.

Postać mężczyzny dała znak ręką. Dziewczyny cofnęły się i stanęły obok siebie przyglądając się. Ich przywódca wyjął dwie złote rękojeści. Dev wzmocnił uścisk na rękojeści i jeszcze bardziej się skoncentrował. Jego łączność z mocą znacznie się powiększyła. Wróg nacisnął dwa guziki znajdujące się na rękojeściach. Wysunęły się z sykiem dwa ostrza. Jedno ciemno granatowe, prawie czarne,

a drugie żółte, prawie białe. Zaczął machać dwoma mieczami.

Kiedy skończył „rozgrzewkę” skrzyżował broń przed sobą. Lekko skinął głową przeciwnikowi jakby na dowód uznania, że staje z nim do pojedynku. Będzie to walka zła z dobrem, jasnej strony Mocy z Ciemną stroną. Mistrz odpowiedział mu również skinieniem.

„Sith???” – zastanawiał się. Widział w jego pomarańczowo-granatowych oczach determinację, gniew i niezmierną pewność siebie. Wróg zaatakował pierwszy. Ciął dwoma ostrzami to z lewej to z prawej. Jedi na razie powoli cofał się odpierając jego ciosy. W końcu zablokował jego miecze. Doszło do zwania. Syk stykających się świetlnych szabli roznosił się głośnym echem po kanionie. Dev popatrzył mu w oczy. Ten również odpowiedział również spojrzeniem. Chwilę stali tak w zwanu pojedynkując się wewnątrz przez Moc.

Nagle napastnik odepchnął go z całej siły. Zdezorientowany Jedi upadł na ziemię, a rękojeść wypadła mu z ręki. Poczul lekki ból w boku. Ból miał zaraz przerodzić się w cierpienie.

Mistrz Jedi dobrze znal fundament wszechświata, lecz akceptował go z wielką pokorą.

Usłyszał szyderczy śmiech. Powoli zbliżał się chcąc go zapewne zgładzić. Używając Mocy wstał szybko i sięgnął po broń. Wtedy nieprzyjaciel zaatakował. Dzięki szybkości Mistrza Jedi, wróg zdołał tylko odciąć mu poniżej łokcia lewą rękę. Grymas bólu pojawił się na twarzy Deva. Nienawiść wroga doprowadziła do cierpienia Jedi. Fundament wszechświata powoli go opanowywał. Przeciwnik uśmiechnął się ukazując srebrne ostre zęby. Jedi skupił się na Mocy. Był z nią kompletnie połączony. Czul jak przelewa się w niego odcinając ból od umysłu, żeby mógł walczyć dalej. W prawą rękę wziął miecz. W dowód uznania odwagi przeciwnika wróg skinął głową. Wiedział już, że jego szanse na zwycięstwo bardzo wzrosły.

Nieprzyjaciel z wolna zaczął zadawać ciosy dwoma mieczami. Jedi z trudem je parował, ale udawało mu się. Nagle tajemniczy napastnik zablokował orężem miecz Mistrza Deva i z pół obrotu kopnął go w twarz. Jedi przewrócił się i padł na ziemię. Szybko jednak wstał wziął miecz i dźgnął przeciwnika w nogę. Zobaczył grymas bólu na jego wstrętnej twarzy i gniew, rosnący gniew...

Przeciwnik szybkimi ruchami pozbawił Jedi broni i wbił miecze w pierś Deva.

Następnie wyjął ostrze i lewą ręką, z pół obrotu odciął mu głowę. Spadła na ziemię i potoczyła się o kilka metrów dalej. Ciemny Jedi wyłączył ostrza. Szybkim ruchem przypiął je do pasa. Ciało martwego Jedi upadło na ziemię. Dał znak swoim towarzyszkom, by szły za nim. Stał przed zawaoną grotą. Wyciągnął ręce przed siebie. Złączył je w pięść. Po chwili otworzył dłonie. Z czubków palców zaczęły wylatywać błyskawice ciemnej strony likwidując kamienie zawałające jaskinie. Były to białe lub błękitne wyładowania przypominające błyskawice. Jeśli używane były przeciw żywym istotom, sprawiały ostry ból i wysysały z ofiary siły życiowe, co prowadziło ostatecznie do śmierci. Rycerze Jedi nie używali tej metody, ponieważ uważali ją za złą. Jednak słudzy Ciemnej strony nie mieli takich zahamowań. Po chwili przejście było oczyszczone. Powoli zaczęli iść w pogoni za młodym Padawanem.

Lekod biegł płacząc. Przez Moc czul, że jego mistrz stał się jej częścią. Wiedział, że będą teraz go ścigać. Jeśli mu się nie uda uciec wszystko będzie stracone. Słyszał kroki pogoni. Były coraz głośniejsze. Zbliżali się. Padawan zaczął biec coraz szybciej. Obrócił głowę do tyłu i zobaczył trzy biegnące postacie. Nagle uderzył w coś twardego. Upadł na ziemię. Podniósł głowę i usłyszał głośny ryk. Był to mieszkaniec tej jaskini. Wielki i groźny Alucor. Miał z pięć metrów wzrostu i drugie tyle w szerokości. Z korpusu wychodziły dwie pary nóg i dwie gigantyczne ręce zakończone pazurami, które bez problemu rozerwałyby durastal. Lekod chwycił miecz świetlny. Chciał go włączyć, ale

było za późno. Potwór chwycił go całego. Jedi szamotał się w uścisku. Pościg zatrzymał się. Przyglądał się z niekrytą satysfakcją. Bestia wzmocniła uścisk. Lekod czuł jak wszystkie jego kości zaczynają pękać. Następnie prawie całego, już na wpół żywego Jedi włożył do paszczy przegryzając go na pół. Młody Padawan zmarł, a wraz z nim jego tajemnica...

Młody Arnit siedział, rozmyślając o ostatnich wydarzeniach. „Kim była ta istota w biało-Czerwonej zbroi???” – zastanawiał się. Wstał i wyszedł z kajuty. Przed nią czekał główny zaufany człowiek Leblisa o imieniu Chep. Miał on go zaprowadzić na mostek. Udali się tam razem na spotkanie z Garnem. Po krótkim przejściu kilku poziomów dotarli na miejsce. Oczom Arnita ukazał się duży, przestronny mostek. Znajdowały się tam cztery osoby. Oprócz kapitana było dwóch ludzi, Bothanin i Sullustianin. Wyglądając przez iluminator Jedi dostrzegł, że wyszli już z nadprzestrzeni i powoli zbliżają się do planety.

„Myrkr” – wyszeptał.

– Tak mój chłopcze... Jesteśmy na miejscu... Przed nami Myrkr...jedna z najmniej popularnych planet w galaktyce...

Zbliżali się spokojnie, nie za szybko. Chociaż planeta ta leżała w dobrze poznanej i skolonizowanej części galaktyki, to nie cieszyła się popularnością. Brało się to stąd, iż nie miała zbyt dobrych opinii wśród Rycerzy Jedi. Nigdy nie tłumaczyli dlaczego, ale zawsze starali się ją omijać szerokim łukiem. Dominującym krajobrazem Myrkr były wielkie puszcze. Istniała nie potwierdzona nigdy teoria, iż stąd pochodziła inteligentna rasa drzewo podobna Neti zwana także Ryyk. Wiadomo jedynie, że jeden z jej przedstawicieli Ood Bnar, w młodości żył na tej planecie. Potem dożył sędziwego wieku, walczył na Wojnie Sith i został jednym z najpotężniejszych mistrzów Jedi.

Po krótkiej chwili weszli w atmosferę planety i zaczęli szukać miejsca do lądowania.

Nagle ze strony puszczy wystrzelono dwie pojedyncze wiązki zjonizowanej energii. Statek Garn'a Leblisa został trafiony.

– Kapitanie! zostaliśmy trafieni... z działa jonowego – rzekł jeden z jego podwładnych jakby sam nie wierzył w to co mówił.

– Jak? skąd? – zapytał siebie. – Trzymać się! Zaraz się rozbijemy!

Statek chaotycznie zaczął opadać wprost na koniec puszczy. Widać było niewielką polankę.

Mieli nadzieję przelecieć jeszcze nad puszcza. Niestety nie udało się. Zabrakło marne osiem metrów. Z wielkim impetem wlecieli w ogromne drzewa, łamiąc i rozwalając wszystko w promieniu dziesięciu metrów. Zatrzymali się dopiero u wejścia na małą polankę. Arnit leżał na ziemi i rozglądał się. Zobaczył, że Garn wstaje:

– Czy wszyscy są cali?? – spytał.

– Kapitanie... Bail... nie żyje – powiedział z trudem mały Sulustianin.

– Niech to... Dobra wychodzimy na zewnątrz! – rozkazał.

Wyszli przed statek. Arnit dopiero teraz miał okazję zobaczyć na jakim statku się znajdował.

Był to średni frachtowiec zakładów Kuat Systems Engineering będących częścią Kuat Drive Yards. Wydawał się bardzo zmodyfikowany. Frachtowcem zwany był każdy statek cywilny, używany do przewozu ładunków lub pasażerów. Były z zasady powolne, tak w normalnej przestrzeni, jak i w nadprzestrzeni. Nie miały uzbrojenia czy dobrych generatorów pól ochronnych. Ten jednak był bardzo zmodyfikowany. Posiadał silne generatory pól wojskowego typu, potężny napęd oraz dobre

uzbrojenie. Jego załoga liczyła około dwudziestu osób. Wyszło jedynie dwanaście. „Po co zwykłym kupcom takie silne uzbrojenie?” – zastanawiał się chłopak. Nagle dało się usłyszeć dźwięk zbliżających się statków. Były to dwa myśliwce typu Cloakshape. Z lasu w tym samym momencie wyskoczyło trzydzieści kilka istot różnych ras z blasterami nastawionymi na zabijanie.

Podszedł do nich mężczyzna średniego wzrostu nie mający prawego oka i ucha.

– Rzućcie Broń! to może przeżyjecie – rzekł szyderczo.

– Róbcie co mówi... – rozkazał swoim ludziom Garn.

– Mieliście pecha rozbijając się właśnie tutaj... Brać ich...

Niski Golian zebrał wszystkie blastery leżące na ziemi. Pozostali ustawili więźniów w rzędzie i związali im ręce linami. Młody Jedi stanął za Anelim. Poprzez Moc dodawał jej otuchy, żeby się nie bała. Lubił ją, ale z całej siły i Mocy jaką posiadał bronił się przed czymś więcej.

Jego mistrz mówił kiedyś „Jedi nie powinien znać gniewu, nienawiści ani miłości” Chłopak nigdy nie dowiedział się o co chodziło Quell Perrowi. Ruszyli w kierunku wielkiej północnej puszczy...

Na korwecie klasy Marauder należącej do Szunaja wszyscy strasznie się kotłowali, biegając po całym statku. Przywódca siedział w swojej kajucie w wygodnym fotelu przy biurku z nogi położonymi na blacie. Myślał o Akinomie Ikiv. Pamiętał co mu zrobiła. Lewą ręką wygładzał starannie przystrzyżoną brodę i dotknął blizny na szyj idącej prawie od ucha do ucha. Byli teraz w pogoni za Lotapem Kerrem, łowcą który ma na swoim statku dziewczynę. Nagle jeden z jego ludzi wbiegł bez pytania. Szunaj zdenerwowany wstał i mocno uderzył wbiegającego człowieka.

– Obyś miał jakąś dobrą wymówkę, że mi przeszkadzasz w rozmyślaniach nerfi pomociu!!! – krzyknął.

– Szefie... Dostaliśmy przez holonet wiadomość... – wręczył małą holokartę Szunajowi.

Szunaj na widok imienia nadawcy pobladł jak ściana i zwolnił uścisk którym dusił mężczyznę. „Czego on chce?” – zastanawiał się. Minęła chwila zanim doszedł do siebie.

Biegając udał się na mostek.

– Wychodzimy z nadprzestrzeni!! Szybko!! – zaczął krzyczeć.

Jego ludzie czym prędzej zaczęli spełniać rozkaz. Po chwili wyszli z nadprzestrzeni w systemie Hellab, gdzie znajduje się tylko jedna planeta, zamieszkała przez prymitywne istoty.

Szunaj poszedł przeczytać całą wiadomość. Wziął mały notatnik i uruchomił go. Niestety tym razem wiadomość obejmowała sam tekst, bez żadnego video obrazu.

„Witam Ciebie Szunaju... Jesteś nędznym handlarzem niewolnikami, ale nawet ciebie obejmuje moje prawo tak jak innych. Stawki znasz...

Masz jeden dzień na dostarczenie mi przesyłki... Jeśli nie, to skończysz jako przykład dla innych...”

Poczuł nasilający się strach. W końcu i jego dopadła ręka tego okrutnika. Na dole pod wiadomość widniał znak. Znak, który w coraz większych kręgach budził respekt i strach...

Był to symbol „Czarnego Słońca”...

Mon Calamari to spokojna planeta o łagodnym klimacie w ponad dziewięćdziesięciu pięciu procentach pokryta wodą. Z jej błękitno zielonych mas wyłoniły się dwie rasy inteligentne: Mon Calamari i Quarren. Pomimo wielu różnic fizjologicznych i psychicznych ich dość dziwna współpraca trwała od wielu lat, co pozwoliło na osiągnięcie wysokiego stopnia rozwoju zarówno kulturowego jak i technicznego. Była to jedna z tych ras, która pierwsza samodzielnie wyruszyła

w kosmos. Przedtem jednak zbudowali olbrzymie, wielopoziomowe miasta unoszące się na łagodnych falach oceanów. Górne, nawodne poziomy zamieszkiwali Mon Calamari, dolne zaś preferujący życie w głębinach Quarrenowie. Wody tej planety dosłownie roiły się od rozmaitych form życia. Poczynając od najpopularniejszych gatunków ryb, takich jak Glurpy, aż do śmiertelnie groźnych Krakana. W podmorskiej jaskini znajdował się też najpilniej strzeżony skarb planety tzw. Bank Wiedzy.

Była to kolonia inteligentnych mięczaków przekazujących z pokolenia na pokolenie pamięć o wszystkim, co kiedykolwiek wydarzyło się w morzach planety.

Do niej właśnie zbliżali się Rycerze Jedi w swoich zmodyfikowanych myśliwcach klasy Delta 7. Brak miejsca na pożywienie i inne zasoby konieczne do życia nie był większym problemem dla Jedi, który może wejść w trans hibernacyjny znacznie obniżając spożycie tych materiałów. Paliwa na normalne loty Aethersprite miał pod dostatkiem. Sprawę poruszania się w nadprzestrzeni rozwiązano zaś przez dołączenie pierścienia z hipernapędem i dodatkowymi silnikami produkowanego przez TransGalMeg Industries. W przypadku konieczności lądowania w niedostosowanych dla tej maszyny miejscach pierścien ów może być pozostawiony na orbicie. Z reguły odłączało się go też na czas walki czy podobnych wydarzeń. Dodatkowo w skrzydło myśliwca wbudowano robota astronawigacyjnego, który zajmuje się obliczaniem skoków nadprzestrzennych i niewielkimi naprawami w czasie lotu.

Rycerze Jedi ustalili, że wylądują w pływającym mieście Heureka. Tam właśnie ostatnio widziano Admirała Rutra'Dika. Mieli nadzieję, wpaść na jakiś ślad. Wyszedł im naprzeciw Acker, młody i ambitny polityk, mający pełnić niedługo funkcję ambasadora. Został wysłany, żeby się zaopiekować Rycerzami Jedi.

– Witam was Czcigodni Jedi, Jestem Acker. – uklonił się nisko i mrugnął wyłupiastymi oczami.

– Witaj – odparli również kłaniając się. Następnie Quell Perr dodał – Czy możemy porozmawiać gdzieś w ustronnym miejscu?

– Tak. Właśnie chciałem to zaproponować, Proszę! Chodźcie za mną, Musimy omówić wiele spraw... – odparł z niepokojem w głosie.

Razem udali się do apartamentu, gdzie Acker chciał im wyjaśnić kilka ważnych spraw.

Arnit wraz z pozostałymi jeńcami powoli dochodzili do celu. W skład ich oprawców wchodziły istoty różnych ras. Jego uwagę przykuła postać człowieka bez ucha i oka. Nie rozumiał dlaczego, ale ciągle mu się przyglądał. Wiedział, iż ma Moc i mógłby w krótką chwilę wyzwolić się z więzów. Szybko pokonałby obstawę, ale nie zrobił tego. Młody chłopak chciał się przekonać kim oni są i co tu się dzieje. Rozejrzał się wśród więźniów w poszukiwaniu Anelim. Ku jego radości dojrzał ją przed dwoma osobami z przodu. Szła skrupowana wraz z Garnem. „Na szczęście nic jej nie jest...” – stwierdził w duchu. Doszli do połowy puszczy. Na gałęziach dzieciak dostrzegł dziwne zwierzęta. niespotykane dla niego było to, że nie mógł je wyczuć poprzez Moc. Dziwne było, że teraz w ogóle jakby nie czuł powiązania z Mocą. Bardzo zaniepokoiło to młodego chłopaka. Zauważył fakt, że w tej części puszczy wygląda ona tylko od góry jak wielki las. Z miejsca gdzie szedł można było zauważyć wiele drzew i tyleż słupów. A na nich rozłożona wielka, zielona siatka. „Emitery holograficzne??” – zastanawiał się. Wszędzie było porozrzucane pełno sprzętu, ubrań, broni i różnych tego typu rzeczy. Wszędzie gdzie się obejrzał, napotykał spojrzenia pełne nieufności, gniewu, a nawet nienawiści. Zatrzymali się.

– Ty rozumiesz jesteś kapitanem... – zaczął jednooki przywódca oprawców zwracając się do

Garna – Wybierz dwójkę ze swoich ludzi którzy pójdą z tobą.

– Dokąd idziemy? – spytał – Anelim i mój syn Arnit... Ich biorę – rzekł i wskazał na dwójkę którą wymienił.

– Chodźcie za mną...

Udali się w kierunku namiotu największego i najbardziej wyróżniającego się w tym niby obozie. Arnit dostrzegł dwóch roślących Rodian trzymających duże i wściekle patrzące bestie.

Ślina kapiała im z ostrych jak wibroostrze kłów. Nigdy przedtem nie widział takich stworzeń.

Przed namiotem stały dwie istoty rasy Ghok. Wyglądały imponujące. Miały ze cztery metry wzrostu. Ich ciało obrastało jakby granatowo-czarne futro. Na dłoniach dostrzec można było ostre pazury. Siłę mieli niezmiernie wielką toteż na taką profesję nadawali się wyśmienicie.

Na widok jednookiego skłonili lekko głowy i groźnie spojrzeli na Arnita. „Czemu mi się przyglądają?? Czy oni potrafią wyczuwać Moc??” – myślał. Po chwili weszli do środka. Jedi czekał tylko na odpowiednią chwilę do działania. Coś go znowu poraziło. Jego łączność z Mocą kompletnie zniknęła. Nie rozumiał o co chodzi, ale na terenie namiotu nie wyczuwał w ogóle Mocy. Pomyślał, że to nic i odłożył te rozmyślania na inny czas. W środku jego oczom ukazał się mały jakby pokój. Po lewej leżały skrzynie, a na nich futro jakiegoś zwierzęcia.

Gdy jedi spojrział na prawo dostrzegł wiele eksponatów i dwa dziwne stworzenia w klatce.

Doszedł do wniosku, że człowiek do którego tu przyszli był jakimś zapalonym myśliwym. Na ścianie namiotu wysiała głowa Wampy z Hoth, obok znajdowało się oko na drewnianej tabliczce, podpisanej „Oko Ceranos”. Chłopak pomyślał, że to jakieś zwierzę, jednak nie znał go. Na dole dostrzegł duże kły jakiegoś olbrzymiego zwierzęcia. Kiedy się obrócił żołądek prawie podszedł mu do gardła. Ujrzał na ścianach ludzkie głowy jak trofea. Na fotelu przed nimi siedział człowiek. Co do tego nie było żadnych wątpliwości. Mężczyzna był wieku pięćdziesięciu paru lat. Był łysy, a głowę pokrywały różnokolorowe tatuaże o dziwnych wzorach. Układały się w kształt piramidy. Zmierzył ich groźnie wzrokiem. Wskazał ręką trzy krzesła stojące nieopodal, a następnie dał znak jednookiemu, żeby zostawił ich samych.

– Witajcie... Wylądowaliście na mojej planecie... Niestety dla was... Tak łatwo was nie puszcze – uśmiechnął się złowieszczo.

Dostali znak ręką, że mają usiąść. Zaczęli rozmawiać. Arnit dostrzegł leżący nieopodal blaster.

– Znajdujecie się na Myrkr, ale to już na pewno wiecie... Widzieliście co widzieliście i już nic tego nie zmieni...

– Kim jesteś? – spytał Garn.

– Moje imię nie ma znaczenia... Lepiej dla was będzie jeśli nie będziecie go znać...

Albo wykupicie się albo sprzedam was jakiemuś Trandoszańskiemu handlarzowi niewolników...

– Wykupimy?? a Jaka jest Cena?

– Cena... – uśmiechnął się – bardzo niska... Marne sto tysięcy kredytów od osoby.

– Chyba oszalałeś... – odparła Anelim – Uważaj na słowa...

Anelim obróciła się nie zwracając uwagi na chłodny ton mężczyzny. Na ścianie z ludzkimi głowami jedna przykuwała szczególną uwagę. Przerazenie wzmogło w niej z niewiarygodną siłą. Żołądek podszedł do gardła. Zobaczyła głowę swojego brata, którego pragnęli tam znaleźć. Spojrzała na mężczyznę ze łzami w oczach.

– Ty morderco!! Zabiłeś Gierana... – krzyczała i rzuciła się z pięściami na mężczyznę.

Arnit tylko na to czekał. W tej chwili Jedi chciał mocą chwycić za broń, ale nie mógł.

„Co jest?????!” – myślał. Szybko rzucił się na blaster, ale bezskutecznie. Złapał go, lecz nie mógł wystrzelić. Mężczyzna kątem oka dostrzegł ruch chłopaka. Mocno uderzył kobietę w twarz i rzucił ją na ziemię. Szybko chwycił blaster ukryty w kaburze przy spodniach. Zaczął się śmiać – Jedi... No proszę... Myślałeś, że położę naładowany blaster na widoku, żeby każdy mógł go wziąć? Uważasz mnie za głupca?! Jestem ubezpieczony na takich jak ty – rzekł patrząc na zwierzęta w klatce. – Widzisz te zwierzętka?

– Tak... – Jedi widział je, ale nie mógł nic czuć poprzez Moc.

– Ysalamiri... – wyszeptał – Koniec negocjacji. Zarobię na was kupę kredytów sprzedając handlarzom żywym towarom – Podszedł do Anelim i złapał ją za pod bródek – A za taką piękność zażycze sobie podwójne stawki – pocałował ją w usta, co wywołało nagły przyływ gniewu u Arnita.. – Straże...

Weszło dwóch rosnących strażników. „Najpierw uderzył ją, teraz to...” – pomyślał chłopak.

Zabrali ich z namiotu. Arnit od razu poczuł łączność z Mocą. Tutaj nie było tych zwierzątek.

Był zadowolony. Bez tego czuł się jak ślepiec. Moc była dla niego tym czym woda dla spragnionego, czym kawałek stawy dla głodnego. Dodawała mu sił. Musiał przeczekać. Nie wiedział czym są Ysalamiri ani dlaczego nie czuł tych stworzeń w Mocy. W tej chwili cierpiał straszliwie. Czuł się pusty. Arnit powoli zaczynał poznawać fundament wszechświata.

Lotap Kerr siedział za sterami swojego dużego zmodyfikowanego myśliwca klasy P2.

Stworzyła go na zamówienia mało znana firma Demal z Bytyt. Firma zaistniała na rynku produkcją holoprojektorów. Chcieli produkować broń, jednak w czasach pokoju było to nie opłacalne. Jednak Kerr miał znajomości. Projekt stworzył sam, zlecił im zbudowanie tego statku i tak oto powstał myśliwiec klasy P2. Nazwał go pieśczośliwe „żywą śmiercią”. Z pozoru nie groźny, posiadał ogromne uzbrojenie. Dwie wyrzutnie torped protonowych, cztery działka laserowe bardzo szybkie firmy Lieanar, działko jonowe i jeden turbolaser znajdujący się na górze kadłuba. Statek miał siedem metrów długości i trzy do czterech metrów wysokości. Kształt miał owalny z wypukłym nosem. W środku nie było zbyt dużo miejsca, ale łowca doskonale je urządził. Była jedna koka, gdzie spał rzadko, ponieważ przeważnie sypiał na fotelu za sterami. Dalej z tyłu była klatka na towar, który dostarczał. Reszta to magazyn, gdzie trzymał podręczne uzbrojenie.

Akinoma Ikiv obudziła się w klatce cała poobijana. Otworzyła oczy. Złapała się za głowę klęcząc siarczyście w jakimś obcym języku. Rozejrzała się wokoło i spostrzegła pustą kokę i wejście do kokpitu.

– Dokąd Lecimy Łowco? – krzyknęła. – Dokąd lecimy, tyle możesz mi powiedzieć – głośniejszym razem powiedziała lekko zdenerwowana lekceważeniem łowcy.

– Zobaczysz. Na pewno mile się ucieszysz. Planeta z twojej przeszłości. – odparł chłodno.

Dziewczyźnie żołądek podszedł do gardła kiedy uzmysłowiła sobie o jaka chodzi planetę.

„Detos” słowo to brzmiało teraz bez przerwy w jej umyśle. Wspomnienia szybko wróciły jak Awariańska zimowa burza. „Nie... Nie... Niiiii...” – powtarzała w myślach. Była to jedna z niewielu planet nie chcących mieć nic wspólnego z Republiką. Otóż władze planety zrobiły z Detos kolonię niewolniczą. Ogólnie w światach Republiki niewolnictwo było zakazane.

Jednak zawsze znajdują się ludzie, którzy potrzebują „darmowych” sług. Tak oficjalnie będą oni nazywać swoich zakupionych niewolników. Władze sektora Detos ustanowiły niewolnictwo wbrew prawu panujący w Republice, legalnym. Każdy kto chciał sobie kupić naprawdę dobrych i drogich niewolników leciał na tą planetę. Tam też spędziła swoje dzieciństwo Akinoma zanim kupił ją Hutt

imieniem Bogga, przed poznaniem Szunaja. Ku jej smutkowi pamięć o tej planecie głęboko wrosła w podświadomość. Nie wiedziała jednego, dlaczego Lotap Kerr leci z nią na Detos. Zdecydowała się wyciągnąć jakoś z niego te informacje.

– Czemu akurat na Detos łowco nagród??

– Ja nie zadaje pytań na które wiem, że odpowiedzi nie uzyskam. Naucz się tego...

– No chyba możesz mi powiedzieć... Jestem tylko ciekawa... Przecież Ci nie ucieknę – próbowała dalej Akinoma.

– Nie – odparł sucho i przełącznikiem zamknął drzwi oddzielające go od kabiny z „towarem”.

Dziewczyna zaklęła mocno po huttyjsku. Obrzuciła go jak bagiennego skorupiaka różnorakimi wyzwiskami. „Cóż, nic tylko musze czekać...” – powiedziała do siebie wiedząc też, że Lotap cały czas ją widział. Przyglądał się jej nie ustannie...

Łowca Nagród Lotap Kerr pochodził z Seralop. Niezbyt znanej planety, niczym się nie wyróżniającej. Może poza ładnymi krajobrazami. Znane były w galaktyce Wodospady z Seralop. Znajduje się tam wielka dolina o średnicy kilkunastu kilometrów. Spadało do niej wiele wodospadów spadających z kilkudziesięciu rzek do tej jednej doliny. Legendy głosiły, że kto wykąpie się w jeziorze powstałym ze spadającej wody ten będzie wiecznie zdrowy.

Czy to była prawda Lotap nie wiedział. Nie widział kompletnie przyszłości na swojej planecie dlatego uciekł z niej w młodości. Łowcą był już od siedmiu lat. Do Gildii Łowców Nagród należał od pięciu. Dwa pierwsze lata był wolnym strzelcem pracującym za marne grosze. Ścigał niełojalnych mężów, oszustów i innych małych rzezimieszków. Potem wstąpił do gildii i wszystko się zmieniło. Na początku podróżował z bardziej doświadczonym łowcą imieniem Zert. Potem pewne wydarzenie sprawiło, że odtąd podróżuje sam. Cieszył się w duchu, że bardzo łatwo zmylił pościg towarzyszy Akinomy. Teraz zmierzał na Detos, planete gdzie odstawi towar i zainkasuje należną kwotę...

Pollus siedział za sterami, a jego towarzysz drzemał. Przyśnił mu się kolejny dziwny sen. Znajdował się w wielkiej sali. Gdy rozejrzał się ujrzał przestronne pomieszczenie zbudowane ze starej cegły. Była szara, poszarpana i porośnięta roślinami. Zrobił kilka kroków. Podeszedł do rzeźby klęczącego człowieka. Obejrzał ten dziwny posąg z każdej strony. Dojrzał metaliczny połysk nie daleko ucha. Dotknął tego miejsca. Ucho odpadło uruchamiając jakieś urządzenie. Mężczyzna cofnął się o kilka kroków i stanął w kręgu wyrytym w kamiennej podłodze. Z góry, z każdej strony gdzie nie spojrzal zaczęły wypełzać różnorakie węże, różnego pochodzenia i wielkości. Po krótkiej chwili stał on w kręgu, a wokół były same węże. Najdziwniejsze było to, że nie były tylko na ziemi, a także na ścianach, na suficie, wszędzie. Jakby każda część ściany zamieniła się w oślizgłego węża.

Człowiek stał sparaliżowany strachem. Patrzył i rozglądał się czekając na rozwój sytuacji.

Zaskoczyło go, iż nie wpełzały na teren kręgu na jakim stał. Spojrzal pod nogi i zobaczył napisy wyryte w nieznanym języku. Zdziwiło go to, iż potrafił je przeczytać, lecz nie rozumiał ich znaczenia. Pojawiła się koło niego postać wyglądająca jak on, ale trochę inaczej. To był on we własnej osobie, co do tego nie miał wątpliwości. Różnica polegała na wieku. Osoba stojąca koło mężczyzny była o jakieś pięć – sześć lat starsza. Jej oczy były bez życia. Jakby to była jakaś maszyna, pozbawiona uczuć. Kiedy zmaterializowała się całkowicie podeszła do krańca kręgu. Dała krok naprzód wchodząc w zbiorowisko węży. Te rzuciły się na niego z dziką zawiścią kęsając, gdzie popadnie. Po krótkiej chwili gady wpełzły na niego całego. Padł na ziemię. Patrzył na to jak jego sobowtór ginie w paszczach potworów.

Czuł strach. To mógłby być on. Zrobiła się ścieżka przez którą mógł uciec. Chciał już uciekać.

Nagle ze strony ścieżki szła postać jakby znajoma. Trzymała w ręku świecąca kulę.

Rzekła do niego: „Jam jest niosący zagładę. Pamiętaj...”. Człowiek rozplątał się w powietrzu.

Kid spojrzał w dół na wyryte dwa słowa. Umiał wymówić te napisy. Zaskoczenie chłopaka urosło jeszcze bardziej. Zaczął biec w kierunku wyjścia. Złowieszczy głos mówił: „Norcoloh Idej... Norcoloh Idej...”

Kid obudził się nagle uderzając głową w ścianę. Złapał się masując obolałe miejsce.

„Te sny mnie wykończą” – szepnął do siebie. Wstał, wziął sobie coś do jedzenia i poszedł do sterowni. Spojrzał na talerz na którym leżały gorące pierogi takie jak robią tylko na Asal. Nie wiedział czemu, ale strasznie je lubił. Usiadł na fotelu drugiego pilota i wziął kęs potrawy.

Była smaczna i rozplątywała mu się w ustach co trochę poprawiło mu humor. Pollus przyglądał mu się z nieukrywaną ciekawością. Osobiście nie lubił tej potrawy. Nagle wylecieli z nadprzestrzeni. Byli w systemie Kuat. Tutaj znajduje się wielka firma produkująca różnorakie statki. Kuat Drive Yards od pokoleń należące do rodu Kuat. Zdziwienie malowało się na twarzach obydwu istot. Według założeń jak wyskoczyli powinni znajdować się tuż za statkiem łowcy. Jednak Lotapa Kerra nie było. Po chwili na twarzy Pollusa można było dostrzec nutę zrozumienia.

– Zrobił nas w hutta... Ten parszywy Łowca...

– Jak to??

– Musiał mieć to nowe urządzenie... Nie pamiętam jak się nazywało. Wiem tyle, że wysłała sygnały mylne o kierunku skoku w hiperprzestrzeń. Jak go teraz odnajdziemy? – Duros rozłożył ręce w geście rezygnacji.

– Nie wiesz kto mógł wydać list gończy za Akinomą?

– Hmm... – zamyślił się – Niestety nie wiem, ale wiem kto może wiedzieć...

– Kto?

– Afim Eluk...

– Kim on jest?? – spytał zdziwiony Kid.

– Jediną istotą w galaktyce, która będzie mogła nam pomóc... Przygotuje koordynaty do skoku na Revost... Myślę, że tam go znajdziemy...

– Dobrze...

Po kilku minutach przygotowywania koordynatów byli gotowi do skoku na Revost.

Wiedzieli, że Afim Eluk był ostatnią szansą na odnalezienie Akinomy...

Jedi siedzieli na wygodnych krzesłach w apartamencie Ackera. Rex podziwiał widoki za oknem, gdy tymczasem mistrzowie rozmawiali.

– Przybyliście tu w sprawie sporu pomiędzy Quarenami a Kalamarianinami???

– Hmm.. Przyznam szczerze Ambasadorze Acker, że o tym sporze nic mi nie wiadomo... Jesteśmy tu w całkiem innej sprawie, lecz jak możemy jakoś pomóc z chęcią to uczynimy... – zaczął Quell Perr.

– Uzyskacie niezmierną wdzięczność, jeśli pomożecie, ale proszę powiedzcie w jakiej sprawie przybyliście...

– Chodzi o Admirała Rutra'Dika z Trójprzymierza Valasos. On zaginął, a ostatnie wieści mówią, że znajdował się na Mon Calamari. Przybyliśmy tutaj dowiedzieć się czegoś. Czy wiadomo Tobie coś o tym wydarzeniu? – wyjaśnił Oruun.

– Ciekawe... Bardzo ciekawe... Pamiętam jak przed dwoma tygodniami przybył Admirał na Mon Calamari... Była to misja dyplomatyczna o ile pamiętam. Chcieli nawiązać stosunki handlowe z nami. Mniejsza o szczegóły. Przybył tu tak jak mówiłem i spotkał się z Pelurkiem. Z tego co wiem doszli

do porozumienia i po trzech dniach pobytu Admirał wyjechał. Jednak dziwne było to, że od razu po jego wyjeździe zaczęły się problemy z Quarrenami...

– Dziwne... Przyznam to szczerze... A czy wiesz dokąd udał się Admirał?? – spytał Quell Perr.

– Podobno na Nal Hutta, ale po co to już tego nie wiem...

– Wyjaśnij nam jaki jest problem pomiędzy wami a Quarrenami... Jak możemy pomóc?? – zmienił temat Oruun.

– Twierdzą, że ich dyskryminujemy... Twierdza, że powinni mieć więcej członków w naszym rządzie... Mówią, że to Kalamarianie rządzą Quarrenami... To jest oszczerstwo i kłamstwo – podniósł głos zdenerwowany.

– Spokojnie spokojnie... Czy możesz zorganizować spotkanie z ich przedstawicielami i przedstawicielami Kalamarian?? – spokojnie zaproponował Oruun.

– Hmm. Tak nie będzie z tym większego problemu... myślę, że najdalej za dwie godziny może dojść do zebrania wszystkich w sali... Wtedy możemy rozmawiać...

Czy zgodzicie się pozostać naszymi gośćmi do tego czasu?? – zapytał spokojnie i uprzejmie Acker.

– Z wielką Radością... Czy możemy poprosić o coś do picia i jakąś strawę??

– Oczywiście zaraz wezwę kogo trzeba. Idę teraz wszystko przygotować...

Rozgośćcie się... Wrócę jak najszybciej będę mógł – skłonił się lekko i wyszedł.

Po krótkiej chwili weszły trzy Kalamariańskie samice z wieloma smacznie pachnącymi potrawami. Zadowoleni Jedi usiedli, zaczęli jeść, żeby wzmocnić siły przed niechybną podróżą.

Arnit z Corelii leżał w klatce zastanawiając się nad obecną sytuacją. „Jak mam stąd uciec?” – myślał. Rozglądnął się i dostrzegł zbliżającą się Anelim wraz z Garnem. Brakowało mu jej widoku, jej dotyku, jej obecności. Ogarnęła go wielka radość, jednak wdarł się także niepokój. Przeszli koło nich. Podszedł do niego jednooki mężczyzna.

– No Jedi... Mogłeś lepiej przemyśleć swoje zagranie... Widać, że z ciebie kiepski gracz w Sabaaka... Teraz tak jak podczas gry zapłacisz za próbę oszustwa – zaśmiał się. – Polecicie na Detos, gdzie zarobimy na was kupę kredytów...

– Powiedz mi łotrze... Czym są te zwierzęta?

– Ysalamiri? – uśmiech namalował się na jego twarzy – W sumie mogę Ci powiedzieć. Mają one niezwykle przydatną zdolność odpychania waszej mistycznej Mocy. Pojedynczy okaz tworzy wokół siebie jakby około dziesięciometrowej średnicy bąbel, w którym nie występuje Moc. Już wiesz co Ciebie zgubiło...

Wstał i odszedł od klatki. Więzienie młodego Jedi zostało okryte skórą jakiegoś zwierzęcia, a na nim położone dwa Ysalamiry. Arnit znów ośleplł... Przestał odczuwać, przestał słyszeć...

przestał widzieć... Moc była jego oczami... jego słucham... życiem, a teraz go na chwilę tego pozbawiono. Czuł się strasznie samotny. Zabrali ich na statek, który miał czym prędzej wyruszyć na Detos.

Przez przestworza leciał długi, potężny i mocno uzbrojony statek klasy Nebel. Takich modeli w galaktyce było niewiele. Były one przeważnie własnością bogatych biznesmenów, kupców bądź władców planet. Leciał w nim mężczyzna w czerwono-białej zbroi. Targany przez wewnętrzne demony, ciągle wyszeptujące mu do ucha nasączone jadem słowa. Nie wiedział czy ma ich słuchać czy też opierać się im. Czuł jak głosy rozdzierają mu umysł na dwie części. Powoli zaczął je akceptować. Łączył ich wspólny cel. Leciał wprost na tajemniczą planetę Korriban. Znajdowała się

ona w systemie Horuset i nie wielu wiedziało o jej dokładnym położeniu. Jednak mężczyzna miał w sobie demony, ściślej dwa demony, które już kiedyś odwiedzały tę mroczną planetę. Była to planeta grobowiec Mrocznych Lordów Sith. Tak naprawdę nigdy nie udało się ich do końca pokonać. Kiedy już któryś z nich umierał, a nie zdarzało się to zbyt często, jego zmumifikowane zwłoki składano niezwykle uroczysto i ceremonialnie w Dolinie Mrocznych Lordów. Było to miejsce, gdzie leżało wiele zwłok martwych Sithów. Znajdowała się tu właśnie legendarna nekropolia pełna energii Ciemnej Strony i szeptów tysięcy duchów. Historia mówi jak to w okresie swojej szczytowej potęgi Lordowie Sith przez parę pokoleń budowali dokładnie zaprojektowane posągi.

Przedstawiały one ich samych oraz przerażających potworów posłusznych Ciemnej Stronie.

Tak to czynili dopóki cała Dolina nie przypominała jednego wielkiego Mauzoleum. Pogrzeb Sitha był rzadką okazją do spotkania w przeszłości kilkudziesięciu Lordów, gdyż stanowił jednocześnie okazję mianowania kolejnego Mrocznego Lorda. Kiedy już to się stało, na Korriban zapadała cisza i nikt nie odwiedzał tej planety przez wiele lat. Skarby wypełniające każde mauzoleum niezmiennie przyciągały złodziej z całej galaktyki. Każdego z nich spotykała powolna i okrutna śmierć na jaką zapewne zasłużyli.

Mężczyzna miał nadzieję znaleźć starożytny amulet Korribanu. Artefakt, który miał dać mu to czego potrzebuje. Wylądował nieopodal doliny mrocznych lordów. Głos w głowie mówił mu: „Nareszcie jesteście... Idź naprzód... Idź... Amulet...”. Nie rozumiał dlaczego dokładnie słyszał te głosy, jednak akceptował je. Wysiadł z statku rozglądając się wokoło.

Dostrzegł pełno gigantycznych posągów przedstawiających pradawnych Sithów kiedy to jeszcze byli u szczytu swojej chwały. Gdzieś tam ponieważały się szkielety złodziei marzących o wielu schowanych tutaj skarbach. Poczul jak otacza go Ciemna Strona Mocy.

Można ją było wyczuć wokoło. Silna... nieokiełznana... Czul jakby jego siły rosły z nadświetlną prędkością. Ku jego zdumieniu ujrzał, że po drugiej stronie Doliny lądują inny statek. Trochę mniejszy od jego. Z daleka rozpoznał w nim mały frachtowiec Benab. Wolny, stary, kompletnie nie zwrotny. Przeważnie leżał na kosmicznych śmietniskach, wynika stąd, iż ten kto nim przyleciał nie miał kredytów na lepszy. „Złodzieje” – rzekł głos w jego umyśle.

Ten dawny adept Ciemnej Strony, kiedyś potężny, teraz był marionetką dwóch demonów przez które został opanowany. Szedł chwilę dalej. Dojrzał sześć istot idących w kierunku pobliskiego posągu. Były to typowe hieny cmentarne pragnące zakłócić spokój zmarłego i okraść go z wszelkich dóbr. Weszli do środka. Za nimi jednak wbiegły szybko dwie bestie.

Straszliwe i przerażające. Chodziły na czterech nogach zakończonych ostrymi szponami, cielsko miały mocne i umięśnione, Z wielkiej głowy wyrastały cztery niby-rogi, jakby wielkie pazury, wprost znad śmiertelnie białych oczu. Były całe czarne, jak śmierć z Coruscańskich legend – czarna i śmiertelna. Po chwili ze środka wydobyły się krzyki pełne bólu i cierpienia. Z sześciu mężczyzn wybiegł jeden cały obryzany krwią czerwoną i błękitnozieloną.

Za nim wybiegły te potwory. Przyglądający się mężczyzna czerpał wielką radość z tego, że ci złodzieje zginęli, a ostatni zaraz do nich dołączy. Bestia skoczyła wysoko wprost na uciekającego człowieka. Przygniotła go całym cielskiem. Teraz leżący mężczyzna wiedział, że umrze, lecz śmierć szybka i bezbolesna pozostanie tylko jego wielkim, niespełnionym marzeniem. Potwór przewrócił go na plecy, żeby spokojnie móc przyglądać się jemu i nadchodzącemu towarzyszowi. Strach w oczach mężczyzny sięgał zenitu i przechodził w panikę. Druga bestia podeszła spokojnym krokiem i złapała

ostrymi zębami nogę leżącej postaci. Można było usłyszeć trzask i krew siknęła z kikuta. W pysku zwierzęcia pozostała noga odgryziona z kością od uda w dół. Drugi oprawca zrobił powoli to samo z drugą nogą przysparzając mężczyźnie jeszcze więcej cierpienia. Na jego nieszczęście to nie koniec atrakcji przygotowanych dla niego. Były to stworzenia Ciemnej Strony Mocy.

Potężne i okrutne... Bestia językiem ostrym równie jak kły powoli wydobyła gałkę oczną z twarzy mężczyzny. Drugi tymczasem pazurami rozorał mu brzuch i wydobywał na zewnątrz wnętrzności. Fundament wszechświata zwany cierpieniem był teraz bardzo bliski torturowanego człowiekowi. Mężczyzna poprzez Moc rozkoszował się bólem i cierpieniem emanującym od złodzieja. Ogarnął go lekki smutek, jak poczuł, że zaraz mężczyzna zakończy swój żywot. Marzeniem tego człowieka była tylko śmierć. Nie myślał teraz w agonii bólu i niewyobrażalnego cierpienia o niczym innym. Jego wnętrzności, każde oprócz serca znajdowały się obok niego tak, żeby je widział. Stworzeniom chyba już znudziła się zabawa, więc dokończyły dzieła. Jednym ruchem łapy złamały kark mężczyźnie odebrawszy mu życie. Cała zabawa trwała pięć minut, a dla umierającego była to cała wieczność. Zwierzęta obróciły się i ujrzały kolejnego intruza człowieka w czerwono-białej zbroi. Podbiegły do niego. Dwa kroki przed nim nagle zatrzymały się. Wyczuły wielką potęgę Ciemnej Strony emanującą od tej postaci.

– Tuk'ata, strażnicy grobowców... Dobrze się spisaliście... – rzekł gładząc je po pyskach.

Odprawił zwierzęta i poszedł do gigantycznego posągu leżącego na środku Doliny Mrocznych Lordów. Tam właśnie złodzieje chcieli się dostać. Posąg przedstawiał Mrocznego Lorda, jednego z niewielu, który odmówił przyjęcia świętego imienia Darth. Zwali go Sichr.

Imię jego pochodziło z sithijskiego języka, a znaczyło w skrócie „wygnaniec”. Odszedł przed wieloma wiekami. Gdy wszedł do środka doszedł go zapach świeżo rozlanej krwi. Doszedł do niewielkiego promienia światła i jego oczom ukazał się trumna z kamienia w której to znajdowały się zwłoki. „Gdzie to może być??” – zastanawiał się. Nagle przemówił do niego głos. Nie w jego umyśle, lecz zza jego pleców.

– Witajcie Bracia... Amuletu Korribanu chcecie??

Był to głos mrocznego lorda Sith... Był to głos ducha Sihra...

Bestie było całe pogrążone w ogniu. Wszędzie słychać było krzyki cierpiących i umierających ludzi. Biegł chłopak... Uciekał szukając kryjówek przed tymi istotami... Na nim latało pełno statków z trzema rogami. Wydawało mu się, że latają nad swoimi ofiarami jak drapieżne śnieżno sępy. Bombardowali miasto niszcząc wszystko co było na ziemi. Dobięł do pokoju. Miał niestety pecha w pomieszczeniu do jakiego wbiegł byli oni. Masakrowali znajdujących się tam ludzi. Dostrzegły go trzy żółte ślepie... Postać zrobiła ruch ręką w której trzymała jakąś dziwnie wyglądającą broń. Poczul ból w gardle i poląła się jego krew. Przed śmiercią chłopak słyszał w umyśle dwa słowa... „Norcoloh Idej...”

ROZDZIAŁ 4

Przez korytarze senatu Republiki szedł spokojny., pewnym krokiem senator Haln.

Oprócz tego, iż reprezentował w senacie swoją ojczystą planetę Ganoo, piastował też funkcję „Senatora do Spraw Bezpieczeństwa Galaktycznego”. Wraz z nim szedł jego adiutant młody, ale bardzo zdolny Kieran. Szli na obrady Senatu, gdzie miała być poruszana kwestia obniżenia międzysystemowego podatku celnego. Niedawno doszła go niepokojąca wieść, która właśnie miał oznajmić Senatorom. Haln był idealistą nie splamionym jeszcze korupcją, ani też codziennością Coruscant. W końcu dotarł na miejsce. Wszedł wraz ze swoim towarzyszem na mównicę przeznaczoną dla przedstawicieli Ganoo, gdy kanclerz Palpatine zaczął obrady.

– Witam wszystkich Senatorów... Tematem dzisiejszych obrad ma być obniżenie międzysystemowego podatku celnego. – odczekał chwilę – Proszę o zabranie głosu przedstawicieli „Klanu Kupców”.

– Wielki kanclerzu. Czcigodni Senatorowie – zaczął senator Verl z „Klanu Kupców”. – Otóż kwestia obniżenia podatku celnego jest niezmiernie ważna i trzeba ją rozpatrzyć jak najszybciej! Nasi ludzie głodują... Nie mamy jak zarabiać pieniędzy... te podatki wykończą nas – prawie krzyknął.

– To jest kłamstwo! „Klan Kupców” zarabia masę kredytów na nielegalnych przyprawach! Powinni zostać ukarani jeszcze grzywnami za to co robią... To że ich ludzie głodują to jest jeszcze większe kłamstwo! Przecież oni zarabiają więcej niż My przez cały sezon!! – krzyczał zdenerwowany Kesaj, senator z Unii Niezależnych Handlowców.

– Te oszczerstwa są nie dorzeczne... Panie Kanclerzu to jest kłamstwo! Unia Niezależnych Handlowców najwięcej zarabia na podatku celnym... Oni nie chcą, żebyśmy go uchwalili... Dlatego też tak usilnie się przeciwstawiają.

– Czy zgodzi się pan, żeby komisja dokładnie zbadała sytuację panującą w „Klanie Kupców”. – spytał chłodno Palpatine.

– Oczywiście... nie mamy nic do ukrycia – odparł z lekkim uśmiechem.

Nagle Mas Ammeda stojący jak zawsze po prawicy Palpatine’a rzekł mu coś na ucho. Na twarzy Kanclerza malowało się zdziwienie i niepokój.

– Szanowni Senatorowie... Sprawę podatków celnych dokończymy później... Otóż stała się bardzo dziwna rzecz... Poproszę Senatora Halna, żeby to wyjaśnił.

Mównica Halna wysunęła się z podstawy i pofrunęła na środek wielkiej sali senatu.

Mężczyzna przełknął ślinę, wziął głęboki oddech i zaczął:

– Kanclerzu Palpatine... Czcigodni przedstawiciele planet Republiki. W rejonie systemu Bestine stacjonowało kilka statków klasy Acclamator będących na rutynowych ćwiczeniach. Mieli wrócić przed dwoma dniami, lecz właśnie dwa dni temu straciliśmy z nimi kompletnie kontakt... – wziął kolejny oddech i odczekał chwilę jak skończą się pomruki wywołane wśród senatorów przez tą

wiadomość – Wysłaliśmy wczorajszego wieczoru statek, mały, szybki i zwinny. Po to, aby sprawdzić co tam się dzieje. Żadnych wiadomości... Cisza... Także zaginął...

– Spokój! Proszę o Spokój – krzyczał Mas Ammeda.

– Hmmm... Bardzo dziwna sytuacja Senatorze Haln. Czy można jakoś uzyskać informacje co tam się dzieje?? – spytał Kanclerz.

– Obawiam się, że coś tam się stało... Co, to na to pytanie odpowiedzi nie znam.

Niestety... Kanclerzu... Proponuję, żeby wysłać kilka większych okrętów na Bestine w celu uzyskania informacji. Mam dziwne przeczucie, że może to być sprawka piratów...

– Piraci mieli by stawić czoło trzem Acclamatorom?? Co to za szalony pomysł – krzyczał Senator Anorg z Ryloth.

– Propozycja wydaje mi się bardzo dobra. Osobiście jestem za wysłaniem kilku okrętów. Jednak mamy demokrację. Niech Senat zadecyduje.

Rozpoczęło się głosowanie. Ku uciesze Senatorsa Halna czterema głosami przyjęto propozycję. Po dłuższej chwili Kanclerz znów przemówił.

– Cieszę się, że przyjęto tą propozycję, ponieważ sytuacja istotnie wydaje się niepokojąca.

– Kanclerzu... Czy mógłbym prosić o pozwolenie przewożenia tej misji?? – spróbował Haln.

– Oczywiście... Twój pomysł, więc z radością przyjmę nowiny od zaufanego człowieka.

Czekamy z niecierpliwością na twój rychły powrót.

Obrady zakończyły się. Haln wyszedł i jego oczom ukazała się nie zbyt przyjemna sytuacja, której przypadkiem był świadkiem. Otóż przedstawiciel Unii Niezależnych Handlowców wręczał sporą ilość kredytów pani senator Lellen z Dathor. Niestety usłyszał też słowa jakie wypowiedział wręczając te kredyty co wywołało u niego uczucie obrzydzenia. Mówił „Jak będziemy omawiać międzystemowy podatek celny głosuj przeciwko.” Spłynęło to jednak po nim jak po małym Li'wek – morskemu stworzeniu z Neve, które to raz pływa jak ryba pod wodą a raz lata jak ptak w przestworzach. Musiał wszystko przygotować do nadchodzącej misji.

Statek wyłaniał się powoli z nadprzestrzeni. Znajdował się w systemie Revost, a kierował się na jej główną zamieszkaną planetę o tej samej nazwie. Na okręcie znajdowali się Kid i Pollus. Spokojnie lecieli w kierunku Revost, gdy z planetarnej kontroli lotów ktoś chciał z nimi porozmawiać.

– Tu kontrola lotów... Proszę podać tożsamość i cel podróży.

– Tu statek „Demon Ikiv”. Lecimy na wypoczynek... – powoli wyartykułował Pollus. Nastąpiła krótka cisza.

– Macie zgodę na lądowanie... skierujcie się do Revortil, lądowisko siedem, miejsce trzecie... Udanego pobytu... – skończył ciepłym, lecz wytrenowanym tonem kontroler lotów.

Z wolna skierowali swoją maszynę ku atmosferze planety. Po chwili ujrzeli miasto z daleka.

Było wielkie, zabudowane, lecz nie tak nowoczesne jak na Coruscant. Na Revost rozwój cywilizacji szedł do przodu, ale nie zapomniano o naturalnym środowisku. To właśnie ta drobnostka o której zapomina wiele istot była kluczem do sukcesu Revostian. Była to rasa, która praktycznie nie była zdolna w żadnym aspekcie oprócz jednego, a mianowicie doskonale znali się na potrzebach innych istot toteż ich głównym talentem stała się turystyka.

Planeta ta była jedną z najpopularniejszych kurortów w tej części znanej galaktyki.

Wylądowali w wyznaczonym miejscu i wyszedłszy ze statku udali się do najbliższego hotelu. Pogoda była ładna, słońce świeciło, a wokół latały małe sępożaby. Stworzenia wyglądające jak

małutki hutt z skrzydłami i zaostrzonym dziobem, którym zapewne chwyciły i spożywały jedzenie. Weszli do hotelu „Valkor” i zamówili dwuosobowy pokój.

Zdecydowali, że i tak nie spędzą tutaj więcej niż jednej nocy. Udali się do niego, żeby chwilę odpocząć. Pollus zdecydował się porozmawiać z Kid'em.

– Czy to jest twoje prawdziwe Imię?

– Nie... Nie wiem... Jak już ci mówiłem nic nie pamiętam... skrawki...obrazy...

Wszystko w strasznym chaosie... nic nie mogę zrozumieć.

– Aha.. Rozumiem.. A co pamiętasz? może będę mógł ci jakoś pomóc?

– Naprawdę nie wiem... Wszystko to jest dziwne...Pamiętam chyba imię kobiety...

Magata... Coś Ci to mówi?

– Hmm.. Bardzo ciekawe... Przyznam, że to imię już słyszałem, albo tak mi się wydaje... W tej chwili nie pamiętam dokładnie. Słyszałem plotkę, że na planecie znajduję się podobno dobry uzdrowiciel. Może do niego pójdziesz?? – zasugerował Duros.

– Fantastyczny pomysł, tylko, że nie mam żadnych kredytów, a wizyta u niego kosztuje.

– Masz... – wręczył Kid'owi sumę kredytów, która na pewno wystarczy do zapłacenia uzdrowicielowi. – A teraz chodźmy. Ja pójdę poszukać Afima Eluka..

Wyszli razem z pokoju i udali się do wyjścia z hotelu. Była ładna pogoda, więc zdecydowali zrobić sobie spacer. Rozglądając się dostrzegli pełno turystów z różnych zakątków wszechświata. Udali się do centrum miasta, gdzie miał urzędować uzdrowiciel. Z daleka przykuł ich uwagę tłum istot kłębiących się wokół jakiegoś namiotu. Domyślili się, że właśnie tam był ich cel podróży. Ustawili się spokojnie w kolejce. Było strasznie gorąco, więc kupili nieznanym im dotąd napój chłodzący, o znakomitym smaku. Niestety tylko Pollusowi smakował, ponieważ jego towarzysz po chwili wymiotował. Po jakiejś godzinie kolejka przesunęła się i Kid wszedł do środka. Tymczasem Pollus poszedł do pobliskiej knajpy, gdzie mógł usiąść i napić się czegoś dobrego. Zaniepokoił się bardzo jak dostrzegł dwóch Rodianin czających się wokół namiotu. Zaczęli cichcem odganiać tłum krzyżąc, że już uzdrowiciel skończył prace. „Dziwne” – pomyślał.

Mężczyzna wewnątrz ujrzał pomieszczenie urządzone prowizorycznie, bez żadnego przepychu i uduchowania. Kobieta rasy Twi'lek poprosiła go o pieniądze i kazała usiąść. Chwilę później wszedł do środka uzdrowiciel. Był on bliżej nie znanej rasy. Wyglądał jak mały Hutt z dwoma odnóżami idący załatwić jakiś lukratywny interes. Uważnie przyglądał się swojemu kolejnemu pacjentowi.

– Co panu dolega???

– Dokładnie nie wiem jak to się nazywa. Czy będzie mi pan w stanie pomóc?

Chodzi o to, że cierpię na pewien rodzaj zaniku pamięci...

– Amnezja... hm mm... Tak... rozumiem... Zapłacił pan??

– No oczywiście.. Pana urocza asystentka odciążyła mnie od kredytów.

– Dobrze... Możemy zaczynać.

Podszedł do pacjenta i stanął za nim. Wysmarował ręce w jakiejś oślizgłej i tłustej masie, a potem położył je na głowie mężczyzny. „Pewnie to jakiś szarlatan... tylko mi włosy ubrudzi”

– pomyślał. Jednak ku jego zdumieniu stało się coś czego kompletnie się nie spodziewał.

Obraz przed jego oczami całkowicie rozmazał się, głowa zaczęła go mocno boleć. Wydał z siebie cichy jęk. Nagle znalazł się jakby w zupełnie innym miejscu. „Sen na jawie???” – pomyślał. Rozejrzał się dość uważnie po pomieszczeniu. Uzdrowiciel, jego asystentka i cały namiot zniknęli. Pojawił się za to pałac, duży, przestronny i bogacie ozdobiony. Stał dokładnie przed jego olbrzymimi

wrotami. Mimowolnie zdecydował się wejść do środka.

Przeszedł wejście i ujrzał dwójkę ludzi rozmawiających szeptem. Była to kobieta z jego snu i jakiś mężczyzna którego chyba znał. Chciał coś powiedzieć, lecz zdecydował się poczekać i posłuchać rozmowy.

– Ocir, mówiłam ci wiele razy... On to w końcu odkryje... Nie możemy...

– Co odkryje?? Co może odkryć?? To co chcemy zrobić jest niczym!

– Jak niczym Ocirze?? Jak możesz to nazwać niczym?? Przecież to może doprowadzić do upadku... – kończyła z drzeniem w głosie.

– Upadku?? Oszalałaś droga Magato! Jakiego upadku? Czas na zmianę... To co było jest przeżarte... Prawa nie sprawdzają się w dzisiejszych czasach! Trzeba to zmienić póki jeszcze nie jest za późno!

– Niestety, masz racje... Nie chciałabym tego zaakceptować, ale masz racje. Co On ci jeszcze powiedział??

– Niedługo wybuchnie wojna... To jest nieuniknione... Niedługo nadejdzie zmiana...

Wielka zmiana droga Magato, a nasz lud będzie częścią budulca tej zmiany...

– Ocir.. – uśmiechnęła się – Jak zawsze idealista... Ale jeśli Rutra'Dik Yrub się dowie... Jemu to może się nie spodobać... – na dźwięk tych słów mężczyzna wyszedł z ukrycia.

– Co mi może się nie spodobać?? – zaczął nieświadomie, chociaż wiedział, że to jest jakby sen, bądź wspomnienie, ale jakby je przeżywał ponownie. Sądził, że znajdzie odpowiedzi na pytania.

– O nie... Mówiłaś, że wyjechał?? – krzyknął Ocir.

– Miał.. mężu... Co?? jak?? – nie wiedziała co powiedzieć.

– Wyjaśnijcie mi o co chodzi to wam powiem czy mi się to nie spodoba...

– Już i tak wiesz za dużo... – Ocir wyjął podręczny miotacz i wycelował w niego.

– I ty też Ocirze przeciwko mnie... Przyjacielu... – Ocir wystrzelił z blastera. Świat się rozmył i mężczyzna padł nieprzytomny na ziemię.

– Zabierzmy go... Trzeba się go pozbyć... – uśmiechnął się. – Nie wiem czemu Magato, nie wiem skąd... ale On wiedział, że tak będzie. On mówił, że dziś podczas spotkania z Tobą go spotkam...

– Jak?? Czemu mi nie powiedziałaś?? – spytała zdziwiona.

– Myślałam, że... nie wierzyłam mu...

– Widzę, że teraz już nie mamy wyboru... Zrób co musisz Ocirze.

– Tak... Regentko Trójprzymierza... – odparł spokojnie.

Zabrali nie przytomne ciało i wynieśli z pomieszczenia. „Co dalej?” – zastanawiał się Kid.

Nagle ku jego wielkiemu zdenerwowaniu ocknął się w namiocie. Rozejrzał się i ujrzał, że uzdrowiciel leży martwy obok niego na ziemi. Dostrzegł dwóch Rodian z blasterami, jeden zabierał kosztowności, drugi natomiast robił zdjęcie nieżyjącemu uzdrowicielowi. Mężczyzna był zdenerwowany, prawie odkrywał swoją tożsamość, a ci złodzieje to zaprzepaścili.

Rodianin mierzył do niego cały czas z miotacza.

– Nie ruszaj się i nie próbuj żadnych sztuczek z życiem ujdiesz – powiedział Rodianin łamanym wspólnym lekko bulgoczącym głosem.

Wbiegł Pollus z blasterem w dłoni z którego niebieskie nitki śmierci wylatywały z wielką szybkością trafiając pierwszego Rodianina, który padł martwy. Wtedy mężczyzna wewnętrznie wybuchł jak Talański wulkan. Kopnął z całej siły dłoń zszokowanego Rodianina. Broń wyleciała mu z ręki padając na ziemię kilka metrów dalej. Wstał, wziął krzesło na którym siedział i roztrzaskał je

na głowie złodzieja.

– Widzę, że nic Ci nie jest... I tak byś sobie poradził.

– Ale ty jesteś dziwny... – uśmiechnął się – Jasne, że bym sobie nie poradził.

– Dowiedziałeś się czegoś o sobie?

– Trochę... Szczepki informacji, ale zawsze coś co pomoże mi odkryć kim jestem...

Skąd wiedziałeś, że mam kłopoty?? – zmienił temat.

– Jak wszedłeś do środka, poszedłem do pobliskiego lokalu zjeść coś, spotkałem bardzo miłą

Duroske i tak sobie siedząc dostrzegłem, że coś jest nie tak.

Dostrzegłem kilku Rodianin i nagle kolejki zniknęły. Pomyślałem, że mogło coś

się stać, a ty nie wychodziłeś prawie godzinę...

– Godzinę?? Naprawdę??

– No tak. Minęła prawie godzina jak tam siedziałeś... No i wtedy zacząłem się i dostrzegłem tych

dwóch rozbójników... i tak się tu znalazłem.

– Dzięki za wszystko...

Wezwali miejscowe władze, które zajęły się bandytami. „Rutra’Dik Yrub, to jest moje imię?”

– zastanawiał się. Poszli do lokalu, którego właścicielem był od kilku lat Afim Eluk. Weszli do

lokalu, gdzie od razu ich uwagę przykuł grający tam zespół. W skład wchodziło czterech ludzi. Kid

zauważył dwie urodziwe kobiety i postanowił zaproponować im coś do picia i porozmawiać.

Kobiety wydawały się identyczne, prawdopodobnie były to bliźniaczki.

Obydwie należały do rasy ludzkiej. Dziewczyny różniły się tylko kolorami strojów. Jedna nosiła

strój w kolorze śnieżnobiałej bieli, druga natomiast kruczoczarnej czerni, a obydwie dobrze

podkreślały ich znakomitą urodę. Dlatego też przykuwały uwagę mężczyzn znajdujących się w lokalu.

Tymczasem Pollus poszedł na górę do biura Afima Eluka. Gdy doszedł do schodów przejście

zagrodziło mu kilku rosnących ochroniarzy.

– Czego?

– Ja do Pana Eluka. Proszę powiedzieć, że przybył stary przyjaciel imieniem Pollus... – strażnik

obejrzał go od góry do dołu.

– Poczekaj! – rzucił niemiło.

Jeden został, drugi natomiast poszedł na piętro do szefa. Po chwili wrócił wraz z właścicielem.

– Pollus przyjacielu!! Tyle lat minęło... – uściskał go. – Wejdz do mojego biura, pogadamy!

Poszli razem na piętro do biura Eluka. Pokój był przestronny i urządzony z typowym dla niego

przepychem. Afim należał do rasy Talanu, bardzo lubował się w przepychu, wiedział co było modne

i to kupował. Przede wszystkim kochał zarabiać pieniądze, lecz uwielbiał także wiedzieć więcej niż

inni i to czyniło go wyjątkowym. Pollus, gdy wszedł do środka dostrzegł, iż stąpa po dywanie z skóry

Mennda – stworzenia o najbardziej pożądanej skórze w tej części galaktyki. Jednak niedługo się to

już miało skończyć, ponieważ istoty te były na wyginięciu.

Na półce stały różne rzeźby ozdobione szlachetnymi klejnotami. Kiedy usiadł w fotelu spostrzegł,

że był to najnowszy dopasowujący się do ciała model fotela z Tantil. Były doskonałe, ale strasznie

drogie. „Nieźle mu się powodzi” – myślał Pollus. Biurko stojące przed nim natomiast było z bardzo

rzadkiego, lecz trwałego drewna z Merk.

– Więc przyjacielu.. Co Ciebie do mnie sprowadza?? Tyle czasu minęło, może czegoś się

napijesz???. – zaczął Afim rozsiadając się wygodnie na fotelu.

– Chętnie...ale nic alkoholowego. Sprowadza mnie bardzo ważna sprawa Afim.

Mam nadzieję, że mi pomożesz.

– Co powiesz na Nektar z żubrowęza?? Jeszcze nie piłem, ale mówili, że jest znakomity. – zaczął nalewać napój – Wiesz Pollusie, że jestem ci dłużny. Na pewno ci pomogę... Powiedz tylko o co chodzi. – zmienił na chwilę temat – Jak ci się podoba zespół? Objawienia muzyczne Środka Galaktyki! Zwą ich „Załoga 13”. Myślę, że ich wypromuje i zarobię kupę kredytów.

– Wiesz, że na muzyce się nie znam. Skoro tak twierdzisz to tak pewnie będzie – westchnął – Chodzi o moją przyjaciółkę... Akinome Ikiv... Podobno został na nią wydany list gończy. Dopadł ją Łowca Nagród. Musze wiedzieć, kto wydał ten list i dokąd ją teraz zabrał...

– Hmm.. Ciekawe Ciekawe przyznam... Powiadasz Akinoma... – zamyślił się i włączył podręczny komputer coś sprawdzając...

– I jak? będziesz w stanie pomóc? – wziął Pollus łyk nektaru.

– Mam! Ciekawe... – zrobił trochę zdziwioną minę – Takiego listu gończego jeszcze nie widziałem. Mam informacje, że został on wyznaczony na dwie godziny przed jej pojmaniem. Bardzo dziwne... Niewiadomo nic kompletnie o osobie, która list wysłała. Pocieszę Cię przyjacielu jest nazwa planety. – zaśmiał się sycząc – Ma ją przywieźć na Detos... Hmm.. Bardzo dziwne... Po co ma ją zawieźć na planetę niewolników?? Jest jeszcze imię pośrednika Enud. Słyszałeś kiedyś to imię???

– Niestety nie.. Trudno.. Ale dzięki za informacje wiem teraz gdzie musze lecieć.

– Byłem ci to dłużny Pollusie. Teraz jesteśmy kwita.

Gdy Pollus rozmawiał z Afimem Elukiem, Kid podszedł do dwóch bliźniaczek. Postawił drinka, usiadł i zaczął rozmowę:

– Witajcie... Czy mogę postawić wam coś do picia?

– Czemu nie... – odpowiedziała pierwsza.

– Dwa piwa Aldeerańskie. – dodała druga.

– Co takie piękne kobiety robią same w takim lokalu? – zaczął mężczyzna.

– Czekamy...

– Na kogoś...

Rozmowa nie trwała długo. Nagle podszedł człowiek o granatowo-pomarańczowych oczach.

Dając znak kobietom odwrócił się i zaczął iść. Dziewczyny wstały, obdarzając go uśmiechem pomachały na pożegnanie. „Ale one są dziwne” – pomyślał. Spojrzał do góry i dostrzegł schodzącego Pollusa, z raczej radosną miną, z której wywnioskował, iż odniósł sukces.

– I jak? Udało się?

– Tak. Lecimy na Detos. Chodź, jest wieczór. Odpocznijmy, zdrzemnijmy się i lecimy z samego rana.

– W porządku.

Udali się do hotelu, żeby zdrzemnąć się i przygotować do podróży. Jednak w czasie podróży do Hotelu natknęli się na ciekawą sytuację. Otóż do dwóch kobiet i mężczyzny stojącego z tyłu podeszła grupa rzezimieszków, chcących coś od kobiet. Było ich ośmiu, a one tylko dwie. Kid dał znak towarzyszowi, że trzeba będzie im pomóc, ale nie wiedział kim są i jak bardzo był to zbyteczny pomysł. Gdy tylko jeden z mężczyzn dotknął kobietę w czerni to zaczęło się zamieszanie. Dziewczyny znały się na różnych sztukach walki to było. Niewiasta w czerni kopnęła najbliższego w brzuch i robiąc obrót uderzyła kolejnego przeciwnika w krtań. Druga robiła identyczne ruchy z pozostałymi dwoma. Po chwili czterech leżało już nie przytomnych na ziemi. Pozostali towarzysze nagle stracili odwagę i puciekali. Zaskoczeni mężczyźni byli pod wielkim wrażeniem talentu dwóch niewiast.

Poszli dalej w kierunku hotelu.

Tymczasem na transportowcu międzygwiazdowym „Anumish” w loku towarowym gnieździł się jęncy. Byli transportowani na planetę niewolników Detos. Młody Jedi siedział w koncie wraz z dwoma zwierzakami, które odbierały mu zdolność postrzegania Mocy.

Wokół stało kilku strażników, by pilnować, aby Jedi nie próbował zabić zwierząt. Arnit czuł się samotny, strasznie samotny. Życie bez Mocy było dla niego tym czym życie bez tlenu.

Było ono nie możliwe i to właśnie czuł wewnątrz – jakby umierał. Dostrzegł, że Anelim szła w jego stronę, niosąc ze sobą bukłak z wodą.

– Masz napij się – dała mu wody, na co chłopak zaczął łapczywie pić.

– Dziękuję...

– Arnicie...boję się... Co z nami będzie? I mój brat... nie żyje... – rzekła z trudem powstrzymując łzy.

– Nie bój się Anelim... Wyjdziemy z tego... Obiecuję Ci... – Dziewczyna przytuliła się do niego mocniej.

– Naprawdę tak myślisz? – spytała patrząc na niego magicznymi zielonymi oczami teraz pełnymi łez.

– Ja to wiem... – odparł z Mocą w głosie.

Anelim przytuliła się do niego jeszcze mocniej, jakby chciała poczuć się w jego ramionach bezpieczniejsza. Przeważnie była twardą kobietą nie znającą lęku, lecz ostatnie wydarzenia trochę ją wyprowadziły z równowagi. A może to przy Jedi czuła się inaczej?

Podniosła głowę i pocałowała go czule w usta. Chłopak mniej zdziwiony niż ostatnio nie opierał się w ogóle, nawet poddał się temu uczuciu wbrew swojej woli. Tak siedzieli połączeniu w namiętym pocałunku. Nagle dziewczyna przerwała tą niebiańską chwilę i szepnęła do Arnita: „Dziękuję”. Przytuliła się do niego czując się naprawdę bezpiecznie.

Całej sytuacji z pewnej odległości przyglądał się Garn Leblis. Na jego twarzy malował się zagadkowy smutek. Jedi zasnął w objęciach Anelim.

Podczas snu zaatakowały go dziwne obrazy, ukazane mu poprzez Moc. Dziwił się troszkę, ponieważ Ysalamiri nie pozwalają mu odczuwać Mocy. Jednak Moc to życie, więc sama do niego dotarła. Tak dziwnego snu młody padawan jeszcze nigdy nie miał. Stał pośrodku oceanu, dość bezskutecznie rozglądając się za lądem. Nagle cały krajobraz zmienił się w Coruscant. Ujrzał twarz kobiety, która do niego mówiła: „Czy mnie też zabijesz?”. Nie rozumiał dlaczego mu zadała takie dziwne pytanie. Kobieta o kruczoczarnych włosach była nieprzeciętnej urody, a jej uśmiech olśniewał zapewne niejednego mężczyznę. Sen powoli przeradzał się w koszmar. Ujrzał starszego człowieka w czarnym płaszczu z nasuniętym mocno kapturem na głowę. Śmiał się przeraźliwie i szyderczo. Nagle krajobraz znów zmienił się. Pojawiło się pole, wielkie i zielone. Niestety kolor zielony po chwili spłynął krwią.

Wszędzie dostrzegł leżących Jedi, wszystkich których znał, od mistrzów po uczniów.

Wszyscy nie żyli. Podeszedł do jednego, potem do następnego i tak po kolei patrzył na śmiertelną ranę każdego. Każda była zadana mieczem świetlnym. Głos kobiety zaczął mówić:

„Ten który się narodził umrzeć musi żeby się narodzili... Salatan... Planeta przynosząca prawdę o władcach Mocy.” Krajobraz ponownie zmienił się całkowicie, lecz już nie dostrzegał nic. Widział tylko czerń, która go otaczała z każdej strony. Zaczęła go nawet

przenikać całego. Czuł jak mrok opanowuje go... Usłyszał głos: „Nie znasz potęgi ciemnej strony

Mocy”. A potem tylko oddech... dziwny, miarowy, spokojny, lecz jakby z respiratora.

Był to tylko oddech, ale wzbudzał w nim szczerzy strach. Na jego nieszczęście to jeszcze nie koniec snu. Zobaczył istotę o trzech żółtych oczach i przerażającym wyglądem. W dłoni bądź szponach trzymała długi kij, będący bronią. Istota podeszła do niego i wypowiedziała:

– Norcoloh Idej... Norclloh Idej.

Zrobiła ruch ręką z „kijem” i obraz przed oczyma Arnita rozciął się, zmieniając na inny. Głos kobiety rzekł: „To co żyje, umrze, to co stoi... upadnie... Nic nie jest tym co widzisz... ślepy przejrzy na oczy... prawda..”. Potem zobaczył siebie leżącego na jakimś stole. Po nim pełzły dziwne, małe, obślizgłe robaki. Powoli go jadły, odgryzając kawałki skóry. On leżał z otwartymi oczami i marniał. Niespodziewanie rozległ się głos: „Ten który śpi musi się przebudzić...”.

Arnit obudził się zdezorientowany rozglądając się wokoło. Dojrzał przestraszoną Anelim patrzącą wprost na niego. Na jej twarzy malował się niepokój.

– Nic Ci nie jest? Złe wyglądasz... – zaczęła.

– Nie wiem... Miałem sen.. dziwny sen... Dziwnie się czuję... – odkaslnął – Nie przejmuj się tym...

Dziewczyna obdarzyła go miłym uśmiechem, który dodał mu trochę otuchy. Ogarnął go niespotykany niepokój. Wewnątrz czuł się dziwnie, jakby nieswojo. Nie rozumiał co się z nim dzieje. „Pewno to zmęczenie” – myślał. Objął czule Anelim i czekał na koniec podróży. Na Detos postanowił coś wymyślić i wydostać się stamtąd. „Uda mi się... Moc jest moim sprzymierzeńcem” – rozmyślał.

Lotap Kerr powoli dolatywał do Detos, planety niewolników. Cieszył się w duchu, bo zaraz dostanie nagrodę i odpowiednio ją spożytkuje. Akinoma tymczasem siedziała sobie i rozmyślała. Spokojnie i sprawnie wprowadził swój statek w atmosferę. Jego oczom ukazała się powierzchnia Detos. Planeta miała wielkie kompleksy zwane „przechowywalnią towaru”, wokół nich krążyła wielu ciężko uzbrojonych strażników. Obok kompleksów leżały wielkie połacie lasów a w nich wiele dzikich bestii. Wylądował w jednym z portów. Tam czekał na niego pośrednik imieniem Enud.

– Witaj Łowco! Masz towar??

– Oczywiście... Cały i nietknięty... kredyty...

– Oczywiście – złowieszczy uśmiech pojawił się na twarzy Enuda. – Masz... – wręczył mu kredyty.

Mężczyzna wziął je i skrupulatnie przeliczył co do kredytu. Wszystko się zgadzało.

– Niech twoi ludzie zabiorą towar, muszę lecieć.

Trzech strażników weszło na statek i wyprowadziło Akinome na zewnątrz. Dostrzegła postać stojącą obok Lotapa Kerra. Przez chwilę wydawało się jej, że za tą postacią widziała ślepca wraz sześciookim Thrillem, jednak po chwili złudzenie to znikło. W osobie rozpoznała swój najgorszy koszmar o imieniu Enud. Gdy dziewczyna wraz z strażnikami przechodziła koło łowcy Enud rzekł:

– Znów się spotykamy droga Akinomo... Tym razem tak łatwo mi nie uciekniesz...

Kobieta nie odpowiedziała, tylko groźnie spojrzała na człowieka. Jednak jej spojrzenia pełne nienawiści po chwili zmieniło się w spojrzenie pełne smutku.

Senator Haln po przygotowaniach stał na mostku okrętu flagowego jego małej floty.

Był raczej przeczorny, więc wolał nie ryzykować. W skład wchodziły dziewięć statków klasy Acclamator, cztery transportowce myśliwców mające na pokładzie około 150 pojazdów latających

klasy Delta 7 i L 10. Obawiał się, iż to mogło być coś więcej niż piraci, ale niestety nie wiedział co. Dał znak oficerowi, by skoczyć w hiperprzestrzeń. Po chwili z iluminatora widoczny był niebieski niby tunel. Haln udał się do biura kapitana, by odpocząć.

Podróż do Bestine miała trwać dziesięć godzin...

Na Mon Calamari w wielkiej sali doszło do spotkania pomiędzy Kalamarianami a Quarrenami. Narodził się między nimi pewien spór, którego mediacji podjęli się Rycerze Jedi.

Wszyscy usiedli wygodnie i oczekiwali na wysłuchanie racji każdej ze stron. Zaczął Quarren imieniem Pelcr. Zważywszy, iż oddychał on tlenem rozpuszczonym w wodzie, miał na sobie specjalny kombinezon do oddychania.

– Witajcie Jedi, witajcie Mon Calamari. Czcigodni mistrzowie... Nasze racje są takie, że jesteśmy praktycznie wykorzystywani przez Kalamarian. Mieliśmy żyć w warunkach korzystnych dla obu stron, a wychodzi na to, że oni nami rządzą.

Domagamy się równouprawnienia, nie chcemy być niewolnikami.

– Nikt nikogo niewolnikiem nie nazwał ani nikt tak nikogo nie traktuje – podniósł się wyraźnie poruszony Acker.

– Spokojnie... Ambasadorze Acker czy nie uważasz, że oni mają rację? Ilu jest Quarrenów w rządzie? – zaczął spokojnie.

– W rządzie Mon Calamari jest 43 Kalamarian i 17 Quarrenów... – odparł niepewnie Ambasador.

– No właśnie.. więc z tego wynika, że ich obawy są uzasadnione, nieprawdaż? – dodał Oruun.

– No niby. – kontynuował niepewnie mieszkaniec Mon Calamari.

– Dochodzimy do konkluzji całej sytuacji – ciągnął Quell Perr. Wytlumaczę to na przykładzie nosorolwa i krwiopijki. Obydwie istoty zamieszkują jedną planetę, jedno pole. Nosorolew, duży ocieężały zwierz musi polować, żeby żyć, jednak jest on strasznie wolny. Toteż żyje w idealnej symbiozie z krwiopijką. Otóż te mały owad paraliżuje ofiarę wsysając jej do krwioobiegu truciznę paraliżującą.

Nosorolew się pożywi i będzie miał dużo siły, żeby przeżyć. Wtedy pożywi się i krwiopijka. Otóż żywi się ona krwią nosorolwa. Nie wiadomo dokładnie na czym to polega, jednak naukowcy domniemają, że pewien składnik krwi nosorolwa jest niezbędny do życia krwiopijki. Na tym przykładzie pragnę wam wytłumaczyć, że życie na jednej planecie i powinniście siebie nawzajem szanować. Jest to podstawa idealnej międzyrasowej koegzystencji. Nawzajem jesteście sobie potrzebni. Skłócenie zniszczy wieczną równowagę, a to może zakończyć się katastrofą. Bez równowagi nie ma istnienia. Musicie o tym pamiętać.

– Niestety masz rację Mistrzu Jedi – rzekł zrezygnowany przywódca Kalamarian.

– Zróbcie co trzeba, podzielcie się z nimi, dajcie im więcej miejsca, pozwólcie decydować, a zyskacie tym więcej niż ich wykorzystywaniem.

– Racja tak też zrobimy... Jednak proszę o cierpliwość. To wymaga czasu.

– Poczekamy – odparł uradowany Quarren.

Quarren na znak ugody podał przedstawicielowi Kalamarian błoniastą dłoń. Po krótkiej rozmowie podziękowali Rycerzom Jedi za pomoc w mediacji pomiędzy skłóconymi narodami. Gdy już przygotowali wszystko do podróży to wyruszyli jak najszybciej na Nal Hutta.

Korytarzami świątyni Jedi szli dwaj mistrzowie, Mace Windu i Kreth Malwil. Rycerz Jedi Malwil właśnie powrócił z ważnej misji.

– Mistrzu Windu... Sprawdzają się nasze najgorsze oczekiwania.

– Niedobrze... bardzo niedobrze...

– Zaginęło kilku Jedi, Mistrzu... Dev, Lekod i kilku innych...

– Wszystko się sprawdza... A co z ruchami separastycznymi? – spytał Windu – Niestety rosną w siłę... Niedługo może dojść do konfliktu...

– Mroczne czasy nadchodzą... – zaniepokoił się – Leć na planetę, gdzie zaginęli Jedi... Dowiedz się co się stało i szybko wróć, żeby zameldować radzie...

– Wrócę jak najszybciej mistrzu...

– Niech Moc będzie z Tobą...

Mistrz Windu udał się do pokoju Yody, żeby z nim porozmawiać, gdy tymczasem Kreth Malwil szybko poszedł przygotować się do podróży.

Młody Jedi obudził się nagle. Okazało się, że wylądowali na Detos. Podróż okazała się krótsza niż przypuszczał, dlatego też był nieco zdziwiony. Czuł się nieco słaby, lecz nie znał przyczyny tego uczucia. Wyszedł w towarzystwie dwóch strażników z Ysalamiri na olbrzymich plecakach. Wyszli z ładowni statku. Ostre słońce planety oślepiło na moment wychodzących jeńców. Ich oczom ukazała się gigantyczna budowla z Durastali, z wielkimi wieżami. Kierowali się w stronę wielkiej bramy. Wokoło roilo się od strażników różnych ras.

Przeszli bramę i znaleźli się wewnątrz jednego z wielu niewolniczych kompleksów na Detos.

Ustawili ich w rzędzie, naprzeciw im wyszedł opasły człowiek z krzywym spojrzeniem i bardzo grubym głosem.

– Witajcie drodzy „pensjonariusze”. Znaleźliście się w swoim nowym domu, chociaż na jakiś czas. Jutro jest dzień otwarty, więc wielu z was długo tutaj nie pobędzie. – zwrócił się do strażników – odprowadzić ich do sektora 13.

Więźniowie zostali odprowadzenia do nowego miejsca pobytu. Arnit tymczasem rozglądał się i rozmyślał nad prawdopodobną drogą ucieczki.

Mężczyzna w czerwono-białej zbroi przyglądał się długo Duchowi mrocznego lorda Sith Sichra. Ubrany był w czarną zbroję ozdobioną medalionami i rodowymi herbami. Oczy miał całe białe, świecące dziwną poświatą, a włosy miał czarne i krótko obstrzyżone. W umyśle człowieka głosy kłóciły się...

– To on...

– Tak...

– Ale jak? czy on może nam przeszkodzić? czy wie?

– Nie...

– Wszystko musi być tak jak być powinno – Nie...

– Nic się nie dzieje bez woli Mocy..

– Sprawdźmy...

– Koniec...

– Rządy Sith powrócą...

– Tak...

Nagle Sichr lekko zniecierpliwiony znów do nich przemówił.

– Amulet Korribanu?

– Jest potrzebny... Gdzie jest? – odparły głosy.

- Tak łatwo go nie dostaniecie... Tak wiem, że tam jesteście widzę was wewnątrz tej powłoki...
- Skąd wiedziałeś? Jak... – spytali zdziwieni.
- Macie Holocron?
- Tak, ale nie potrafimy go otworzyć...
- Pokażcie..
- Nie... Nie ufamy Ci...
- Bym się lekko dziwił jakbyście ufali... Pokażcie... – nalegał.
- Masz... Jednak powiedz wpierw gdzie amulet?
- Otwórzcie trumnę, wisi na mej szyj – wziął holocron.

Tak jak powiedział i tak się stało, na jego szyj wisiał amulet. Był czerwono-srebrny z czarnym diamentem wewnątrz. Wzięli artefakt, obejrzawszy go z każdej strony dostrzegli wyrzeźbiona napisy. Nie wiedzieli niestety co one oznaczają. Sichr nagle z uśmiechem na twarzy spojrzał na człowieka. Przeniknął go na wskroś wzrokiem.

- Wiecie co oznaczają słowa wyryte na amulecie?
- Nie...
- Są to słowa pewnej sithowskiej przepowiedni...
- Jak ona brzmi?
- „Kiedyś znów będziemy rządzić galaktyką, kiedyś pokonamy ich, kiedyś nastąpi równowaga...

Początek nastąpi po końcu Norcoloh Htis” – wyrecytował.

- Co oznacza Norcoloh Htis?
- Tego niestety nie wiem... Jak jeszcze żyłem zleciłem swoim podwładnym rozszyfrowanie tego hasła... Niestety nikomu się nie udało... Poniosłem kompletną porażkę... Każde słowo z amuletu zostało rozszyfrowane oprócz tych dwóch...

Norcoloh Htis Norcoloh Htis... Co to oznacza?

- Nie wiemy... Odkryć musimy.. Tajemnica w holocronie musi być.. Myśleliśmy, że sposób na otwarcie znajdziemy tu... Amulet miał nam pomóc, ale była to kompletna pomyłka...
- On już działa... – zmienił temat Sichr.
- Nie możliwe... Musimy działać szybciej...

Nagle Sichr zrobił jakieś ruchy przy Holocronie, z którego zaczęło wydobywać się światło.

Zaskoczone widmo rzuciło holocron na ziemię. Rozległ się wielki hałas i światło wydobywający się z małego przedmiotu rozświetliło mroki Korribanu. Tak nagle jak się pojawiło tak szybko znikło. Nad małym przedmiotem pojawiła się postać. Był to mały zielonkawy stwór ze spiczastymi uszami odchodzącymi w bok. Oczy pełne mądrości skrywały wiele tajemnic.

- Witajcie... adepci Ciemnej Strony... Zaraz poznacie wszystkie tajemnice... – zaczął hologram. Ucieszeni Sithowie stali i uważnie słuchali słów holograficznej projekcji...

ROZDZIAŁ 5

„Czas... Czym jesteśmy wobec potęgi czasu? Czy Czas istnieje naprawdę? Czy może przeszłość, przyszłość i terażniejszość powstały tylko przez bariery narzucone przez nas samych na naszą świadomość? A nawet gdyby tak było to czy możliwe jest zlikwidowanie tych barier? Istoty w galaktyce są tylko mgnieniem oka dla wszechobecnego czasu... Czas jest wszystkim, jest to stała, która kieruje każdym wydarzeniem, każdym ruchem i zapamiętuje wszystko co się działo. Może jednak Czas nie jest tak potężny? Jak się ma czas do drugiej potęgi w galaktyce? Do potęgi Mocy? Czy zdolny Jedi może złamać barierę czasu dzięki wszechwładnej Mocy? Czy wtedy przeszłość, przyszłość zlała by się z terażniejszością.?

Istoty Humanoidalne często nie zwracają uwagi na czas... nie zauważają jak on szybko mija...

Wpierw rodzą się... jakby chwilę później są już dorośli... żyją... odczuwają... a już niedługo potem umierają... Wydaje się że okres 50 lat, 100 lat to bardzo długi okres, ale jest to błąd.

Czas biegnie nie ustanie...

Czas ucieka....

Czas przepływa przez palce...

Czas jest naszym przyjacielem...

Czas jest naszym wrogiem...

Zaakceptujmy to, albo fundament wszechświata będzie nam bliższy...

Zauważmy to, albo zmarnujemy jedno z danych nam żyć...”

Taki tekst dawnego pisma czytał, kiedyś młody Arnit. Autorem tego tekstu był jeden z największych filozofów jaki kiedykolwiek żył w galaktyce imieniem Setarkos. Pochodził on z planety Ajceg, która w swojej długiej historii wydała na świat wielu myślicieli i filozofów.

Teraz nie wiedział czemu przypominał sobie dokładnie każde słowo jakie było tam napisane.

Dopiero w tej chwili zrozumiał znaczenie „czasu”. Nie wiedział, czemu, ale on uciekał coraz szybciej. Czy to dla niego uciekał czy dla wszystkich tego młody Jedi nie wiedział.

Znajdował się wraz z pozostałymi niewolnikami w sektorze 13. On jako jeden z wybrańców dostał osobną celę z dwoma osobistymi „ochroniarzami” i zwierzątkami, którymi były oczywiście Ysalamiri. Siedział w koncie i rozmyślał nad prawdopodobną drogą ucieczki.

Niestety z szybkością i zawziętością koreliańskiej piaskowej pantery zaatakowały go wspomnienia. Przypominał sobie co przeżył przez ostatnie dni. Wrócił obraz człowieka w czerwono-białej zbroi. Znów poczuł uczucie gniewu, które to zawsze napawało go obrzydzeniem, lecz teraz było trochę inaczej. Nie czuł dawnego wstrętu do gniewu...

Nie odrzucał go... Zaczynał z niego czerpać siłę, żeby przetrwać. Wszystko to czynił wbrew swojej ideologii, w którą to wierzył od początku jak stał się tym kim był. Jedi zasnął myśląc nad tym wszystkim. Nadeszła noc, długo oczekiwana przez każdego znajdującego się obozie.

Wszyscy zasnęli, łącznie z strażnikami strzegącymi Arnita. W sektorze 13 jakby z nikąd pojawiła się tajemnicza postać. Był to niski, łysy ślepiec z białą opaską na oczach. Przeszedł jak cień, widmo obok strażników i spojrzął uważnie na śpiącego chłopaka. W jego ręce pojawiła się nagle srebrna rękojeść. Włączył ją i z sykiem wyłoniło się błękitne ostrze.

Dwoma płynnymi ruchami zabił zwierzęta leżące obok Jedi. Uśmiechnął się złowieszczo i popatrzył na młodzieńca.

– Czas wkroczyć na pisaną Tobie ścieżkę, czas zrobić to do czego zostałeś powołany... Czas, żebyś wstał... bo ten kto się narodził umrzeć musi, żeby się oni narodzili... – położył mu rękojeść na kolanach.

Zbliżył się do niego i szepnął mu do ucha.

– Gniew siła twą... nienawiść orężem... strach największym sprzymierzeńcem... Ten który śpi musi się obudzić... – po wypowiedzeniu słów zniknął.

Arnit obudził się patrząc wprost na swoje kolana, gdzie zobaczył rękojeść miecza świetlnego. Zdziwienie potęgowało swą siłę w młodym człowieku, kiedy zrozumiał, iż powróciła jego łączność z Mocą. Spojrzął od razu na parę zwierząt od początku mu towarzyszących – były martwe. Mógł teraz uwolnić siebie i innych oraz zakończyć niewolniczą działalność tej planety, której był bardzo przeciwny. Uważał zawsze, że żadna istota nie powinna być niewolnikiem innej. Było to poniżej poziomu godności jaki uważał za słuszny. Według niego każdy w galaktyce rodził się wolny i nikt nie miał prawa pozbawić nikogo tej wolności. „Jest noc... Najlepsza okazja na ucieczkę...” – pomyślał. Jednak zrezygnował z niej, ponieważ zdecydował się poczekać do poranka i wtedy rozpocząć plan, który właśnie kończył obmyślać.

Kid wraz z Pollusem dolatywali do Detos. Z tego co się dowiedzieli miał być dziś dzień otwarty dla kupców, więc bez problemu na pewno tam wylądują. Dostali skierowani do jednego z portów, gdzie posadzą swój statek. Na planecie wschodziło właśnie słońce.

Więźniowie zaczęli być przygotowywani, aby klienci ich obejrzel. Dwaj towarzysze zdecydowali udawać zwykłych kupców, żeby nie wzbudzać żadnych podejrzeń. Przecież nie wiedzieli gdzie dokładnie znajdowała się Akinoma.

Wyprowadzono Arnita z jego celi i wraz z innymi wysłano na plac. W chłopaku kłębiły się sprzeczne ze sobą uczucia. Huczały mu w głowie słowa: „Gniew siła twą...

nienawiść orężem... strach największym sprzymierzeńcem”. Nie wiedział dlaczego takie słowa mu brzmiały w umyśle. To były elementy Ciemnej Strony Mocy i strasznie obawiał się tego co się z nim działo wewnątrz. Wokoło przyuważał tylko sześciu strażników, wrzeszczących, popychających i okropnie przeklinających więźniów, których prowadzili.

Byli jeszcze w zamkniętej części sektora 13. Znajdywali się dokładniej w długim, szerokim, krętym korytarzu, który był końcem sektora 13 i prowadził do wyjścia na plac. Arnit zdecydował się działać. Chwycił rękojeść i z sykiem wyłoniło się błękitne ostrze. Jedi ruchami wspomaganymi przez Moc dwoma płynnymi cięciami pozbawił życia dwóch strażników stojących najbliżej niego. Pozostali czterej lekko dezorientowani chwycili za blastery i od razu objęli go ogniem. Ku przerażeniu młodego wojownika nie zwracali uwagi na pozostałych jeńców i zanim wszyscy padli na ziemię dwóch zostało trafionych. Dla nich najważniejsze było wyeliminowanie zagrożenia. Rycerz sprawnym ruchem odbijał poszczególne strzały. Jeden szczęśliwie odbity przeciął gardło przeciwnika pozbawiając go życia. Pozostało już tylko trzech wrogów, zdolnych do poświęceń. Widzieli, że był to dla nich ciężki przeciwnik. Wojownik miecza świetlnego przystąpił do ataku.

Omijając szybko dzięki Mocy strzały przeciwników, zrobił salto w powietrzu i szybkie pchnięcie w najbliższego, który nie zdołał umknąć. Stojący tuż obok rzucił się z wibroostrzem na Arnita. Nie zdążył on uniknąć ciosy i broń rozcięła mu dawną ranę na boku. Upadł na kolano i zaklął straszliwie w ojczystym języku. Tymczasem inni więźniowie przejmowali broń pozostałych czterech martwych wrogów. Drugi z żyjących mierzył do Arnita z blastera, lecz nagle padł.

Młodzieniec kątem oka dostrzegł, że Garn go zastrzelił precyzyjnym strzałem w głowę.

„Musi być świetnym strzelcem” – pomyślał. Wszystko to trwało jakby ułamek sekundy. Jego przeciwnik już zamachiwał się do zadania śmiertelnego ciosu w głowę, lecz on to widział i szybkim ruchem zrobił unik i z pół obrotu przeciął przeciwnika od klatki piersiowej w górę.

Po sekundzie jego zwłoki legły na pozostałych towarzyszy. Mężczyzna mocno zmęczony upadł na jedno kolano, a na jego twarzy pojawił się grymas bólu. Dwóch towarzyszy wraz Anelim podbiegło do niego.

– Nic ci nie jest? – spytała kobieta.

– Nic mi nie jest... To tylko mała rana...

– Jesteś pewien? – popatrzył na niego Garn z nutką zdziwienia w głosie.

– Tak... Chodźmy...

Wzmocnił swoją łączność z Mocą i wstał jakby jego rany w boku w ogóle nie było i wcale nie krwawiła ciemną czerwoną krwią. Ruszyli powoli w stronę wyjścia, a było to już tylko jakieś dziesięć metrów poza zakretem korytarza. Byli świadomi, że tam dalej był plac, gdzie było więcej nieprzyjaciół, ale wszyscy doszli do wniosku, że nie mają większego wyboru..

Wiedzieli, że będą musieli się przebijać, lecz mieli broń, więc ich szanse wzrosły. Nagle usłyszeli kroki, nadbiegające z przodu. Była to grupa strażników prowadzących kogoś. Jedi dał znak, żeby wszyscy byli gotowi. Włączył miecz świetlny i pewnym, wolnym krokiem wyszedł z za rogu na spotkanie nowych przeciwników. Na widok jego broni strażnicy otworzyli usta ze zdumienia. Było ich siedmiu, lecz jeden chyba tylko rozumny wyjął blaster i bez zadania chociażby jednego pytania zaczął strzelać. Idąc i nie zwracając kompletnej uwagi na strzał odbił go mimowolnie mieczem. Dostrzegł, iż prowadzili oni związaną kobietę o włosach krótkich i czarnych. Nagły hałas dobiegający z tyłu rozbił jego skupioną uwagę.

Okazało się, że z drugiej strony grupa strażników wdała się w strzelaninę z jego towarzyszami niedoli. Tamtych było więcej, więc kamraci chłopaka zaczęli się cofać. Wrogowie z przodu zdecydowali to wykorzystać. Jeden z nich zabrał kobietę do tyłu, żeby ją pilnować pozostali z wibroostrzami w rękach biegli na spotkanie rycerza. Wyszło na to, że nie wszyscy, ponieważ dwóch ubezpieczało ich z pewnej odległości obejmując ogniem przeciwników. Jego towarzysze broni przegrywali, więc zdecydował się zaatakować. Nagle fale przerażenia zaczęła emanować od strony Garna. Kątem oka dostrzegł, że Anelim została trafiona i leży na ziemi. Znów te słowa zahuczały w jego umyśle: „Gniew siła twą... nienawiść orężem... strach największym sprzymierzeńcem”. Nagle poczuł to samo dziwnie przyjemne uczucie jak podczas walki z mordercami jego matki. Czystą esencją gniewu... Wpływającą wprost do jego serca i napełniającą je niewyobrażalną siłą. Kiedyś by się zaniepokoił, że to oznacza, iż opanowuje go Ciemna Strona Mocy, lecz teraz jednak było mu wszystko jedno. Ważna dla niego osoba, leżała, trafiona promieniem śmierci należącej do jego wrogów. Poddał się gniewowi... Uznał, że to był dla niego jedyny ratunek... Ruszył na przeciwników z furią godną Rancora. W umyśle mówił mu głos: „Tak... Dobrze... Zabij... nienawidź... zadaj cierpienie...”. Dwóch pierwszych do niego podbiegło. Jeden próbował

pchnięcia wibrosotrzem, lecz Jedi poprzez Moc wyskoczył i kopnął go mocno, jednocześnie ciał mieczem świetlnym. Upadł na jedno kolano, zrobił młynek lewą ręką z mieczem i wbił go w nieprzytomnego przeciwnika. W amoku nie zważał nawet na strzały które go trafiły w lewą nogę. Pojawiał się na twarzy tylko grymas bólu. Strzały wrogów które do niego doleciały odbił na tyle precyzyjnie, że zabiły ich właścicieli. Biegł i zabijał... Pchnięcie, miecz przechodził przez ciało swobodnie i bez problemów. Wyciągnął miecz, kolejny przeciwnik padł nie żywy, pół obrót i na ziemię upada ręka następnego. Następnie pchnięcie i ostrze wbija się powoli w gardło odbierając kolejne życia. Znów się odezwał głos „Dobrze bardzo dobrze...”. Wyczuł poprzez Moc, że jeden z wibroostrzem bądź też inna białą bronią podchodził od tyłu, więc szybko ostrze skierował za siebie i usłyszał cichy jęk co oznaczało, że przeciwnik nabił się na nie kończąc swój żywot. Strażnik który pilnował więźnia ruszył w jego kierunku. Arnit pchnął go Mocą bardzo mocno, ten upadł na ziemię. Chłopak podszedł do niego i spojrzał mu wprost w oczy.

– Litości... – wyszeptał jego wróg.

Jedi zawahał się chwilę chcąc nawet go oszczędzić, lecz znów w umyśle odezwał się głos szepcząc mu to co chciał usłyszeć, a rzekł mu: „On chciał zabić Anelim... Nienawidzisz go...

Gniew... Zabij... Tak..”. Spojrzał raz jeszcze wprost w jego oczy i wbił w niego swój oręż.

Dostrzegł, a także wyczuł przerażenie wroga i powoli uciekające z niego życie. Podbiegło jeszcze dwóch, lecz Jedi nie przejmował się wcale następnymi przeciwnikami. Dwoma łagodnymi cięciami pełnymi finezji pozbawił ich życia. Już się zamachiwał na kolejnego, lecz coś go powstrzymało. Szept przy uchu mówił mu: „Zabij... To też twój wróg...”, lecz on powstrzymał się, ponieważ zobaczył kobietę ze swoich snów.

– Czy i mnie też zabijesz? – spytała niepewnie.

– Nie... – odparł zszokowany, że usłyszał dokładnie te same słowa co we śnie.

Uwolnił kobietę, o krótkich włosach i oczach koloru czerni kosmosu. Obdarzyła go uśmiechem, którego zazdrościła jej nie jedna niewiasta. Odwrócił się i pobiegł w kierunku walki jakie się odbywała tuż za nim. W jego ślady poszła również i uwolniona dziewczyna.

Anelim żyje, co do tego nie miał wątpliwości, ponieważ czuł ją mocno i wyraźnie w Mocy.

Skoczył do przodu i odbił się nogami od ściany robiąc salto w powietrzu. Jego ręce z zawrotną szybkością odbijały strzały przeciwników. Dostrzegł, że kilku z nich trafił, lecz nie na tyłu, żeby walka się skończyła. Czynił wartkie ruchy dłońmi z bronią w ręku, która sprawnie odbijała czerwone strzały. Tylko poprzez Mocy wyczuwał kiedy jego towarzysze strzelali i mógł dostatecznie zwinnie wymijać lecące promienie. Widział przed sobą już tylko ośmiu przeciwników. Dwoma cięciami pozbawił życia dwóch pierwszych, jednocześnie odbił strzał lecący z tyłu i skierował go wprost na oko kolejnego przeciwnika. „Zostało już pięciu wrogów do zabicia” – pomyślał. Ci byli troszkę inni od poprzednich ponieważ strzelali o wiele celniej. Powoli wdzierało się w jego ciało zmęczenie, a rana coraz bardziej doskwierała.

Nieprzyjaciele zdecydowali, że nie trafią go blasterami, więc wyjęli swą podręczną broń. Nie były to tak jak u wcześniejszych wibroostrza, ale metalowe kije z trzema sierpami na końcach. Strzały padające z tyłu w kierunku przeciwników były również celne i pozostało ich już tylko trzech. Ku zdziwieniu rycerza Jedi tylko dwóch go atakowało. Trzeci uciekł wezwać posiłki. Obydwaj jednocześnie zaatakowali z dwóch stron. Zadawali ciosy, a Arnit spokojnie je parował mieczem cofając się powoli. Zadał cios z góry który był zablokowany przez wroga, a pozostały chciał mu wbić sierp w bok. Kątem oka dostrzegł niecne zamiary przeciwnika i odskoczył do tyłu. Miecz

światlny kierowany przez Mocy wyrzucił przed siebie trafiając w pierś jednego kompletnie zaskoczonego wojownika. Przeturlał się po ziemi i wstał wzmacniając uścisk dłoni na rękojęści. Chwilę się mierzyli wzrokiem, oceniając wzajemnie swoją siły. Nagle Arnit poczuł ból w plecach i padł na ziemię nie przytomny. Strażnik był równie zszokowany co młody Jedi. Odwrócił się i zaczął uciekać, ale jednak nie zdołał uciec, bo chwilę później promień blastera tego samego z którego trafiono Arnita dopadł i jego. Padł nie żywy na ziemię po trafieniu w tył głowy z dużej odległości. Promień został wystrzelony z miotacza należącego do Garna.

– Czemu to zrobiłeś? – spytał jeden z więźniów imieniem Lefaw.

– To był przypadek... Chciałem w strażnika – odparł niepewnie Garn.

– Jesteś tego pewien? – zapytała podejrzliwie kobieta uwolniona przez Jedi.

Garn nie odpowiedział na to pytanie. Okazało się, że z dwudziestu pięciu osób jakie były w składzie wyzwolonych jeńców zostało przy życiu tylko dziesięciu, w tym trójka rannych.

Wszyscy byli uzbrojeni, a niektórzy nawet mieli po dwa miotacze i podręczną broń białą.

Kobieta знаła się na strzelaniu z miotaczy i doszła do wniosku, że to nie był przypadek.

Strzał, który trafił młodego Jedi był dobrze i celowo mierzony. „Dlaczego?” – zastanawiała się.

Kid i Pollus spokojnie szli wraz z innymi na wielki plac oglądać niewolników. Mieli szczerą nadzieję, że znajdą tam Akinomę. Towarzyszył im człowiek imieniem Enud, który przedstawiał po kolei towar i mówił o cenie zachęcając od razu do zakupu. Wśród tej grupy klientów był jeden Hutt, dość krzykliwy człowiek, dwie kobiety w ciemnych płaszczach, pięciu Trandoshan i jeszcze czterech mniej istotnych ludzi. Dochodzili powoli do Sektora 13.

Nagle do Enuda podszedł jakiś człowiek coś szepcząc mu do ucha. Mężczyzna wydawał się szczerze zaniepokojone.

– Czy coś się stało?? – zapytał jeden z klientów.

– Nic... małe problemy w pobliskim sektorze... Zaraz je naprawimy. – uśmiechnął się.

– Mój pan mówi, że chce wszystkie kobiety. Przebijcie cenę każdego z tu obecnych – rzekł droid protokolarny należący do Hutta.

– Oczywiście... Zobaczymy jaką cenę zaoferujesz...

Nagły wybuch przykuł wszystkich uwagę. Magazyn broni znajdujący się na lewo od nich uległ zniszczeniu. Zamieszanie powoli rosło, jednak miało dopiero się zacząć. Okazało się, że ten wybuch był spowodowany przez granat termiczny. Nagły hałas zwrócił wszystkich w inną stronę. Dwa myśliwce typu TY nurkowały i obejmowały ogniem cały połać ziemi. Z sektora 13 zaczęła wybiegać grupa niewolników uzbrojona w blastery z których niebieskie nitki dosięgały wrogów pełnych zaskoczenia.

– Co się dzieje? – krzyknął ktoś.

– Koniec... Dopadli i nas... Uciekać... – odparł zniechęcony do wszystkiego Enud Większe statki wyglądające jak transportowce zaczęły powoli sunąć po horyzoncie i zrzucać tłumy zbrojnych wojowników. Ci co już wylądowali na ziemi od razu zaczęli strzelać do nieprzyjaciół. Było ich coraz więcej i pojawiali się z każdej strony obejmując wszystkich wrogów. Można było dostrzec z trzydzieści parę transportowców desantowych, które mogły pomieścić co najmniej pięćdziesięciu zbrojnych ludzi. Kid wraz z Pollusem pobiegli szukać dziewczyny. Zdziwili się bardzo jak dostrzegli, że dwie kobiety w płaszczach wyjęły miecze świetlne i zaczęły odbijać strzały padające to z jednej to z drugiej strony. Poszli w stronę grupy ludzi wybiegającej z sektora 13. Tamci pomyśleli, że są to strażnicy i miotacze wypaliły śmiertelnościami ogniem. Szli dalej strzelając do wszystkich łącznie ze

strażnikami.

Ku ucieście dwójki towarzyszy wśród grupy zauważyli Akinomę. Dwie kobiety Jedi podeszły do nich i dając im znak kazały iść za nimi. Grupa więźniów dojrzała, że są z nimi rycerze pokoju toteż przestali do nich strzelać. Walka rozgorzała na dobre. Strażnicy kompleksu przestali już przejmować się niewolnikami i wdali się w śmiertelną walkę z nowymi napastnikami, których było coraz więcej. Ci co już doszli na tyle blisko włączyli się w walkę wręcz przy użyciu bliżej nieznannej białej broni. Tamci jednak nie byli nieśmiertelni i także ginęli. Rozglądając się wokoło można było dostrzec wszędzie wielu zabitych, a także mnóstwo walczących ciągle wojowników. Niestety tamtych było znacznie więcej, więc zaczęli się ustawicznie cofać. Niespodziewanie Akinoma Ikiw dostrzegła Pollusa i swojego drugiego kompana. Uśmiechnęła się na ich widok wręcz radośnie i dała im znak, że się tutaj znajduje. Podeszli do niej.

– Nic ci nie jest? – spytał Pollus.

– No jak widzisz stary przyjacielu... Musimy stąd uciekać!!

– Do portu – krzyknął Kid.

Statki powietrzne latały i niszczyły poszczególne budynki jakby chcieli na zawsze wymazać z pamięci istnienie tego kompleksu więziennego. Dwie kobiety z mieczami świetlnymi podbiegły do grupy ludzi.

– Nic mu nie jest? – spytała jedna.

– Komu?? – odparł podejrzliwie Garn.

– Arnitowi... Temu Jedi...

– Aaaa... Przeżyje... Jest tylko trochę ranny.

– To dobrze... Uciekajmy... Mamy duży statek, możemy zabrać większość z was – rzekła.

Pobiegli do portu, gdzie znajdowały się wszystkie kosmiczne okręty. Grupa strażników nie dała im jednak szansy łatwej ucieczki. Około dwunastu nieprzyjaciół zdecydowało się ich powstrzymać. Padło kilku zaskoczonych uciekinierów, a pozostali skryli się za czym mogli i odpowiedzieli także ogniem. Dwóch strażników trafionych padło nie żywych, a kilku innych rannych odczołgało się do tyłu. Nagle jeden celny strzał trafił Pollusa wprost w głowę i Duros legł na ziemi bez życia. Akinoma Ikiw sprawdziła co z jej przyjacielem, jednak on już nie żył. Bardzo zasmuciła się i z dwoma łzami spływającymi po policzku zaczęło obsypywać przeciwników gradem ognia z blastera. Strażnicy wycofywali się powoli, ponieważ z drugiej strony inny wróg przeważał w sile ognia i ponosili przez to sromotną klęskę. Powoli się wycofali do dwóch statków. Na okręt Akinomy oprócz niej i Kid'a weszły trzy osoby. Na drugi pojazd kosmiczny weszły pozostałe sześć osób i trzech rannych. Szybko wystartowali i udali się na orbitę. Podczas wznoszenia się statku ich oczom ukazał się widok zażartej regularnej bitwy, którą powoli dawni władcy niewolników przegrywali. Po chwili znaleźli się na orbicie i tu ku ich zaniepokojeniu nie skończyły się kłopoty. Otóż stacjonowały tam cztery duże i mocno uzbrojone okręty klasy Kolosis. Były bardzo nowoczesne, silnie uzbrojone, posiadające mocne tarcze, lecz bez szybkiego napędu. Republika z pewnych względów ich nie używała toteż zastanawiające było kim byli ich właściciele. Lecieli spokojnie wprowadzając koordynaty skoku na Coruscant.

Tymczasem na jedynym z dużych statków klasy Kolosis jeden z oficerów zauważył kilka okrętów wychodzących na orbitę. Udał się do przełożonego po dalsze instrukcje. Powoli i spokojnie zapukał do drzwi, które po ułamku sekundy otworzyły się. Wszedł do środka, uklonił się w dowód szacunku i wyprostował się stając na baczność.

- Co się stało? – spytał jego przełożony łagodnym spokojny i pewnym głosem.
 - Mój Książę... dwa statki wystartowały z planety. Czy mamy je zestrzelić?
- Prawdopodobnie są to zbiegli niewolnicy.
- Niewolnicy mówisz... Zostaw ich... Oni w tej chwili nie leżą w naszym interesie.
 - Tak jest...
 - Możesz odejść.

Mężczyzna skłonił się lekko, odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Jego przełożony tymczasem odwrócił się z fotelem w stronę iluminatora i popatrzył z nieukrywającym uśmiechem na zielonkawej twarzy, na planetę Detos. „Wszystko zgodnie z planem” – pomyślał.

Statki ze zbiegami na pokładzie dostali krótką wiadomość z dużych okrętów, że mają jak najszybciej stąd zniknąć skacząc w hiperprzestrzeń, albo zostaną zestrzeleni. Długo nie czekali, więc po tym tylko jak wprowadzili koordynaty skoczyli na Coruscant. Jedna z nich wyglądająca na trochę młodsza siedziała za sterami, druga natomiast udała się do małego ambulatorium, żeby zobaczyć co z rannymi. Była postawną kobietą o żółtej skórze, czarnych oczach i sylwetce godnej Jedi. Posiadała także tegoż samego koloru tatuaż na brodzie. Gdy weszła do środka wszystkich oczy zwróciły się na nią. Siedział tam Garn obok leżącej Anelim, Lefaw, a także ciągle nie przytomny Arnit.

- Witajcie... Czy z waszym zdrowiem wszystko w porządku? – spytała spokojnie.
- Coraz lepiej, ale nie wiadomo co z chłopakiem – odparł niepewnie Garn.
- Kim jesteś? – zaciekała się Anelim.
- Mam na imię Luminara Unduli, a za sterami siedzi moją uczennica Barissa Offee. Jestem Jedi.
- Dziękujemy za pomoc...
- Trzeba mu jak najszybciej zapewnić kąpiel regeneracyjną w zbiorniku z bactą, ale to dopiero na Coruscant. Teraz opatrzmy go. – założyła mu opatrunek nasączony małą ilością płynu leczniczego.

Nie wszyscy obecni jednak wiedzieli co to dokładnie była Bacta. Otóż był to związek chemiczny czyniący istne cuda w medycynie, ponieważ umożliwiał leczenie prawie wszystkich ran i uszkodzeń ciała. Musiał być stosowany w roztworze przezroczystego syntetycznego płynu o składzie zbliżonym do płynów ustrojowych w organizmie. Pacjent musiał być w nim całkowicie zanurzony, co odbywa się w specjalnych zbiornikach, zwanych często zbiornikami regeneracyjnymi. Do płynu dodawało się żelatynowej bacty o czerwonej barwie, która rozpuszcza się tworząc środowisko bakteryjne grupujące się przy ranach i wywołujące, a potem przyspieszające regenerację, czyli między innymi wzrost tkanek czy też zrastanie się kości. Za jej pomocą można było nawet doprowadzić do pełnego połączenia amputowanych kończyn z resztą ciała, ale oczywiście po zabiegu chirurgicznym.

Tymczasem Arnit pogrążony był w głębokim śnie. Stał na zielonej polanie, pięknej jak z jego marzeń. Jednak sam tam na niej nie był, ponieważ obok na kawałku skały siedziała postać. Osoba ta to ślepiec z opaską na oczach. Uśmiechał się złowieszczo widząc zdezorientowanie młodego Jedi. Ten natomiast zaciekawiony podszedł do niego.

- Kim jesteś? Czy ja nie żyje?
 - Źle pytasz... Czy nie żyjesz? A czy już podczas narodzin nie jesteśmy martwi?
 - O czym ty mówisz? Jak można być martwym w chwili gdy się rodzimy... To jest alogiczne...
 - Głupi jesteś... Twoja ideologia przyćmiewa ci umysł... Czym nazwiesz życie młody jedi?
- Hmm?

– Życie, jest to czym jesteśmy wszyscy... żyjemy, oddychamy, Jest ono podstawą Mocy. Ona powstaje z wszystkiego co żyje...

- Nieprawda... – zachichotał – Życie to droga... A wiesz dokąd ona prowadzi?
- Prawda jest to droga ale nie rozumiem sensu twoich słów – odparł zbulwersowany Arnit.
- Mój drogi Arnicie... Jest to droga prowadząca właśnie do śmierci... Już kiedy się rodzimy, naszym jedynym celem jest właśnie śmierć... jest to cel naszej podróży...

Jak ty zostałeś Jedi niewiedząc takich rzeczy?

- Dziwnie mówisz ślepcze...
- Myślisz, że skoro nie widzę jestem od Ciebie gorszy? Oczy mamia...
- Prawda... Tylko potęga Mocy może ukazać to co wzrok pominie.
- A ty znowu swoje... Czy ty kiedyś oduczysz się tego co się nauczyłeś?
- O czym ty znowu mówisz? Gdzie ja w ogóle jestem?
- To jest twój świat Jedi... ty jesteś nieprzytomny a to kraina twojej podświadomości... – odpowiedział mu spokojnie.

– Co mam zrobić, żeby się budzić? I kim w końcu ty jesteś?? – denerwował się chłopak.

– Gniew... zauważyłeś, że ostatnio często poddajesz się temu uczuciu?

– Nie...

– Najłatwiej okłamywać samego siebie nieprawdą? Przejdźmy do sedna sprawy...

Twoje przeznaczenie jest bardziej niespotykane niż sobie myślisz... Ja chociaż wiedze i moc mam ogromną nie znam go do końca... Patrz – zrobił ruch ręką i znaleźli się na rozwidleniu dwóch piaszczystych dróg.

– Co to za drogi? – zaciekawił się chłopiec.

– Drogi twojego istnienia Jedi... Drogi twojej duszy... musisz dokonać wyboru...

Jedna to ucieczka od przeznaczenia i jedność z mocą jak ty to mawiasz... a druga natomiast prowadzi do wypełnienia tego po co się narodziłeś...

– Skąd mam wiedzieć, która droga jest dobra? – spytał niepewnie.

– Będziesz wiedział... Moc ci podpowie... – uśmiechnął się – Gniew siłą twą... nienawiść orężem... strach największym sprzymierzeńcem... – wyrecytował.

– Jak... to, to... Ty... – nie wiedział co wypowiedzieć.

– Norcoloh Idej mój chłopcze... Ten, który śpi musi się obudzić...

Jedi mimowolnie ruszył w stronę drogi po lewej, która to według niego była słuszna.

Przeszedł kilka kroków i nagle ogarnęła go ciemność. Po chwili otworzył oczy i ujrzał ostre światło ambulatorium, a nad sobą znajomą twarz.

– Witaj Arnicie wśród żywych – powitała go Luminara Unduli.

– Dziękuję... Skąd się tu wzięłaś mistrzyni... – wyszeptał.

– Odpoczywaj i nabieraj sił chłopcze... Porozmawiamy później... Lecimy teraz na Coruscant, jest wiele spraw do omówienia.

– Arnicie jak się czujesz? – spytała Anelim.

– Jakby mnie Rancor pożarł, przeżuł i zwrócił – zażartował.

Luminara Unduli poszła do swojej uczennicy. Zatrzymał ją Garn Leblis, żeby o czymś porozmawiać. Miał wyraźnie zatroskaną minę. Tymczasem w ambulatorium Arnit został pod opieką droidów medycznych i Anelim. Jego myśli jednak były wszędzie, ale nie w tym pomieszczeniu. Myślał o śnie i postaci tajemniczego ślepca, którą ujrzał. „Kim on jest?” – zastanawiał się.

Na statku dowodzenia klasy Acclamator „Miecz Republiki” siedział Haln i czekał spokojnie na koniec podróży przeglądając poszczególne raporty ze statku. Nagle wszedł jeden z oficerów

i oznajmił, że zaraz wychodzą z nadprzestrzeni. Wyszli razem, stanęli na mostku i po krótkiej chwili pojawiła się przed nimi planeta Bestine. Niestety nie widać było statku Republiki na pierwszy rzut oka co bardzo zmartwiło Halna. Przykuło natomiast jego uwagę i zapewne każdego w jego małej flocie uderzeniowej grupa statków w dalszej odległości po drugiej stronie planety.

– Sprawdzić czy sensory wykryją jakieś statki Republiki... I zobaczcie co to za dziwne statki... – rozkazał.

– Tak jest!

Po dłuższej chwili oficer zdał raport.

– Wykryto trzy wraki Acclamatorów... Żadnych istot żywych... nigdzie...

– Jak to nigdzie??? O czym pan mówi? – niedowierzał Haln.

– Generale Haln... nie ma żadnej istoty żywej na wraku... i...

– Wykrztuś to z siebie człowieka!!!

– Na całej planecie nasze sensory nie wykrywają śladów życia... Poza tym wykrywa grupę statków nieznanego pochodzenia, które powoli zbliżają się w naszą stronę...

panie generale...

– Chyba nie mają dobrych zamiarów... Przekazać do innych statków... Niech utrzymają gotowość Bojową!! Wszyscy na stanowiska... Kurs na tą flotę...

Zobaczymy czego chcą... A jak chcą walki to ją dostaną!

– Tak jest!!!

„Pewnie to ich sprawka” – pomyślał Senator. Ludzie Halna wzięli się od razu do roboty wykonując jego rozkazy. Wszystkie dziewięć Acclamatorów ustawiło się w szyku w kształcie klina i sunęli poprzez czerń kosmosu do przodu. W ich kierunku z przeciwnej strony leciały cztery duże okręty z trzema wieżami i chmara mniejszych stateczków. „Kim oni są??”

– zastanawiał się Haln. Minął krótki czas i znaleźli się w zasięgu turbolaserów. Tym razem trójrogi statki nie zaatakowały pierwsze. Zrobiły to Acclamatory po słowach Halna: „Ogień Ciągły, Cel dowolny”. Wszystkie turbolasery wielkich republikańskich statków wypaliły jednocześnie wysyłając niebieskie śmiercionośne promienie w kierunku wrogów. Dwa z ich statków były w zasięgu dział Acclamatorów, a pozostałe dwa powoli się zbliżały. Ogień dosięgał dwa statki, które od razu były targane pomniejszymi wybuchami. Jednak miały jakiś rodzaj tarcz temu też opierały się groźnej broni republiki. Wrogowie odpowiedzieli ogniem, z dwóch rogów zaczęły wylatywać iskry... potem z iskier zrobiła się wielka kula żółtej energii.

Z kuli wyszedł świetlista nitka, która spotkała się w innej kuli z przodu statku. Wtedy nastąpił kulminacyjny moment... Z kuli wprost na Acclamatora wyleciał gruby zielony promień... Identycznie jak to miało miejsca podczas starcia z Bellanem. Trafiony został „Cień Kanclerza”, pół jego czubka oderwał się przy pierwszym strzale, a reszta pokładów targana wybuchami powoli wyłączała się z walki. Jednak drugi strzał dotarł niszcząc kompletnie ten statek. Dwanaście poczwórnych turbolaserów z każdego Acclamatorek skupiło ogień na napastniku odpowiadającym tym samym. Wpierw tarcze osłabły, potem pierwszy róg po potężnym wybuchu oderwał się od kadłuba, tuż zanim poszedł drugi róg. Po chwili nastąpił wybuch kończący żywot okrętu. Pozostały trzy statki plus wiele myśliwców, które w tym samym czasie zawiązały się w śmiertelną walkę z myśliwcami Republiki. Przewaga liczebna było po stronie wojsk Halna.

– Skierować ogień na najbliższy nieprzyjacielski pojazd. Niech „Nić Mocy” i „Przeznaczenie Komandora” zawiąże się w walkę z pozostałymi dwoma...

Dołączymy do nich zaraz jak skończymy z tym... – rozkazał.

– Generale... Wiadomość o Admirala Wrahna z „Przeznaczenia Komandora”

– Daj holoprojekcję – rozkazał.

– Tu Admirala Wrahn. Właśnie za nami wyszła reszta transportowców myśliwców, czy moi ludzie mają wylecieć, żeby pomóc twoim chłopcom?? – spytał – Tak Admirala. Będę zobowiązany...

– Pokażmy im jak się walczy!!!

Kolejny strzał tym razem z dwóch wrogich statków naraz roztrzaskał na strzępy statek Kapitana Pelana. „Kolejny dobry oficer umarł niepotrzebnie...” – pomyślał Haln. Myśliwce tymczasem wdały się w równą walkę z wrogiem. Co chwila w chmarze małych latających maszyn było widać wybuchy świadczące, że ktoś zestrzelił kolejną maszynę. Jednakże z perspektywy Senatora Halna nie można było dostrzec kto dokładnie ginął. Miał on szczerą nadzieję że to tylko nieprzyjaciele. Po krótkiej wymianie ognia drugi statek z trzema rogami został zniszczony. Podczas gdy wielki wybuch, większy od poprzedniego lekko oślepił obecnych na polu bitwy „Nić Mocy” wraz z „Przeznaczeniem Komandora” zawiązały pozostałe dwa okręty wroga w bezpośrednią wymianę ognia. Niestety, ale myśliwce Republikańskie powoli ponosiły klęskę. Jednak przyleciała odsiecz w postaci około stu nowych gotowych do akcji małych pojazdów kosmicznych. Wleciały jak nowe stado owadów w rój pozostałych i od razu włączyły się do walki. Przewaga rosła, ponieważ było już w tej chwili trzy myśliwce do jednego nieprzyjaciela Republiki. Pozostałe Acclamatory także wciągnęły się do walki. Uszkodzony mocno „Nić Mocy” cofał się powoli do tyłu, bo jeszcze strzał bądź dwa i kolejny statek rozplynał by się w nicości kosmosu. Kolejne baterie zaczęły okładać ogniem statki nieprzyjaciela. Dwa pozostałe statki nieznanego wroga przygotowywały się do strzały. Po chwili równocześnie wystrzeliły w kierunku „Nici Mocy”, prawie ją niszcząc, ponieważ ciągły ogień z turbolaserów republikańskich na dużo im nie pozwolił. Kiedy kolejny strzał był przygotowywany przez wroga jakiś uszkodzony zabłąkany myśliwiec wbił się w świetlistą kulę, która tworzyła się na pomiędzy dwoma górnymi wieżami. Rogi eksplodowały odłamując się od reszty kadłuba. Długo takiej siły nieprzyjaciel nie wytrzymał i eksplodował szumnie rozpluwając się pośród gwiazd.

– Do wszystkich!! Ostrzelać statek z Dział Jonowych!! Chce mieć ich żywych...

– Tak jest...

Wiele baterii jonowych wystrzeliło równocześnie unieruchamiając statek obcych. Jednak oni nie chcieli się podać, nie chcieli dać się wziąć żywcem. W komunikatorach na okrętach Republiki rozległ się syczący głos: „Norcoloh Idej, Norcoloh Htis..”

Wszyscy się zastanawiali co te słowa oznaczały, lecz nikt tej wiedzy nie posiadał.

Dosłownie chwilę po wypowiedzeniu tych słów statek wybuch, a fala uderzeniowa powstała po tej eksplozji zabrała ze sobą wiele myśliwców republikańskich, które to już zakończyły wykańczanie nieprzyjaciół. Zdumienie każdego członka załogi który to widział było ogromne. „O co tu chodzi???” – zastanawiał się Haln.

– Jakie straty? Szybko proszę o raport... Wysłać ekipę na planetę... Musimy się dowiedzieć co tu się stało!! – rozkazał.

– Straciliśmy dwa okręty klasy Acclamator, „Nić Mocy” jest straszliwie uszkodzony. Oprócz tego poszło około trzydziestu myśliwców Generale... – złożył szybki raport okrętowy statystyk.

– Niech stwórca ma ich w opiece... Tyłu ludzi umarło... I dlaczego?? Z jakiego powodu ta potyczka miała miejsce? Możesz odejść – mówił jakby do siebie.

– Tak jest Panie Generale... – odparł niepewnie oficer.

Odszedł zostawiając Senatora Halna z własnymi rozmyślaniami.

Niedaleko planety Nal Hutta trzy statki wylaniają się z nadprzestrzeni w charakterystycznym pseudo ruchu. Była to trójka Jedi, poszukująca zaginionego Rutra Dik'a Yruba. Wcześniej przez Holonet poprosili o audiencje u przywódcy jednego z dwóch najsilniejszych Huttyjskich klanów. Chodziło mianowicie o Jilliac z klanu Desijlic. W niewiele ludzi wiedziało, iż przed wiekami rasa Huttów opuściła swą zdewastowaną ojczystą planetę zwaną Varl i po długich poszukiwaniach dotarli na planetę Evocar, którą to szybko przejęli od pierwotnych, pokojowo nastawionych mieszkańców. Obyło się to oczywiście bez wojny, ale przy użyciu typowo Huttyjskich sposobów, a mianowicie oszustwa, fałszerstwa i wymuszenia. Zdobyć przemianowano na Nal Hutta, co w ich ojczystym języku znaczyło

„Wspaniały Klejnot”. Najpierw zniszczyli porastające ją lasy tropikalne, zmieniając je w bagniska wydzielające odór rozkładu, czyli najprzyjemniejszą woń dla Hutta. Potem na powierzchni zaczęły wyrastać rezydencje, łaźnie i baseny z mułem, jako że każdy następny budujący chciał mieć wspanialszą siedzibę od dotychczasowych.

Huttowie, choć strasznie nie ufni zgodzili się przyjąć kilku Jedi na chwilę w swojej siedzibie. Praktycznie Mistrza Quell Perra i jego towarzyszy nie interesowało co Huttowie

robią na swojej planecie, temu też nie zamierzali sprawiać im kłopotu. Wylądowali w określonej wcześniej przez gospodarzy lokalizacji. Już lądując zauważyli liczny komitet powitalny, który zapewni im bezpieczeństwo na ich krótki okres pobytu. Wysiedli ze swoich statków i zostali zaprowadzeni przed oblicze gospodarza tej posiadłości, Hutta imieniem Jilliac. Od razu dopadł ich obrzydliwy zapach tej planety, który dla przeciętnej istoty był nie do zniesienia, a dla właścicieli prawie rajskim zapachem. Po krótkiej przechadzce dotarli do sali audiencyjnej, gdzie ich miano przyjąć. Jak otworzyły się wielkie wrota ich uwagę przykuł wielki Hutt siedzący daleko na wprost nich w towarzystwie licznej orszaki i dworu.

Przypominali oni przerośnięte glisty bez dolnych kończyn, z wielkimi głowami, szerokimi, przelewającymi się cielskami i muskularnym ogonem. Przeważnie dorastali do pięciu metrów długości i nie posługiwali się innym językiem niż własny. Mieli dwie krótkie ręce i parę olbrzymich, gadzich oczu oraz pozbawiony warg otwór gębowy zadziwiającej szerokości.

Byli bardzo długowieczni, ponoć dożywali nawet do tysiąca lat. Hutt jak był młody poruszał się o własnych siłach pełząc po ziemi, jednak po sporym czasie przybierał na tak dużej wadze, że nie miał już siły podróżować sam, toteż potem używali oni różnych urządzeń antygrawitacyjnych przytrzymujących ich wielkie cielsko.

Przeszli do miejsca, skąd mieli mówić, ukłonili się nisko w dowód szacunku. Nikt z nich Huttyjskiego niestety nie znał, więc droid protokolarny Jilliac miał sprawować funkcję tłumacza. Był to rodzaj droida, którego funkcją podstawową było pomoc w administrowaniu i w stosunkach dyplomatycznych, co wiązało się oczywiście z towarzyszeniem ważnym osobistościom. By móc wykonywać skutecznie swoje zadanie posiadał on bardzo szeroką bazę danych, obejmującą języki, tłumaczenia, znajomość różnych kultur i protokołów dyplomatycznych. Najbardziej popularnym modelem droida protokolarnego był C3PO. Sala w której znajdowali się była duża, przestronna i bogato udekorowana. Wokoło można było dostrzec wielu strażników, w większości Gamorean, ponieważ byli silni i strasznie tępi. Była to brutalna rasa należąca teoretycznie do istot inteligentnych. Zielonoskórzy, mający dwa niewielkie rogi, ryje pełne kłów, mierzyli około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu.

Byli barczyści, niezwykle silni i bardzo szybko się denerwowali, co było nieustannie przyczyną bójek. Stanowili bardzo dobrą siłę roboczą, a jeszcze lepsi byli z nich najemnicy.

Rozumieli większość języków, ale wspólnym posługiwali się z trudem z uwagi na budowę krtani. Pochodzili oni z planety Gamorr, mającej pełen asortyment stref klimatycznych i ukształtowań terenów. Żyli w plemionach, którym przewodziły samice, noszące tytuł matron.

Samice też zajmowały się uprawą roli, myślistwem, wytwarzaniem dóbr i interesami. Samce natomiast poświęcały cały swój czas czterem ulubionym czynnościom: walce, picciu, spaniu i kopulacji, przy czym pierwsze było zdecydowanie ich ulubionym zajęciem. Doskonale władali bronią sieczną. Gorzej niestety było z miotaną, ponieważ strzelcami byli wręcz fatalnymi. Mimo, iż znali nowoczesną broń jak na przykład blastery, nie używali ich do walk na ojczystej planecie. Cała historia tej rasy to praktycznie jedna nieprzerwana wojna. Bili się od wczesnej wiosny do późnej jesieni najczęściej w lokalnych międzyplemiennych konfliktach, których cel wyznaczały na początku sezony matrony.

Jilliac pierwszy przemówił po huttyjsku, a chwilę po nim droid we wspólnym oznajmił treść słów.

– Mój pan wszechmocny i wszechwiedzący Jilliac wita was w swoich skromnych progach czcigodni Rycerze Jedi, Pyta się także co sprowadza was do tak skromnego Hutta.

– Witaj Czcigodny Jilliac. Radzi jesteśmy, że mogliśmy poznać tak wspaniałą klejnot wśród huttyjskiej rasy – zaczął Oruun widząc jak od razu Droid tłumaczy na huttyjski jego słowa.

– Oświecony Jilliac dziękuje, za te szczerze i prawdziwe słowa o jego osobie i prosi, żebyście powiedzieli o co chodzi, a na pewno pomoże.

– Otóż... Przybywamy właśnie z Mon Calamari, gdzie byliśmy w poszukiwaniu Rutra Dik'a Yruba, z trójprzymierza Valasos. Dowiedzieliśmy się, że przed paroma dniami przybył tu w gościny. – wyjaśnił Quell Perr. Zobaczył jak Hutt uważnie wysłuchuje słów Droida protokolarnego, a potem się chwilę zastanawia i mówi w swoim ojczystym języku.

– Jilliac mówi, iż ta osobistość była tutaj obecna, lecz on z nią nie rozmawiał ponieważ był na Ryloth w ważnych interesach, toteż siostrzeniec wielkiego Jilliac rozmawiał z nim i go tutaj ugościł. Zaraz tu przybędzie i na pewno wam pomoże.

Po chwili wpełzł średniej wielkości Hutt uważnie obserwując wszystkich obecnych w sali, a szczególnie przybyłych gości. Był on jeszcze w stanie pełzać o własnych siłach w odróżnieniu od wiekowego Jilliac, który osiągnął już wagę kilku ton i poruszać mógł się tylko na łóżach antygravitacyjnych. Młodszy Hutt skłonił się lekko przed Jilliac.

– Przedstawiam wam bratanka Jilliac, bardzo zdolnego i mądrego Jabbę.

Po chwili usłyszeli krótką wymianę zdań pomiędzy Jabbą a Jilliac po huttyjsku, jednak nie rozumieli ani słowa. Pomyśleli na pewno, że starszy Hutt szybko wyjaśnia całą sprawę. Rex dostrzegł coś dziwnego w Jabbie. Jak kończył wysłuchiwać słów od większego Hutta na jego twarzy odmalowało się wielkie zdziwienie. Nie znał dobrze mimiki tej rasy, ale co do tego nie miał wątpliwości. Po chwili Hutt do nich zwrócił się niestety również w ojczystym języku, a droid czym prędzej spełniał swoje zadania tłumacząc jego słowa.

– Pan Jabba, mówi, że wie o co chodzi, ale jednak sprawa nie jest taka prosta jak się wydaje. Rozumie on wspólny, więc bez problemu mogą państwo zadać mu jakieś pytanie. – Hutt mówił bez przerwy tłumacząc coś a droid to przekazywał do Jedi. – osobnik, o którego pytacie był tu przed dwoma dniami, lecz nagle bez słowa pożegnania, ani też podziękowania za gościnę odszedł. Bardzo

tym uraził właścicieli, którzy nie wiedzą co się stało. Teraz wszyscy się niepokoją o jego los i nie mają mu już nic za złe. – dodał droid z smutkiem, który wyglądał bardzo nieludzko. – Bardzo chcieliby wszyscy pomóc, ale niestety nie wiadomo jak...

– Całkowicie to rozumiemy... Dziękujemy za pomoc i czym prędzej udamy się w dalszą podróż na poszukiwania – rzucił nagle Quell Perr co wywołało zdumienie jego towarzyszy.

– Mamy wszyscy nadzieję, że odnajdziecie go... Czekamy z niecierpliwością na nowiny od Was...

– Nie omieszkamy poinformować wszechmocnych Jilliac i Jabbę.

Skłonili się nisko i zostali odprawieni do swoich statków w towarzystwie licznej ochrony.

Tymczasem po wyjściu Jedi Jabba został sam z Jilliac w komnacie i zwrócił się do swojego starszego krewniaka po huttyjsku.

– Po co okłamywać Jedi? Czy to było rozsądne?

– Tak mój bratanku... Musieliśmy to zrobić...

– Czy to przyniesie korzyść naszym interesom? – zaciekał się.

– Jak wszystko pójdzie zgodnie z planem zdobędziemy większe zyski niż Aruk i jego cały klan Besiadji.

– To mnie bardzo cieszy... Jednak co będzie jak się domyślą?

– Nie domyślą się Jabbo... Wszystko jest już załatwione...

– A co z Jedi? Pozwolimy im odlecieć? – zaciekał się Jabba.

– Na razie tak... A potem sam zobaczysz... – zaśmiał się Jilliac złowieszczo.

– Teraz muszę wyjechać na kilka dni na Tatooine... Mam tam kilka interesów do załatwienia – oznajmił Jabba.

– Leć bratanku, wracaj szybko i oby twoje zyski były jak największe.

– Będą...

Hutt uklonił się lekko, odwrócił się i powoli odpełził przygotować się do podróży. W tym samym czasie trójka Jedi była już na orbicie Nal Hutta. Przez komunikator na zastrzeżonej częstotliwości Oruun z niedowierzaniem spytał.

– Przecież to było kłamstwo... Nie wyczułeś tego Quell Perze??

– Oruunie... Jasne, że tak... Temu też szybko zakończyłem rozmowę. Huttowie coś ukrywają, ale nie wiem tylko co...

– Jeśli mogę się wtrącić – zaczął Rex – zauważyłem lekkie zdziwienie na twarzy Jabby jak rozmawiał z Jilliac.

– Tak też to dostrzegłem – zamyślił się Quell Perr – wychodzi na to, że młodszy Hutt nie jest o wszystkim poinformowany... Jednak nie wiem, musimy to zbadać.

Nie wzbudzajmy podejrzeń. Skoczmy na Coruscant, zmieńmy okręty na niewzbudzające zbyt dużej uwagi, ukryjmy naszą tożsamość i tu wróćmy... Złóż raport Radzie Jedi i spotkam się z Regentką... Coś mi tu nie pasuje... – zaniepokoił się Mistrz.

– Co takiego? – zaciekał się Oruun.

– Nie chce teraz zapeszyć... powiem jak będę miał pewność. W drogę.

Przesunęli dźwignie napędu nadprzestrzennego i skoczyli na Coruscant...

ROZDZIAŁ 6

Dwaj słudzy Ciemnej Strony Mocy stali kilka godzin bez najmniejszej przerwy i słuchali holoprojekcji z Holocronu Sith. Dowiedzieli się wielu ciekawych rzeczy poczynawszy od tego czym był, jaka była jego historia, aż w konkluzji po co został stworzony Holocron.

Istota, która do nich przemawiała nosiła imię Darth Aday, który był jednym z pierwszych Mrocznych Lordów Sith. Żył on przed tysiącletkami, kiedy dokładnie tego nikt nie wiedział.

Na pewno musiały być to czasy kiedy powstał już jakiś rodzaj prymitywnej holoprojekcji.

Zakończywszy swoją wypowiedź, która była dłuższa niż obydwój słuchający przypuszczali, zwrócił się do nich bezpośrednio z pytaniem.

– Co chcecie wiedzieć jeszcze?

– Amulet Korribanu... Jak go użyć? Co oznaczają napisy na nim?

– Pamiętam go... Należał kiedyś do młodego, ambitnego wojownika imieniem Sious. Całe swoje życie poświęcił badaniu tego artefaktu, lecz nic nie odkrył. Po jego śmierci przejąłem amulet w swoje ręce. I wiecie co? Odkryłem jego znaczenie, które przeraziło mnie bardziej niż cokolwiek co dotychczas widziałem.

– Dlaczego to? – spytał zaciekawiony mężczyzna.

– Już wyjaśniam... Na pewno nie znacie słów „Norcoloh Idej, Norcoloh Htis”. Czyż nie? Otóż badając wszelkie znane w galaktyce dialekty nie odkryłem nic...

Kompletnie nic takiego nie istniały w znanym nam wszechświecie...

– Więc co odkryłeś dalej?

– Zacząłem kopać głębiej... Tam gdzie nikt nie pomyślał... tam gdzie nikt nie sądził, że coś takiego można znaleźć...

– Czy chodzi ci o źródło???????

– No proszę... Bardzo dobrze... Tak... Źródło... poszedłem do źródła istnienia...

źródła Mocy... które mi wskazało źródło, gdzie został stworzony amulet... Tak właśnie tam się udałem...

– A gdzie został on stworzony?

– Na nieznanym planecie, nie mającej nazwy, leżącej poza zewnętrznymi odległymi Rubieżami... Na terenie, który chyba nawet teraz nie jest odkryty przez cywilizowane istoty. Mieszkała tam nikomu nieznaną rasę, która to swą planetę nazywała Redav Htrad. Co dokładnie oznaczała ta nazwa nie mam pojęcia, lecz sądzę, iż nie ma to większego znaczenia. Byłem tam i pożyczyłem sobie ich dzieło. Wysłali za mną pościg, który na szczęście był kiepski i bez problemu zdołałem uciec. Tak naprawdę amulet ten później otrzymał swoją nazwę od tej planety Korriban, a wcześniej zwali go Amuletem Teluma, od imienia twórcy. Po co stworzył amulet i dał mu tak niewyobrażalnie dziwne właściwości, tego niestety także nie wiem. Podczas gdy uciekałem z ich

planety na amulecie właśnie pojawiały się napisy... Nie rozumiałem dlaczego... Jednak doszedłem do wniosku, że był to jakiś rodzaj przepowiedni... Czy to Moc to zrobiła? Czy jakaś inna wszechwładna siła to tego także nie wiem... Czy wiecie co oznacza ta przepowiednia?

– Tak... Kiedyś znów będziemy rządzić galaktyką, kiedyś pokonamy ich, kiedyś nastąpi równowaga... Początek nastąpi po końcu Norcoloh Htis – wyrecytował Sichr.

– Oj nie, nie, nie, nie. Nawet nie wiecie jak się grubo mylicie... Przede wszystkim nie, że będziemy rządzić galaktyką bo wśród naszej braci przyznajcie sobie szczerze jest to niemożliwe, tylko słowa oznaczają, że będzie rządzić. Dalej wszystko jest dobrze... Wiecie co oznacza Norcoloh Htis?

– Nie... Właśnie myśleliśmy, że tym nam to powiesz...

– Norcoloh Htis jest to wydarzenie... Coś jak święte Katarhsis... czyli oczyszczenie... Nastąpi oczyszczenie galaktyki z... – urwał nagle.

Holoprojektacja się urwała i zniknęła. Obydwaj zastanawiali się co się dzieje. Gniew w nich narósł, że nie dostali żadnych jasnych odpowiedzi. Tylko postać im bardziej zagmatwała to co wiedzieli. Nagle poczuli czyjąś obecność... Dochodziła z tyłu... Była potężna... nie wyobraźalnie potężna... Gdy spojrzeli w tą stronę dostrzegli człowieka... starca... Był chuderlawy... jego twarz przysłał czarny kaptur nie pozwalający odkryć jego tożsamości.

Zrobił ruch dłonią i widmo Sichra zniknęło. Zdezorientowany mężczyzna w czerwono-białej zbroi patrzył na wszystko i czekał. Dostrzegł spod kaptura wyłaniający się złośliwy uśmiech.

– Witajcie przyjaciele... wiem, że tam jesteście...

– Skąd? – odparły zdziwione widma.

– Czuje was ohydne ścierwa... Opuście go... Teraz... – rozkazał z Mocą w głosie.

Widma nie mogły nie posłuchać i najgorsze nie wiedziały dlaczego. Postać która przybyła była najsilniejsza Mocą jaką udało im się widzieć odkąd narodzili się i umarli. Musieli opuścić osobę, którą opętali. Po tym jak wyszli z jego ciała zniknęli. Osłabiony człowiek padł na ziemię lekko nie przytomny, gdy tymczasem mroczna osoba powoli jakby sunęła po ciemnej podłodze w jego stronę. Wziął amulet w ręce i popatrzył na niego uważnie. Zrobił kilka ruchów ręką i wyszeptał słowa w nieznanym dialekcie. Nagle szepty duchów wzniosły się i były bardziej słyszalne... Po chwili szepty przerodziły się w wielkie, głośne i przeraźliwe krzyki... Amulet zawisł sam w powietrzu rozświetlając się czarnym światłem... Mężczyzna śmiał się szyderczo i złowieszczo z zaistniałej sytuacji. Strach i przerażone szepty duchów tylko wzmogły jego śmiech... Podszedł do leżącego mężczyzny i wyszeptał mu do ucha:

– Wiesz co będziesz miał robić... Salatan...

Odwrócił się i odszedł jak cień, który pojawił się na chwilę pod wpływem światła. W tym czasie z amuletu wystrzelił promień na ścianę... Białe nitki pojawiły się w całym grobowcu tworząc jakiś wzór... U góry skupiły się tworząc czarną kulę tuż nad nieprzytomnym mężczyzną... Chwile potem kula poleciała wprost na niego wchodząc mu do ust... Nagle wszystko tak jak szybko się zaczęło tak się skończyło... Amulet upadł na ziemię i się roztrzaskał w drobne kawałki... Z łupin stworzył się napis „Norcoloh Htis”...

Przez długie i wielkie korytarze świątyni Jedi mały Mistrz Yoda przechadzał się powoli i rozmyślał. Targał nim ostatnio wielki niepokój o losy Jedi. Wyczuwał wielkie

zakłócenia Mocy, ale co było ich przyczyną to tego jeszcze nie był świadom. No i trzeba jeszcze dodać dziwną wizję, która kiedy się pojawia zawsze zmienia lekko postać. Z rozmyślań wyciągnął go

widok młodego Padawana, który biegł do niego coś krzyząc. Był to Afif Htur pochodzący z planety, która już nie istnieje. Zwała się Nolava, lecz niestety potężny wybuch supernowej zniszczył ją wraz z wszystkimi mieszkańcami. Republika dzięki odkryciu zagrożenia przez naukowców zdołała część uratować, ale nie wszystkich. Afif był jednym z niewielu z tej rasy, który posiadał zdolność postrzegania Mocy. Jego rasa zwana był Dyż, o wielkich szarych czterech oczach i brązowej skórze. Przez innych zwana była rasą nigdy nie posiadającą domu. Przed tym jak ich planeta została zniszczona, pewien okrutny władca zwany Relitih z jemu tylko znanych powodów strasznie nienawidził i chciał ich wytępić.

Najechał ich planetę i podbił bez najmniejszych problemów. Siły obronne planety nie mogły się równać z tym czym dysponował Relitih. Na planecie istniała jeszcze druga rasa, która nie była tak represjonowana jak Dyż. Wielu sąsiadującym władcom systemów się to nie spodobało. Próbowali drogą dyplomatyczną przemówić Relitihowi to rozumu, lecz był to szaleniec w szczerym znaczeniu tego słowa i nie dał sobie nic powiedzieć. Tak wybuchła wojna, kolejna z wielu pomniejszych konfliktów targanych systemami słonecznymi w galaktyce. Wojna trwała sześć lat czasu planety Nolaya. Była krwawa i pociągnęła za sobą liczne ofiary, lecz zakończyła się porażką Relitiha. Jednak to już była historia, która zapisała się krwawymi zgłoskami w księdze dziejów galaktyki.

Młody Jedi zatrzymał się mocno zdyszany przed mistrzem Yodą. Ten popatrzył na niego srogo dając mu reprimendę.

– Czy supernowa wybuchła gdzieś? A może wojna? hmm? Co stało się, że szalejesz tak?

– Mistrzu przepraszam, lecz poproszono mnie, żeby Ciebie o wszystkim jak najszybciej powiadomił.

– Aaa... A co stało się? kto prosił?

– Mistrz Quell Perr powrócił wraz z kompanią. A prosił mnie mistrz Windu...

– Jakie nowiny przynosisz? Prowadź Padawanie... Iść musimy i to spieszno...

– Tak Mistrzu...

Mistrz Yoda był już stary, poruszał o lasce, więc poszli spokojnie. Oceniać go jednak po wyglądzie to największy błąd jaki mógłby ktokolwiek popełnić. Dotarli po jakimś czasie do miejsca, gdzie byli już Mace Windu, Quell Perr i Oruun. Wszyscy skłonili się witając mistrza Yode. Poczekali jak usiądzie wygodnie i da im znak, żeby przemówili.

– Jakie wieści przynosisz Mistrzu Quell Perze?

– Mistrzu Yodo, Mistrzu Windu... Byliśmy najpierw na Mon Calamari, skąd poleciliśmy na Nal Hutta, jednak wszystko bezowocnie. Prawie nic nie znaleźliśmy.

– Jednak „ale” jakieś jest nieprawdaż? – uśmiechnął się Yoda.

– Tak Mistrzu... Kiedy rozmawialiśmy z Huttami... Oni wedle moich przewidywań nie byli z nami do końca uczciwi i coś ukryli... Może to nawet oni porwali Rutra Dik Yruba... ale niestety tego nie wiem... Jest to wielka zagadka.

– Zagadka wielka jest to prawdę mówisz... Jednak co stać mogło się z nim?

Porwany? Zabity? Hmm??

– Mistrzu Yodo sądzę, że możemy się czegoś dowiedzieć od Regentki... Ona też do końca szczerą nie była... – wtrącił się Oruun.

– Czemu tak sądzisz? – spytał zdziwiony Windu.

– Otóż... przyznam szczerze, że nie posiadam pewności ani dowodów... Opieram wszystko na moim postrzeganiu Mocy... Wyczułem wielki niepokój bijący od niej... Jak byliśmy z Quell Perrem...

Mógł to być niepokój o los swojego męża...

jednak te uczucie mieszało się z strachem... Jakby się bała nas... nie rozumiem tylko czego miała by się bać??

– Prawda też to wyczułem... – dodał Quel Perr.

– Dziwne... hmm...

– Jakie macie zamiary? – zaciekał się Windu.

– Polecieć na Nar Shadaa... Sądzę, że tam możemy się dowiedzieć więcej niż u Huttów...

– Plan dobry to jest... Ja się do regentki udam na rozmowę długą i szczerą...

wypytam ją dokładnie... Przede mną nic jej nie uda się ukryć... Niech Moc będzie z Wami... – zakończył rozmowę Yoda.

Jedi rozeszli się do swoich zadań, a Mistrz Yoda usiadł na swoim antygravitacyjnym fotelu i poleciał od razu czym prędzej na spotkanie z regentką Magatą.

Arnit spał i był targany coraz to bardziej wymyślnymi snami. Tym razem znajdował się na Coruscant w świątyni Jedi. Jednak wszystko wyglądało inaczej niż pamiętał, lecz podobnie. Przechadzał się korytarzem, ale nie zauważył nikogo żywego. Bardzo się tym wszystkim zadziwił, chociaż wiedział, iż był to sen. Nagle przed nim jak spod ziemi wyrósł jego najgorszy wróg... jego koszmar... osoba która nienawidził najbardziej w całej galaktyce...

Mężczyzna w czerwono-białej zbroi z mieczem świetlnym w dłoni, zapalonym i gotowym do walki. Arnit włączył swoją świetlistą broń i z sykiem wyłoniło się błękitne ostrze. Skrzyżował miecz z jego mieczem, aż zaiskrzyły oba ostrza wydobywając równocześnie charakterystyczny odgłos. Nagle jednak wróg zniknął, a w jego miejsce pojawił się już dobrze znana mu postać ślepeca z opaską na oczach. Uśmiechnął się do niego szyderczo, gdy gasił swoją broń.

– Chcesz się zemścić prawda?

– Tak... Nie... Nie chce zemsty... Zemsta nie jest rozwiązaniem...

– A co jest? Wybaczenie?

– Ja... – zawahał się. – Chyba tak...

– Chyba? To więc nie jesteś pewien?

– Jestem pewien... Jestem Jedi... Tak powinienem zrobić...

– Czy być Jedi to według Ciebie wyzbyć się uczuć?

– No nie...

– Jak nie? Przecież nie odczuwasz podstawowych emocji... Gniewu... Strachu...

Nienawiści... Czy to oznacza, że jesteś maszyną?

– To są elementy Ciemnej Strony Mocy... Są złe... – wyjaśnił Arnit.

– A kto powiedział, że to złe? Kto wyznacza granice pomiędzy dobrem a złem? Ty?

– Nie...

– No właśnie... Wiec dlaczego uważasz, że jest to złe? Skoro każdy człowiek nie będący Jedi to odczuwa... Wiec ty nie jesteś człowiekiem...

– Jestem! Jestem! – krzyknął zdenerwowany. – Jestem Człowiekiem... Nie jestem maszyną... – wahał się.

– Sam nie wiesz kim być, też czym jesteś Jedi... – rzekł ślepiec z ironią w głosie.

– Jestem Jedi... A ty kim jesteś? – powtarzał już z mniejszą pewnością.

– Czy jest sens zadawać pytanie, jak już odpowiedz znasz na nie hmm?

– No chyba nie...

– A co z Miłością? Każdy przecież w galaktyce zależnie od rasy odczuwa pewien rodzaj tego uczucia... No może z wyjątkiem Trandoshan którzy zabijają po czasie swoich rodzicielei zjadając ich i kładąc ich goście na polce jako trofeum.

– Ja... nie wiem...

– Tak też myślałem... Jedi ty nic nie wiesz... Nie wiesz nawet dlaczego miłość jest zabroniona przed Kodeks prawda?

– Nie wiem... – odparł Arnit zniechęcony.

– Leć na Salatan... A wcześniej zapytaj swojego mistrza o to... lecz się nie zdradź bo kłopoty nadejdą... Odegrasz ważną rolę... Jednak pamiętaj oczy mamia... patrzysz na kogoś, ale nie widzisz kim on jest... Dojrzyj prawdę w osobach, którym ufasz...

Patrz... Ujrzyj...

– Co mam ujrzeć?

– Norcoloh Idej... Niedługo znów się spotkamy... Ten który śpi musi się obudzić...

Arnit obudził się z krzykiem w ambulatorium, lecz to nie było to samo co na statku. Doszedł do wniosku, że jest na Coruscant. Czuł się straszliwie, a wyglądał jeszcze gorzej niż się czuł w środku. Poczul, że było mu niedobrze, ale na szczęście wokół dostrzegł pewnego rodzaju miskę, którą zdążył chwycić. Zwymiotował zielono czerwoną substancją, która go mocno zaniepokoiła jak dostrzegł w niej ślady krwi. Położył się na powrót i zamknął oczy i marzył, żeby te myśliwce latające wokół jego głowy przestały to robić i dały mu święty spokój. Po chwili weszła do środka Mistrzyni Luminara Unduli wraz z jakąś Lekarka. Obydwie miały bardzo zaniepokojone oblicza. „Co się stało? Czy to chodzi o mnie?” – pomyślał. Podeszły do niego i dostrzegły od razu, że chłopak był przytomny co bardzo ich ucieszyło. Jednak ujrzały też zielonkawą maź w misce, co tylko wzmoгло niepokój.

– Gdzie jestem? – spytał chłopak.

– Na Coruscant. Wylądowaliśmy jakieś cztery godziny temu i właśnie skończyłeś swój pobyt w zbiorniku z bactą. Mistrz Quell Perr niedawno także przybył tutaj, więc wysłałam Barrise, żeby go powiadomiła, że się znalazłeś... Na pewno macie wiele do omówienia.

– Tak... – odparł patrząc jej prosto w oczy, który były dobrem, spokojem i niewyobrażalną dla niego mądrością.

– Ja teraz muszę iść spotkać się z mistrzem Ki-Adi-Mundim, twoi towarzysze z Detos też się znajdują na Coruscant, więc niedługo na pewno przybędą Ciebie odwiedzić. Wracaj szybko do zdrowia młody Jedi.

– Niech Moc będzie z Tobą... – odparł jej.

Uśmiechnęła się do niego i poszła do Świątyni Jedi. Arnit został sam i coraz bardziej pograżał się w rozmyślaniach. „A co jeśli ślepiec ma racje?” – zastanawiał się.

Akinoma Ikiv siedziała na swoim statku myśląc. Jej towarzyszy Kid poszedł tam gdzie miał pójść, tam gdzie myślał, że odnajdzie swoją tożsamość. Obiecał jej, że powróci chociaż pożegnać się z nią. Drugi jej dawny towarzysz Pollus zginął podczas ucieczki z Detos. Nie był to może jej dobry przyjaciel, lecz druh i towarzysz podróży z którym przeżyła wiele przygód, który to wiele razy ratował jej życie. Była mu wdzięczna i modliła się do bóstwa w które wierzyła o spokojną podróż dla niego do krainy wieczności. Musi dojść do siebie, a potem iść na spotkanie z Niubem Shix, biznesmenem Aldeeriańskim, który ma dla niej to czego bardzo pragnie... Informacje o jej rodzinie... To kim była, kto był jej ojcem, kto był jej matką... Jakie było jej pochodzenie. Nic z tych rzeczy nie знаła, ale bardzo chciała poznać i to jak najszybciej. Pół życia spędziła na poszukiwaniu rodziny

i teraz miała wielką szansę na znalezienie tego jedyne miejsce w galaktyce, które wypełni pustkę jaka panuje w jej sercu od kiedy tylko pamiętała.

Kobieta o płomiennie rudych włosach stała na jednym z balkonów. Słońce Coruscant zachodziło już tworząc naprawdę piękny widok. Jak się spojrzało w tamtą stronę można by dostrzec nigdy nie przerwany ruch pojazdów powietrznych. Patrząc na horyzont widać było złociste niebo i słońce która się chowa za nieprzerwaną linią niekończącego się miasta. Taki zachód mógłby być inspiracją dla niejednego poety romantyka, który tylko patrząc na to mógłby napisać liczne poematy których tematem byłaby miłość bądź też o samym zachodzie, o którym to mogliby pisać i pisać. Jednak patrzenie na słońce, czy też pisanie wierszy nie było powodem, dla którego kobieta znajdowała się akurat w tym miejscu klęcząc na jednym kolanie i składając jakąś rzecz, która po chwili wyglądała jak duży karabin laserowy.

Skrupulatnie go składała z wielu mniejszych części, które to oddzielnie stanowiły odrębne urządzenia i nikt nigdy nie posądziłby je o to, iż były to części śmiertelnej broni. „Zostały trzy minuty” – pomyślała. Poniżej miejsca na którym ona się znajdowała była trasa prowadząca od Senatu do apartamentów wszystkich polityków. Broń w końcu stała się pełna i gotowa, żeby spełnić swoją funkcję. Policzyła w myślach do dziesięciu. „Teraz” – pomyślała.

Odwróciła się w stronę trasy po której leciały pojazdy powietrzne i wymierzyła. Czekwała dość krótką chwilę. Zobaczyła cel, odliczyła w myślach do pięciu i wypaliła. Ucieszyła się bardzo jak zobaczyła, że istota będąca na celowniku legła w swoich pojeździe bez życia. Jej ofiarą był Senator Verl z „Klanu Kupców”. Jeden z najsilniejszych opozycjonistów Nut’a Gunray’a z Federacji Handlowej. „Teraz czas na nią...” – pomyślała kobieta. Pobiegła szybko do środka, wcześniej rozkładając broń. Znajdywała się naprzeciwko apartamentów Trójprzymierza Valasos. Kolejny cel na nią czekał... Tym razem weszła do pomieszczenia i podeszła do okna. Wyjęła małe urządzenie i przycisnęła je do okna. Zrobiła małą dziurę w szybie wystarczający dla niej, żeby przez niego precyzyjnie się lufa jej karabinu. Znow złożyła karabin zabójcy i przygotowała się do zabicia celu. Spojrzała w celownik który wskazywał biuro regentki Magaty...

Mistrz Yoda leciał w swoim antygravitacyjnym fotelu w kierunku biura Regentki Magaty. Chciał on z nią pilnie porozmawiać, a ona nie zwykła odmawiać audiencji tak ważnej osobistości jak Mistrz Jedi Yoda. Przecież był to jeden z najpotężniejszych żyjących Jedi i posiadał naprawdę wielki autorytet w całej Republice. Kiedyś już dolatywał spotkał jej prawą rękę Aine. Kobieta skłoniła się lekko i uprzejmie witając mistrza, który jej odpowiedział szczerym uśmiechem i skinieniem głowy. Dziewczyna wskazała mu drogę, która ma się kierować i poinformowała, że Pani go oczekuje. Mistrz wleciał do środka i usadowił się wygodnie przed rozmówczynią.

- Witam Ciebie Mistrzu Yodo. Co Ciebie do mnie sprowadza? – zaczęła Magata.
- Sprawy ważne zaiste przyznać muszę...A jak zdrowie spytać pragnę?
- Bardzo dobrze... Dziękuję... jednak... Martwię się bardzo o mojego męża... żadnych wieści...
- Tak strasznie się stało... Mistrz Quell Perr niedawno przybył i całą relacje zdał z przeprowadzanych poszukiwań... Lecz skutku żadnego... – zasmucił się.
- Zła to wiadomość...
- Coś jeszcze złego wyczuwam... Strach... Niepokój... Ukrywać proszę nic bo poszukiwania fiaskiem zakończy się...
- Ja...

Nagle nagła fala nieznanego niepokoju zalała mistrza Yode. Wiedział, co to, ponieważ poprzez

Moc wyczuł to z przeciwnego budynku. Ruchem ręką używając Mocy przewrócił fotel z Regentką na nim na ziemié równocześnie gdy nad nim przeleciał żółty promień lasera.

Yoda wyczuł nagły strach od strzelającej osoby, która wystrzeliła kilkakrotnie ale tym razem w niego. On natomiast ręką dzięki Mocy odbił strzały i groźnie popatrzył w kierunku napastnika. Dojrzał tylko płomiennie rude włosy osoby, która porzucając broń wstała i zaczęła uciekać. Drzwi z tyłu otworzyły się i wbiegła grupa ochroniarzy zaniepokojona hałasami.

Mistrz Szybko im wytłumaczył co się stało i podleciał do Magaty.

– Dziękuję mistrzu Yodo... Uratowałeś mi życie...

– To co każdy na moim miejscu zrobiłem, lecz niepokój wyczuwam... Kto pragnie śmierci twojej odkryć musimy...

– Niestety nie wiem... W dzisiejszych czasach bycie politykiem to niebezpieczny sposób na życie. – odparła zdenerwowana.

– Odejść teraz muszę... Sprawy ważne mnie wzywają... Proszę uważać...

– Dziękuję raz jeszcze...

Wszyscy opuścili jej komnatę w której została wraz z Ainą. Była bardzo roztrzęsiona, a jej najbardziej zaufana pracowniczka przyniosła coś na uspokojenie.

– Ten Huttyjski pomiot próbował mnie zabić jestem jego pewna!!!

– Pani jak jesteś tego pewna to powiedz, a zginie...

– Nie... Aino nie może wiedzieć, że ja wiem. Niech sądzi, że żyje w błogiej nieświadomości... jednak dlaczego?? Robię wszystko wedle jego życzeń... Czas z tym skończyć! Najwyżej Rutra Dik Yrub tego nie przeżyje... Dłużej tego nie zniosę...

– Trzeba działać... rozkaż a zajmę się tym...

– Jesteś tego pewna???

– Tak Pani... Muszę to zrobić... Wiesz o tym tak dobrze jak i ja. – odparła pewnie Aina.

– Znajdź morderczynię... Ja muszę spotkać się z Ocirem.. Wszystko wymyka się spod kontroli...

Zabierz ze sobą Reppir'a... Wprawny i zdolny skrytobójca z niego... Wykorzystaj go dobrze...

– Tak Jaśnie Pani...

– Dobrze Cię wyszkolono Aino... Żaden mężczyzna nie oprze się twoim wdziękam... Są na to za słabi... Wykorzystaj ich z rozmysłem i uczyni to co słuszne.

– A co z tą młodą idealistką z Senatu?

– Z Padme Amidalą z Naboo? – zapytała Magata.

– Tak.

– Już się nią zajęłam... Idź już... Wszystko się rozstrzygnie w ciągu tygodnia... – Aina skłoniła się i odeszła – A Książę skoro chce wojny to ją będzie miał... – odparła do siebie z gniewem w głosie.

Mistrz Quell Perr jak tylko dowiedział się, że odnaleziono jego ucznia poszedł do ambulatorium z nim się spotkać. Bardzo był ciekaw co się z nim działo, dlaczego zniknął i kto go porwał. Spokojnym krokiem wszedł do ambulatorium, do którego szczerze trzeba przyznać nie lubił wchodzić. Zawsze raziło go to strasznie białe światło. Dostrzegł swojego ucznia, lecz zatrzymała go pani doktor Inad Eequ.

– Słucham? Pan pewnie spotkać się z Anirtem chce?? – spytała.

– Tak... Nazywam się Quell Perr. Jak on się czuje?

– Właśnie coś odkryłam... Coś dziwnego... – odparła zaniepokojona Pani Doktor.

– Co takiego?

– Proszę za mną...

Poszli dalej do pokoju obok, gdzie lekarka pracuje przeważnie sama. Tam znajdował się komputer, na którym prowadziła swoje badania.

– Jest on zarażony jakąś chorobą albo pasożytem... nie wiem co to jest i nie wiem jak temu zaradzić...

– Dziwne... Przecież tydzień przed wyjazdem na Corellie był badany i nic nie wykryto prawda?

– Dokładnie temu jest to dla mnie jeszcze bardziej dziwne...

– Czy jest na to lekarstwo????

– Niestety, ale nie wiem... Nawet nie wiem czy jest to śmiertelne... Będę dalej badać i informować na bieżąco.

– Dobrze... Mogę z nim porozmawiać?

– Oczywiście proszę... – odparła z uśmiechem.

Mistrz Quell Perr otworzył się na Moc i sięgnął umysłem do swojego ucznia. Wyczuł straszliwy niepokój i wewnętrzne cierpienie... „Co ten chłopak przeżył?” – zastanawiał się.

Poszedł do niego i usiadł koło łóżka. Jego uczeń nie wyglądał tak jak go pamiętał. Nie był już tym młodym beztróskim padawanem nie znającym życia... „Jego twarz” – pomyślał.

Wyglądał jak człowiek który przeżył wiele, i to odcisnęło na nim wielkie piętno.

– Jak się czujesz? – zaczął Quell Perr.

– Dziwne Mistrzu... Naprawdę dziwnie... Nie wiem co sądzić...

– Wszystko będzie dobrze... Zobaczysz... Otwórz się na Moc i pogrąż się w leczniczym transie Jedi... Wtedy szybciej wrócisz do zdrowia.

– Mistrzu – wyszeptał niepewnie Arnit. – Chciałbym się o coś spytać... Bardzo mnie to ostatnio nurtuje...

– Proszę mój Padawanie pytaj... Ten kto pyta nie błądzi lecz wiedzy szuka.

– Mistrzu, dlaczego Jedi nie powinni znać miłości? Czy to nie jest ludzkie uczucie? Czy nie możemy mieć dzieci?

– Bardzo ciekawe pytanie... Hmmmm Przyznam szczerze zadziwiłeś mnie... Jednak wiedziałem że kiedyś o to spytasz. Odpowiem Ci wedle mojej wiedzy, dlaczego Jedi nie mogą znać miłości? Otóż miłość jest to uczucie, które prowadzi do przywiązania... a to natomiast wyzwala chęć posiadania... Myślisz, że osoba którą kochasz... jest twoją własnością... To w twoim sercu tworzy.. nie tworzy... wychodzi na wierzch uczucie, które tam już było, a nazywa się zazdrość... Nie chcesz, żeby ktokolwiek inny spojrzał nie tak jak ty byś chciał na tą osobę... a to pewnie już się domyślasz do czego prowadzi... do nienawiści... zaczynasz nienawidzić osób które patrzą nie tak... albo będą robić co według Ciebie nie będzie zgodne z tym co sądzisz... To poprowadzi do cierpienia... Jedi są bardziej podatni na takie uczucia przez naszą łączność z Mocą... Wyczuwamy emocje... przez to nie potrafimy potem opanować tych emocji... Moc w takim przypadku nawet stanowi przeszkodę... To w konkluzji prowadzi Jedi ku ciemnej stronie... ponieważ popycha nas do czynów które możemy żałować...

– Rozumiem... Jednak czy odpowiednio silny wola Jedi nie potrafiłby tego opanować?

– zaciekawiał się Arnit.

– Raczej nie... jak już mówiłem Jedi są też ludźmi wbrew temu co mogą niektórzy sądzić i nawet oni mają słabości... Nie jesteśmy wszechmocni Arnit...

– A czy były kiedyś przypadki miłości pomiędzy Jedi? Przecież obydwójce mają zdolność

postrzegania Mocy... Wtedy dali by radę prawda?

– Może i tak... ale nic takiego nie miało miejsca... Wszyscy przestrzegają kodeksu i takie uczucia są wyciszone... A teraz mój uczniu odpoczywaj...

– Dobrze Mistrzu...

– Niech Moc będzie z Tobą...

Arnit został sam i w głowie mu dosłownie huczało. „On kłamie... Próbuje cię omamić...” – głos, lecz nie ślepeca mówił mu w umyśle. Zastawiał się co się z nim dzieje. Myślał co dalej go spotka...

Kid szedł jak w transie nie wiedząc dokładnie, gdzie idzie ani gdzie się znajduje.

Poddał się intuicji, która jak sądził, że go nie zawiedzie. Mrugnął oczyma i nagle Coruscant zniknęło. „Co jest???” – pomyślał. Był na pustyni, a przed nim stał sześciooki Thrill. O tej rasie nie wiadomo nic oprócz tego, że nie było ich wielu w galaktyce. Podobno już wyginęli i pozostali już tylko międzyplanetarną legendą. Stał w czarnym płaszczu i patrzył na niego

sześcioma oczyma.

– Gdzie ja jestem? Kim jesteś? – spytał. Dostał znak, że nie otrzyma słownej odpowiedzi. Postać zrobiła ruch ręką i znowu znaleźli się na Coruscant. Zobaczył kobietę ze swojego snu... Magatę... Siedziała czerwona ze złości na fotelu rozmawiając z złotowłosą kobietą. Nie wiedział skąd, ale pewny był że imię jej to Aina. Usłyszał, że chciano ją zabić co bardzo go zaniepokoiło. „A może ona chciała zabić mnie?” – pomyślał. Znowu postać zrobiła ruch ręką i zobaczył siebie, lecz w zupełnie innym miejscu. Widział, jak poszedł do Magaty, całując ją namiętnie w jej rozpalone czerwone usta.

Poczuł się dziwnie, lecz jakby to było wspomnienie. Potem on odszedł i powiedziała cicho do siebie: „Przepraszam... Musze to zrobić...”. Rozplakała się chowając twarz w dłoniach.

Chwilę później podbiegła do niej Aina pocieszając ją. Magata dała jej znak mówiąc: „Rób co trzeba...”. Sześciooki Thrill znowu zmienił scenerie tego snu na jawie. Pojawił się na jakimś planecie niedaleko jakiejś góry. Ze środka wychodziły istoty o trzech rogach i trzech żółtych ślepiach. Posiadały dwie pary rąk, cztery odnóża i trzy niby macki, które nie wiadomo było do czego służą. W dłoniach trzymały broń, dziwnego nieznanego mu kształtu ani pochodzenia, ale był pewien, że na pewno była śmiertelna. Spojrzał w górę... Dostrzegł statki które pamiętał z poprzedniego snu... Dostrzegł napis: „Norcoloh Idej, Norcoloh Htis”.

Znowu sceneria się zmieniła i ponownie ujrzał kobietę tym razem leżącą na ziemi bez życia.

– Po co mi to pokazujesz?? po co?! – krzyknął.

Nagle ocknął się w porcie przed statkiem Akinomy. Nie wiedział, jak ani dlaczego się tu właśnie znalazł. Zdecydował się później przejść do miejsca, które zwróci mu jego przeszłość.

Wszedł do środka, lecz kobiety nie było co go zdziwiło, więc od razu zawrócił. Pewnie poszła się spotkać z tym biznesmenem, o którym mówił mu Pollus. Nie wiedział jednak gdzie mógł ją znaleźć. Zdecydował się poszukać jakiś wskazówek wewnątrz statku. Przeszukał cały statek i potem usiadł cały zrezygowany. „Jaka ona jest dziwna... Mogła zostawić jakąś wiadomość” – pomyślał. Nagle coś przykuło jego uwagę, a mianowicie komputer po jego lewej stronie. Chciał go uruchomić, lecz poczuł nagły ból głowy i ogarnęła go ciemność...

Senator Haln będący także generałem przechadzał się po statku rozmyślając nad tym co tu się działo. Doszły go już pierwsze raporty, że cała planeta była zrównana z ziemią i nie znaleziono śladu żadnej żywej istoty. Nagle wbiegł jeden z jego oficerów wyraźnie podniecony.

– Co się stało? – spytał zaciekawiony Generał.

– Panie Generale... Znaleźliśmy ocalałego na planecie... Jednego człowieka... a ściślej mówiąc

młodego chłopca. Dostałem przed chwilą wiadomość właśnie z planety, jest on jak na razie strasznie przerażony i w wielkim szoku, ale wiozą go tutaj.

– Znakomita nowina. Może dowiemy się co tu tak naprawdę się stało! – krzyknął entuzjastycznie.

– Całkiem możliwe. Jednak sądzimy że już nikogo żywego nie odnajdziemy. Niestety Panie Generale... Pełno martwych ciał, lecz nikogo żywego.

– Możesz odejść! Powiadom mnie jak tylko chłopiec zostanie przywieziony na statek.

– Tak jest.

Mężczyzna wyszedł zostawiając Generała. „Ciekawe... Bardzo ciekawe” – pomyślał. Po jakiejś godzinie oficer powrócił z wiadomością, że chłopak znajduje się w ambulatorium.

Czym prędzej wręcz tam pobiegli, targani wielką ciekawością. W końcu dotarli do ambulatorium, gdzie droidy medyczne już udzielały pomocy chłopcu który był strasznie pokaleczony.

– Witaj chłopcze, powiesz nam co się stało na tej planecie? – rzekł najmilej jak potrafił senator Haln.

– Ja... to... te potwory... zabiły...

– Jakie potwory??

– Trzy żółte oczy... broń... huczące słowa w głowie każdego mieszkańca który za chwile miał umrzeć... – chłopak rozplakał się.

– Spokojnie dzieciaku... – pocieszał Haln.

– Czy wiesz kim oni byli, albo skąd pochodzili, cokolwiek??

– Nie wiem... Oni... Mówili ze chęcią: „Norcloh Idej, Norcoloh Htis”... Nie rozumiem co to oznacza...

– Dobrze odpoczywaj później jeszcze porozmawiamy...

Zostawili chłopca i udali się na naradę najwyższych oficerów i dowódców innych okrętów.

Sytuacja była poważniejsza niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Z jednej strony groził Republice rozłam ze strony separatystów, a tu teraz takie zdarzenie... Stare Koreliańskie powiedzenie mówiło: „Jak coś już zaczyna upadać to pociąga za sobą wszystko inne”...

Szunaj szczerze się bał, wiedział, że zaraz się spotka z jedną z istot, która wzbudza lęk wielu innych w galaktyce. Praktycznie nie wiedział, kim jest i jak się nazywał jednak znał tylko nazwę organizacji jaką prowadził. Otóż nazywała się ona „Czarne Słońce” i nie wchodziła jak na razie tylko w konflikty z Huttami. Miał za chwilę się spotkać z jej przywódcą na jego statku. Szedł w towarzystwie wielu ochroniarzy, którzy nie wyglądali na ugodowych ani zdatnych na przekupstwo. Stanęli przed wejściem do pomieszczenia, a jeden z nich zapukał do środka i po tym od razu weszli do środka. Zobaczył wysoką postać o zielonkawym kolorze skóry i oszczędnej fryzurze w formie czarnej kity z tyłu głowy. Spojrzał na niego posepnie i wskazał miejsca przed nim, żeby usiadł.

– Chciałeś się ze mną widzieć Książę? – spytał drżącym głosem Szunaj – Tak...

– Czym sobie zasłużyłem na taki zaszczyt?

– Wtrąciłeś się do moich interesów...

– Ja?? Nie... to jakieś nieporozumienie... ja... nic...to... znaczy... to kłamstwo...

– Śmiesz nazywać mnie kłamcą? – zaczął spokojnie i pewnie.

– Jakże bym śmiał... ja...

– Belkadan... może to ci odświeży pamięć?

– Ja... nadal nie wiem... jak? – Szunaj nie wiedział co powiedzieć.

– Trudno... – rozpoczął wstając i okrążając stół w kierunku Szunaja – nie powinieneś mieszać się

w nie swoje sprawy... to popsuło moje plany...

– Ja naprawdę nie chciałem... Przepraszam... – tłumaczył się.

– Mój drogi Szunaju... Chce żebyś wiedział że jestem łaskawy... przeprosiny przyjęte...

– rzekł i było słyhać odgłos łamanego karku. Szunaj nie żywy legł na fotelu.

– Straże zabrać go... wyrzucicie go gdzieś – rozkazał.

Straże weszły, sprawnie i szybko zabrały trupa Zanieśli go do śluzy i wyrzucili w nicość kosmos...

Kreth Malwil dolatywał do Revost powoli i pewnie. Miał za zadanie dowiedzieć się co się stało z zaginionymi Jedi Dev i jego padawanem Lekodem. Była to zagadka, która zaprzętała myśli wielu Jedi znajdujących się w Radzie. Wylądował w porcie i od razu udał się na poszukiwania. Idąc ulicami Revost wyczuł poprzez Moc, że ktoś go śledzi, ale zdecydował, iż nie da znać po sobie, że wiedział o tym fakcie. Szedł powoli i spokojnie przed siebie w kierunku pobliskich polan, małej rzeczki i gór. Wiedział, że osoba dalej za nim idzie.

Poszedł w kierunku pagórka i jaskini będącej gratką dla zwiedzającej. Otóż była to legendarna grota Maleer Na'dek, mówiąca bardzo dużo o ciekawej historii tej planety.

Praktycznie nikomu kto tutaj przybywał i usłyszał tą nazwę nic ona nie mówiła i oczywiście nic nie było w tym dziwnego. Maleer Na'Dek to imię naj słynniejszego mieszkańca tej planety, który żył przed wieloma wiekami. Otóż kiedyś niecni piraci, których dokładne pochodzenie i nazwa zostały zatarte przez czas. Były to czasy kiedy Revost miało nic wspólnego z Republiką, ani jeszcze nawet nie wiadano o istnieniu takiej planety. Piraci przemierzając przestworza przypadkiem natknęli się na Revost i wyczuli okazję. Lądując napotkali rasę nie znającą zdobycz techniki, ani już tym bardziej nowoczesnych broni. Złupili ich z wszystkiego co według nich było cenne, a większość wzięli na statki jako niewolników.

Udało by się im to wszystko na pewno, ale ktoś im przeszkodził, tym kimś był Maleer Na'Dek. Jedno było pewne nikogo innego jak ta postać ta planeta nie wydała na świat. Był on miejscowym kapłanem, który znał wiele sekretów tego świata. Jak przyszło zagrożenie poszedł on do słynnej groty i odprawiał tajemne modły do ich największego bóstwa zwanego Keddo. Ta wszechmocna istota wysłuchała próśb swojego kapłana i pierwszy raz zeszła do swoich wyznawców ukazując im swą prawdziwą postać. Wyobrażenia była zgoła inne od tego co ujrzeli, ale praktycznie pokrywały się wyobrażenia Mocy ich boga. Był on mały, około jeden metro wzrostu, o skórze pomarańczowej i oczach czarnych. Pojawienie się tego bóstwa towarzyszyła wielka burza z piorunami, która wywołała wielkie zdziwienie wśród najeźdźców. Jak ujrzeli mikrusa to zaczęli się śmiać w niebogłoso. On spojrzał na nich a jego oczy rozbłysły czarną poświatą. Strach rozdarł im serca gdy patrzeli na bóstwo. Bóg Revostian wyciągnął rękę i zacisnął pięść. Piraci zaczęli po prostu padać bez życia, jakby ich serca zatrzymały się pod wpływem mocy nieznanego im bóstwa. Ci co zdołali jakoś przeżyć, porzucali wszystko co mieli w rękach i uciekali na statki odlatując. Niektóre rozbijały się nagle jakby ktoś w środku umarł, ale kilkoro udało się odlecieć. Bóstwo uratowało tą planetę, a dzięki udanym modłom Maleer Na'Deka grota w której to uczynił została nazwana jego imieniem. W niej też bóstwo zniknęło tworząc różnokolorowe wzory, będące uczta dla oczu.

Do tej groty właśnie wszedł Kreth Malwil i ku jego zadowoleniu śledząca go osoba podążyła za nim. Przyspieszył swój chód Mocą i schował się za małą skałą. Czuł że prześladowca idzie za nim. Przeszedł kilka kroków i rozglądnął się, Jedi wyraźnie to czuł.

Kreth dostrzegł wyłaniający się blaster, wstał i szybko chwycił go zadając kilka ciosów w brzuch

nieprzyjacielowi. Następnie powalił go na ziemię, przygniótł kolaniem, żeby się nie ruszał i zadał pytanie.

– Kim jesteś? Czemu mnie śledzisz?

– Zapłacono mi... naprawdę... Tylko miałem się dowiedzieć dokąd zmierzasz... – odparł krztusząc się.

– Kto??

Nie usłyszał odpowiedzi, bo człowiek zmarł. Usłyszał głos.

– Ja, Jedi...

Malwil dostrzegł postać stojącą z dwoma rękojeściami w dłoni. Jej oczy granatowopomarańczowo dziwnie mrugały. Za nim stały dwie kobiety, będące bliźniaczkami o identycznej urodzie, różniące się tylko strojem.

– Kim jesteś?? – spytał Kreth.

– Twoją śmiercią Jedi...

Przeciwnik zapalił obydwie rękojeści i sykiem wyłoniło się dwa ostrza. Jedi już wiedział, czuł co się stało z Lekodem i Devem. Przyczyna ich zniknięcia stała właśnie przed nim. Jednak nie znał powodu dlaczego ten osobnik miałby zabijać Jedi. Kreth także zapalił swój miecz i przygotował się do odparcia ataku wroga. „Spokój ponad emocjami... Nie ma śmierci jest Moc” – pomyślał. Skoncentrował się wzmacniając łączność z Mocą, gdy nagle przeciwnik przeszedł do ataku. Jedi spokojnie wyczekał na jego ciosy i bez problemu je parował odczytując jego styl walki i zamiary. Malwil należał do jednych z lepszych szermierzy, więc wiedział jak walczyć z wrogiem, chociaż w dzisiejszych czasach nie było dużo okazji ku temu. Jedi w końcu przeszedł do kontrataku zadając wymierzone dobre ciosy, które były z trudem parowane. Wiedział, że jego przeciwnik także był wytrawnym szermierzem i zwycięstwo może przyjść mu z trudem. Musi przełożyć ten pojedynek na inny termin, wtedy kiedy będzie gotów. Taką właśnie podjął decyzję i czym prędzej przeszedł do jej wykonania.

Zadał mocny cios, którego cały impet przyjął wróg na lewy miecz, który to upadł z hukiem na ziemię. Jedi kopnął go mocno posyłając na ziemię i zaczął biec. Dwie kobiety przygotowały się do zatrzymania go, ale on pchnął je siłą Mocy i wybiegł szybko uciekając w bezpieczne miejsce. Wrogowie czym prędzej wzięli się w garść i ruszyli w pogoń...

Arnit leżał na łóżku rozmyślając nad słowami Mistrza Quell Perra. Jego mistrz już wyleciał wraz z Oruunem i młodym Rexem na Nar Shaada w misji o której młody Jedi nie miał pojęcia. „Jedi nie powinien znać miłości? Może to prawda? Czy to sprawia, że Jedi upada? Czy on przechodzi na Ciemną Stronę Mocy? „– pomyślał. Nagle głos przemówił mu w umyśle: „Leć na Salatan... Tam poznasz prawdę o Władcach Mocy...”. Wiedział, że musi to zrobić i to jak najszybciej, ale nie wiedział jak przekonać wszystkich, żeby go wypuścili.

Nagle weszła do środka Anelim. Popatrzyła na niego z nieukrywanym smutkiem, który jemu się straszliwie nie podobał. Ten smutek przechodził nawet w współczucie mieszane z litością.

„Czego oni mi nie mówią?” – zastanawiał się.

– Arnicie jak się czujesz?? – spytała kobieta.

– Dobrze... – skłamał.

– Pani Doktor powiedziała, że możesz już stąd wyjść... Czy pójdziesz ze mną?

– Oczywiście.

Pożegnał się z panią doktor i szczerze jej podziękował za opiekę. Poszedł wraz z Anelim, lecz

najpierw miał spotkać się z Mistrzen Ker'wanem. Miał się z nim spotkać, żeby porozmawiać o ewentualnym wypożyczeniu myśliwca i podróży na Salatan. Dogadał się z Anelim, że za godzinę spotka się z nią w porcie. Ona zgodziła się z nim odbyć podróż na Salatan, z czego był bardzo zadowolony. Jednak był też zbyt pewny siebie... Nie wiedział przecież, czy dostanie pozwolenie i statek. Wszedł do komnaty Ker'wana. Była bardzo skromnie wystrojona z miejsca na spanie i dwoma krzesłami. Dostrzegł mistrza siedzącego i medytującego. Chciał wyjść i wrócić jak mistrz skończy, lecz ten go zatrzymał.

– Siadaj...

– Witaj mistrzu... Czy przeszkodziłem w medytacjach? – spytał Arnit.

– Co Ciebie do mnie sprowadza?

– Mistrzu... Mam wizję... inne niż poprzednie, lecz dziwne i tajemnicze...

– Opowiedz...

Opowiedział mu w skrócie pomijając kilka znaczących faktów, między innymi postać ślepeca mówiącego dziwne rzeczy.

– Salatan powiadasz? A co tam chcesz znaleźć?

– No właśnie nie wiem... Lecz mistrzu to się pojawia ciągle w mych snach chce poznać prawdę...

– Niestety, lecz nie mogę ci pozwolić wyruszyć w tej chwili... Nie jesteś w pełni zdrow... – rzekł ze smutkiem Ker'wan.

– Ale mistrzu...

– Żadnego ale! A teraz idź... Odpocznij... Potem porozmawiamy... Niech Moc będzie z tobą!

Pożegnał się z mistrzem i wyszedł. Targał nim lekki gniew, ponieważ myślał, że zostanie puszczony w tą podróż. Zdecydował się sprzeciwić i uciec. Pobiegł czym prędzej do portu spotkać się z Anelim. Wy tłumaczywszy jej całą sytuację. Ku jego radości zgodziła się na wszystko. Otóż zdecydowała się zabrać go na tą planetę i pomóc mu w poszukiwaniach. Arnit sprzeciwił się właśnie zakonowi po raz pierwszy... lecz nie ostatni... Nie zważywszy na słowa mistrza Quell Perra pojął, że Anelim była jedyna osoba wokół której krążyły jego myśli w całej galaktyce... Była jedyną osobą powodującą, że jednocześnie jego serce bije wolniejszym i szybszym rytmem... Jedyną osobą, którą kochał...

W pokoju siedział senator Kecaj i czekał. Odprawił wszystkich swoich doradców mówiąc, że ma bardzo ważne spotkanie. Znajdywał się on na orbicie Bothawui. Po chwili zmaterializowała się naprzeciw niego postać. Istota o trzech żółtych ślepiach, dwoma parami rąk, nóg i kilkoma niby mackami. Mówiła w swoim języku, lecz Kecaj ją rozumiał.

– Gdzie? – zaczęła postać.

– Flota stacjonuje nad planetą Kuat, w stoczniach są prowadzone modernizacje a nieopodal ćwiczenia...

– Gdzie? – ponowiła postać.

– Odzyskacie to po co tu przybyliście, ale wszystko w swoim czasie...

– Kiedy?

– Niedługo wszystko się rozstrzygnie... niedługo wszystko się zakończy... niedługo będzie koniec...

– Amulet?

– Trzy dni... Będziecie go mieli z powrotem... lecz nie rozumiem po co on wam tak pilnie jest potrzebny?? – zaciekawił się.

– Amulet to życie... bez niego śmierć... Życie to amulet... potrzebne, żeby odpędzić śmierć...

– Dziwne... i tak nie rozumiem o czym mówisz... Teraz idź... Skontaktuje się z Tobą po załatwieniu sprawy na kuat...

– Norcoloh Idej...

Postać zniknęła. Kesaj był jednym z wiodących działaczy wśród separatystów i teraz właśnie spełniał ich rozkazy. Wiedział że flota tajemniczej rasy zdąży na kuat, gdzie stacjonuje większość kosmicznych okrętów Republiki. „Kiedy oni skończą na Kuat... Senat nie będzie miał wyboru tylko pójść na ugody...” – pomyślał ciesząc się w duchu.

ROZDZIAŁ 7

Ślepiec z opaską na oczach wraz z swym nieodłącznym towarzyszem stali na wzgórzu i patrzyli. Przyglądali się uciekającemu Krethowi Malwilowi i goniących go trzem postaciami.

- On może nam zaszkodzić w planach... – zaczął ślepiec.
- Tak...
- Jedi już prawie pojął swoje znaczenie... Choć patrzy, jeszcze nie widzi, ale ujrzy...
- Czas na żniwa...
- Tak przyjacielu... czas zebrać plony zasadzonych ziaren... krwawe plony...
- Od czego zacząć?
- Ciemny Jedi już zrobił na Korriban, tak jak napisano... reszta ustawiona... niedługo czas na kolejne rozdanie w grze...
- Uda nam się zapobiec temu?
- Nie wiem przyjacielu... Chociaż jesteśmy kim jesteśmy... nie jesteśmy aż tak wszechmocni jak się przeciętnym istotom wydaje...
- Jednak w naszej grze jest nowy gracz...
- Czy to jest nasza gra przyjacielu?
- A nie?
- Gra jak każda gra ma wielu graczy, ale czy może ona należeć do kogoś? Nie przyjacielu... Jesteśmy tylko jednymi z graczy, którzy chcą odnieść zwycięstwo w tej grze – Przechodzę do dalszej części planu...
- Ja zajmę się Jedi... Sprawa z nim jest już prawie zakończona...
- Czas wziąć plony... Dla mnie czas odbierania... Nikt nie zna dnia ani godziny...
- Idź pełnij to co jest ci pisane...

Sześciooki thrill znikł rozpląnawszy się kompletnie w powietrzu. Ślepiec patrzył na dwie kobiety i ciemny Jedi gonili Kretha. Przeczuwał jak to się skończy, lecz wolał obserwować.

Nie znał dokładnie tej nowej postaci, która pojawiła się w grze jaka była prowadzona, lecz chciał ją poznać i zrozumieć jej intencję. W końcu zapędzili go w kąt bez wyjścia, więc nie miał wyboru i musiał stawić czoła napastnikom. Wziął miecz, zapalił go, wzmocnił uścisk na rękojeści i oczekiwał.

- Kim jesteś? Czego chcesz? – zapytał zdyszany Kreth – Śmierci... Twojej... Kim jestem? czy to ważne kim jest twoja śmierć?
- Tak... Co zrobiłeś z Lekodem i Devem?
- Kim oni są?? aa to ci dwa Jedi... Zasmucę Cię... niedługo do nich dołączysz...
- Czemu? Dlaczego ich zabiłeś? Tyle możesz mi powiedzieć zanim ja Ciebie zabije...– lekko drżący głos Malwila, wydawał się przesączony pewnością.

– Me imię tylko ci zdradzę... Jam jest Anuid'kel...

– Anuid'Kel??? – zdziwił się Jedi, ponieważ kiedyś słyszał to imię... Dawno, dawno temu...

– Walcz...

Anuid'kel włączył jedno ostrze i zaatakował jedi z furją i dzikością, lecz także zwinnością wytrawnego drapieznika. Każdy jego cios przyjmowany był na miecz świetlny rywala, każde jego kopnięcie czy uderzenie pięścią było blokowane. Jedi z wolna przechodził do kontr ataków zadając cięcia z lewej i z góry. Niestety każdy jego cios także był parowany i nie mógł nawet pozbawić orężu swojego przeciwnika. Kiedyś ktoś mądry powiedział, że zawsze najprostsze błędy są przyczyną porażki i tak też teraz błąd Jedi mógł być przyczyną jego klęski. Otóż cofając się jednocześnie parując ciosy całą uwagę poświęcił właśnie temu i nie dostrzegł małego kamienia o który potknął się. Przewrócił się i rękojęść wyleciała mu z dłoni.

Myślał, że już zginie, lecz nagle zamieszanie odwróciło uwagę jego oprawcy który odszedł kilka kroków zobaczyć co się dzieje. Otóż jakiś Wookie w towarzystwie kilkoro ludzi wdał się w walkę z dwoma kobietami. Ta ciekawa rasa pochodziła z planety Kashyyyk. Nie wszyscy dokładnie wiedzieli jak ona wygląda, ponieważ była to jedna z planet posiadająca jeden najniezwyklejszych i równocześnie najgroźniejszych ekosystemów w galaktyce. Jej powierzchnię bowiem porastały gęste lasy olbrzymich wroshyrów – drzew, które osiągały parę kilometrów wysokości i w niektórych miejscach sięgały aż do podstawy chmur.

Ponieważ puszcza zawsze sprzyjała rozwojowi różnorodnych form życia toteż konkurencja i walka o byt zaczęły się na planecie o wiele wcześniej niż wykształciła się tam inteligencja.

Na rozsądny pomysł, że im wyżej tym bezpieczniej pierwsi wpadli przodkowie Wookiech i dlatego zwyciężyli. Stworzenia, które pozostały na niższych partiach, albo wyginęły albo stały się niezwykle groźne, gdyż w tym pionowym środowisku zajęte zostały dokładnie wszystkie nisze ekologiczne. Miliony lat ewolucji utworzyły, jak to niektórzy określają „wielopoziomową pułapkę” na powierzchni planety. Odwiedzający ją byli bezpieczniejsi dopóki pozostawali na najwyższym poziomie splecionych ze sobą gałęzi, tam gdzie żyją Wookiee, a im niżej tym niebezpieczniej. W dolnych partiach czyhały nader urozmaicone zagrożenia od mięsożernych kwiatów, przez drapieżne katarny czy trujące webwaery, aż po protoplazmatyczne ślimaki duszące. A to tylko kilka najbardziej znanych. Poniżej pewnego poziomu w ogóle nie docierało światło słoneczne, które było zatrzymane przez pokrywę liści.

Jednak ciekawe było to, iż niewielu śmiałków zdołało dotrzeć do powierzchni planet, a jeszcze mniej wróciło, żeby cokolwiek o tym opowiedzieć. Wookie utworzyły zorganizowane społeczeństwo na dość wysokim poziomie rozwoju. Zamieszkują w miastach zbudowanych w gałęziach lub na pniach wroshyrów o kilometry nad powierzchnią. Powstały tam fabryki, lądowiska, windy i inne zdobycze techniki, choć jako materiały często wykorzystywane były rodzime, to znaczy organiczne surowce na przykład windy poruszały się na linach z hohyy, wytrzymalszych od standartowych kabli używanych w innych częściach galaktyki. W tych miastach za zwierzęta juczne służyły importowane banthy i wielonogie suregginy.

Nie wiadomo było kto zaczął walkę, kobiety czy ich przeciwnicy, lecz walczyli zawzięcie. Kobiety wytrenowane w sztukach walki dawały radę wdać się w pojedynek z roslymi Wookiem i jego kompanami. Był to zaiste imponujący widok i godny zapamiętania.

Ciemny Jedi widząc przeważającą liczbę przeciwników zaczął się zastanawiać czy był sens podejmować walkę. W tym czasie Kreth nie czekał na decyzje swojego wroga i sięgnął po rękojęść

atakując go od razu. Zaskoczony Anuid'Kel sparował jego cios, ale nie dość skutecznie. Broń wyleciała mu z ręki, a Jedi przytknął ostrze do jego gardła.

– Każ swoim towarzyszkom rzucić bron – rozkazał.

– Nie – Jak nie? Zabije cię i uwierz, ze humoru na żarty dziś nie posiadam.

– Nie byłem dość dobry. Nie byłem dostatecznie silny. Porażka... – mówiąc jakby do siebie spojrzął na Kretha spojrzeniem przeszywającym na wskroś, że aż żołądek Jedi podszedł mu do gardła.

Zaczął coś mamrotać w nieznanym języku. Malwil nie wiedział czemu, ale powoli opuszczał miecz świetlny jednocześnie zgaszając go. Zastanawiał się dlaczego nie może oprzeć się i trzymać dłoni tak jak trzymał. Uśmiech pojawił się na złowieszczej twarzy, z której ust wychodziły cały czas dziwne słowa. W tej samej chwili kobiety kontynuowały walkę z

Wookiem, którego kompanie żeby nie dostać jakimś zabłąkanym ciosem zostawili go samego, żeby walczył, ponieważ sadzili, że sobie bez problemu poradzi. Mocnym ciosem w głowę kobiety prawie jej oderwał ją od reszty ciała. Legła na ziemi ze skrzyconym karkiem.

Druga w tej samej sekundzie wbiła swoją bron wprost w serce Wookiego, która głośno i donośnie zawył z bólu. Machnął jeszcze kilka razy, lecz zwinna niewiasta unikała jego ciosów, które były lekko spowolnione. Jego towarzysze widząc co się dzieje podbiegli i rzucili się na kobietę, która z tyłoma przeciwnikami na raz nie miała dużych szans. Gdy biegli na nią, ona odsunęła się od Wookiego i przygotowała do zadawania śmiertelnych ciosów, lecz spośród nich nagle wyleciał strzał z miotacza, którego kompletnie nie spodziewała się i to był jej błąd. Nie doceniła przeciwników i to zakończyło się jej śmiercią. Wookie padł na ziemi krwawiąc bardzo mocno. Towarzysze podbiegli do niego, lecz nic nie mogli poradzić, ponieważ rana była śmiertelna. Wookie po jakimś czasie umarł. Towarzysze podjęli decyzję, że zabiorą go na Kashyyk, gdzie odbędzie się uroczysty pogrzeb.

Tymczasem Anuid'Kel zakończył wypowiedzianie tajemniczych słów. Kreth Malwil już nie panował nad swoim ciałem. Padł na kolana jak na rozkaz swojego pana. Jego oczy niegdyś brązowe pełne życia teraz znikły, a mianowicie widać było tylko pustą biel. Oprawca włączył swój miecz świetlny i się zamachnął, lecz na szczęście na Malwila zaczęły w ich stronę lecieć śmiercionośne strzały z blasterów. Napastnik szybkimi ruchami odbił i odszedł zerkając na Jedi pogrążonego w transie. „Większa to kara niżli śmierć” – pomyślał i uciekł.

Ludzie podeszli do niego, patrząc z zaciekawieniem.

– Co mu jest? – spytał jeden z ludzi.

– Nie wiem – odparł – Jednak weźmy go. To jest Jedi, i możemy z tego zawsze jakiś zysk uzyskać.

– Prawda odparł, lecz co z Lelobacciem?

– Niestety zginął, lecimy na Kashyyk. Jakoś trzeba się skontaktować z Akinomą i ją powiadomić.

– Zajmę się tym – odparł wysoki mężczyzna – Cieszę się. Leć na Coruscant Risk ona tam powinna być. Zabierzesz ze sobą tego Jedi.

Spotkamy się jutro na Kashyyk.

– Dobra.

Zabrali nieprzytomnego Jedi i udali się do portu.

Arnit siedział z Anelim w jej statku, który dostała od Garna. Jedi rozmyślał nad sobą, nad swoim życiem a praktycznie nad wszystkim. „Czas twoim wrogiem... Czas przecieka przez palce” –

pomyślał i zasmucił się bardzo tym stwierdzeniem. Nie wiedział dokładnie czemu, lecz w środku niego coś się znajdowało co nie pozwoliło mu długo cieszyć się szczęściem.

Chciał spędzić resztę życia z tą kobietą, nawet kosztem Zakonu Jedi, który pragnąłby opuścić.

Zastanawiał się także, gdzie znajduje się tajemnicza planeta Salatan, do której to pragnął się dostać. Planeta z jego snów, gdzie miał poznać to czego szukał. Głos mu mówił „Salatan...

Tam poznasz prawdę o Władcach Mocy”. Anelim podeszła do niego uważnie mu się przyglądając z nieukrywaniem niepokoju. Pocałowała go czule patrząc mu prosto w oczy.

Jego serce zaczęło bić szybciej gdy i on spojrzał w jej czarodziejskie piękne zielone oczy.

Poprzez Moc wysłał do niej radość i szczęście jakim dla niego była ona, lecz wyczuł on niej lekki niepokój, co znowu go zmartwiło. Usiadła naprzeciwko niego uśmiechając się bardzo ciepło. Głos znów przemówił w jego umyśle: „Zabij... Zabij... Zabij...”. Jedi wstał i krzyknął:

– Nie!!!!!!

– Co się dzieje Arnit? – spytała zaniepokojona.

– Ja... Nie... Anelim... – popatrzył na nią i dostrzegł za nią postać ślepego złowieszczego się uśmiechającego. – Odejdź – krzyknął ponownie.

– Czemu mam odejść? – zdziwiła się kobieta.

– Nie... To nie było do Ciebie...

– A do kogo? Tu nikogo innego nie ma... – patrzyła na niego z coraz większym zdziwieniem.

– Jest czy nie ma... Jaki to sens... – zrezygnowały wyszeptał. – Czy ja wariuję? – spytał.

– Nie.. – rzekła czule podchodząc do niego i spojrzała mu znowu w głęboko oczy łapiąc go za dłoń. Jedi poczuł jak ogarnia go dziwne ciepło. Poczuł dotyk jej jedwabistych dłoni. Nagle ciemne plamy zaczęły mu jak myśliwce latać przed oczyma i zemdlał prosto w jej ramiona. Na szczęście złapała go, więc nie padł na ziemię. Pociągnęła go do koi i położyła próbując ocucić. „Co mu jest?” – zastanawiała się.

Świat młodego Jedi pograżył się w ciemności, która ogarnęła wszystko wokoło. Czuł, że stoi po środku jakiejś pustki i rozgląda się w poszukiwaniu światła. Przemówił głos kobiety:

„Salatan... Leć tam i poznaj prawdę o władcach Mocy. Przeznaczenie Cię oczekuję... Narodziłeś się, żeby umrzeć by Oni się narodzili... Powstrzymasz ich przed zdobyciem Tego... Być musi jak powinno... To co długo stoi upadnie... Wszystko co stoi upadnie... a z gruzów powstanie coś nowego... Norcloh Idej... Powstrzymasz to co nieuniknione...”

Chłopak padł na ziemię łapiąc się za głowę i krzycząc w niebogłose. Nagle otoczenie się zmieniło i stanęła przed nim postać. Spodziewał się ujrzeć dobrze mu znaną postać ślepego, lecz tym razem to nie był on. „Kim on jest?” – zastanawiał się. Był to niski starzec zarośnięty siwą brodą z żółtymi oczyma. Kiedy młody Jedi spojrzał na niego ten odpowiedział mu uśmiechem ukazującym szereg brązowych zębów.

– Witaj Witaj! – zaczął starzec.

– Kim jesteś? Kolejną postacią stworzoną przez mój chory umysł?

– Nie, Nie... Ty nie jesteś Chory... Nie, nie. Tak nie znasz mnie, ale ja znam Ciebie.

Tak. Tak. – krzyczał.

– Przestań krzyczeć starcze. Kim jesteś???? Co mi chcesz powiedzieć?

– Ja? Ja jestem Nikt a ty?

– Co to za pytanie?

– Pytanie jak pytanie a na pytanie trzeba dać odpowiedź żeby wszystko się stało jak stać

powinno. Czyż nie? – bredził.

– Co ty mamroczesz?? O co ci chodzi? – zdenerwował się Arnit.

– O nic mój drogi Arnicie...

– Skąd znasz moje imię? Po co ja w ogóle z tobą gadam. Przecież to moja wyobraźnia Cię stworzyła! Zniknij! Teraz! – krzyczał – Nie masz nad mną władzy. Oj nie, nie. Myślisz że masz, ale nie masz. Jesteś pewny że Moc ci daje władze tak?

– Nie daje mi władzy, lecz możliwości – odparł.

– Jesteś tego pewien? Jesteś maszyna zwana Jedi niczym więcej więc wykonujesz tylko rozkazy Senatorów i całej Republiki.

– Nieprawda. Kłamiesz!!! – denerwował się.

– Jesteś tego pewien? – doszło do niego pytanie zza jego pleców. Był to ślepiec powoli idący w jego stronę.

– O i jesteś ty! Wspaniale! – westchnął.

– Czy wyczuwam sarkazm w twoim głosie Anrit? Czy to może nutka wrogości? – zaciekawiał się ślepiec.

– Wrogość mój przyjacielu zdecydowanie wrogość. Tak, Tak, Jedi wrogością pała i rządzą zemsty, lecz czemu do Ciebie? – starzec zwrócił się do ślepca.

– Nie do mnie prawda Arnicie? Ty chcesz zemsty na jednej istocie w tej galaktyce prawda? Tej która pozbawiła Cię szczęścia zadając ból czyż nie?

– Tak... – odparł wiedząc, że ślepiec mówi prawdę.

– Musisz poddać się swojemu przeznaczeniu. Nie możesz się bronić przed tym co napisano...

– Czas jest to tylko bariera nałożona na świadomość... Wszystko co się dzieje było, jest i będzie... Nie ma teraz – dokończył starzec.

– Co wy mówicie?

– Jeśli ty się nie poddasz temu co jest napisane. – uśmiechnął się – to może twoja urocza towarzyszka Anelim Cię zastąpi hmm? Nie ręczę, że przeżyje – Nie!! – krzyknął i rzucił się na ślepca, przez którego przeleciał jak przez powietrze upadając na ziemię. Rozległ się donośny śmiech.

– Myślisz, że możesz coś mi zrobić w tym niematerialnym świecie? Wybór należy do Ciebie... Pamiętaj zawsze istnieje inna droga mój młody Jedi.

– Twoje słowa są jadem który sączy truciznę do mojego serca. Odejdź! – odpowiedział mu z gniewem.

– Jesteś tego pewien, że moje słowa nie mają ziarna prawdy?

– Nie...

– Pomogę ci odnaleźć cel twojej zemsty, pomogę ci odnaleźć Salatan, a ty w zamian pomożesz mnie co ty na to?

– A co bym musiał dla Ciebie zrobić? – zaciekawiał się.

– Umrzeć mój Arnicie... Umrzeć tak jak napisano...

– I tak kiedyś musimy umrzeć. Zgadzam się.

– Obudź się – rzekł starzec.

Arnit otworzył oczy i obrócił głowę, gdzie ujrzał zmartwioną Anelim. Uśmiechnęła się do niego widząc, że odzyskał przytomność.

– Jak się czujesz? Zemdlałeś nagle.

– Wiem Anelim. Wiem wszystko.

- Co ty mówisz? Co wiesz?
- Wiem dokąd mamy lecieć.
- Jak? Skąd? – zdziwiła się dziewczyna.
- Zaufaj mi – rzekł z Mocą w głosie i się podniósł.

Podszedł do niej i pocałował ją. Poczula ten pocałunek jakoś inaczej, nie tak samo jak zwykle. Czula, że całuje ją szczerze z wielką miłością, jakby ten pocałunek był ostatni jakim mógł ją obdarzyć. Jednak takiego pocałunku jeszcze nie przeżyła... Był to pocałunek jedyny w swoim rodzaju jaki poczuć można bardzo rzadko podczas wędrówki przez życie. W końcu rozłączył trwający długi chwile namiętny pocałunek i spojrział w jej oczy. Ona dostrzegła w jego natomiast determinację, prawdziwą i szczerą. Uśmiechnął się do niej i pobiegł wprowadzić koordynaty skoku na Salatan.

Akinoma Ikiv zdążyła w dolne rejony Coruscant. Wiedział, że było tu strasznie niebezpiecznie, lecz była ona twardą kobietą w dodatku uzbrojoną i potrafiącą się obronić, więc tak bardzo się tym nie przejmowała. Miała iść spotkać się z Niubem Shinxem – biznesmen z którym chciała dobić pewien interes. „Po co on chciał się spotkać w tych rejonach?” – zastanawiała się. Dostała wiadomość, że będzie na nią czekał w lokalu „Truheli Odór” cieszącego się w tych rejonach bardzo złą sławą i zwany potocznie „Mordownią”. W końcu jej oczom ukazał się lokal do którego czym prędzej weszła. Stanąwszy w wejściu przykuła uwagę wszystkich znajdujących się w środku. Wiadomo było, że nie lubili tutaj obcych, a ona do takich na pewno należała. Dostrzegła przy drzwiach wychodzących dwóch przedstawicieli rasy z planety Kyryll zwanej Pui-Ui. Jej przedstawiciele mierzyli około stu dwudziestu pięciu centymetrów wzrostu i wyglądali jak dwie kule połączone krótką szyją. Ich środkiem napędowym były rzęski wyrastające z dolnej kuli, a porozumiewali się zaś szeroką gamą przeraźliwych ni to pisków ni to gwizdów. Następnie dostrzegła kilku Twi’leków, którzy byli bardzo ciekawą inteligentną rasą humanoidalną. Mieli charakterystyczne zmysłowo-chwytno narośle na głowie zwane warkoczami lub ogonami. Pochodzili z planety Ryloth, znajdującej się w systemie położonym w Zewnętrznych Odległych Rubieżach.

Dziewczyna dostrzegła, że prawie nic nie mówili i się zastanawiała czemu bo tej nie znała dobrze tej rasy. Mianowicie język Twi’Leków był kombinacją dźwięków i ruchów warkoczy, dzięki czemu mogli oni toczyć prywatne rozmowy w największym nawet gwarze, w dużej gromadzie istot ze swojego gatunku. Byli wszystkożerni i na ojczystej planecie uprawiali jadalny mech, grzyby oraz hodowali zwierzęta w wielkości banth o nazwie rycrity. Woleli raczej spryt i intrygi od siły fizycznej chociaż zdarzały się od tej reguły wyjątki. Na swej planecie mieszkali w podziemnych miastach na ciemnej stronie planety. Każde z nich było samowystarczalne i rządzone przez radę pięciu, podejmującą decyzję o produkcji, handlu i sprawach codziennych. Przywódcy byli od urodzenia przygotowywani do tej roli i pełnili ją od chwili śmierci jednego z piątki. Ciekawe było, że kiedy jeden umierał to pozostali czterej udawali się na jasną stronę planety by umrzeć i zwolnić miejsce następnemu pokoleniu.

Niedaleko dostrzegła także grupę ludzi palących jakiś narkotyk. Czując jego zapach wiedziała, że była to nowość sprzedawana ostatnio przez Huttów zwana Holame. Powodował on typowe dla tego rodzaju używek odurzenie. Zażywało się go poprzez włożenie małej niby kuli do dróg oddechowych i wciągnięcie go do płuc. Powodowało to chwilową ekstazę a potem taki delikwent odpływał w swój świat. Wiązało się to z różnego rodzaju halucynacjami które czasami kończyły się albo śmiercią albo zapadnięciem w śpiączkę. Przechodząc obok nich usłyszała rozmowę:

- Miałem dziwny sen wczoraj... Ten towar sprzedawany przez Huttów jest coraz lepszy – rzekł

jeden mężczyzna.

– Jaki? – zaciekał się jego towarzysz.

– Widziałem księżyc pożerający moją ojczystą planetę Aldeeran. Zabawne nie?

– Tak – odparł mu śmiejąc się.

Z innej strony dostrzegła grupkę mężczyzn bacznie przyglądających się jej osobie i coś do siebie szepczących. Trzeba przyznać, że Akinoma grzeszyła urodą toteż wzbudzała często niezdrowe fascynacji płci przeciwnej. W końcu dostrzegła postać Niuba Shinxa w towarzystwie licznej ochrony, która siedziała w pobliskich stolikach. Znała Niuba średnio, ale jego ochroniarzy wszędzie by rozpoznała. Podeszła, dwaj ochroniarza z nie ukrywaną przyjemnością ją obszukali i zezwolili na dołączenie przy stole do ich szefa. Niub Shinx należał do rasy Sullustian.

– Witaj Akinomo. W końcu się spotykamy. Przykro mi z powodu Pollusa, dowiedziałem się ze zginał.

– Takie jest życie, wszyscy kiedyś musimy umrzeć czyż nie?

– Tak rzeczą myśliciele, jednak ja wole o tym nie myśleć. Przejdźmy do interesów Dobra?

– Oczywiście, więc Czy będziesz miał dla mnie to?

– Jasne, a i mam coś dodatkowego moja droga.

– Co takiego? – zdziwiła się kobieta.

– Informacje o twoim pochodzeniu... – uśmiechnął się Niub.

– Nie wierze. To możliwe. – odparła.

– Możliwe moja droga i nawet całkiem prawdopodobne. Chociaż już znam twoje pochodzenie nie powiem ci nic, żeby niespodzianka była większa. Jednak wróćmy do interesów, to jest tylko przecież dodatek do nich czyż nie?

– Ile będzie mnie to kosztowało?

– No sporo. Wiesz o tym dobrze jak ja ze dziś nic ani nikt nie jest za darmo czyż nie?

Najśmieszniejsi są politycy, ich najłatwiej kupić. Wiesz dobrze że każdy jest do kupienia jest to kwestia ceny. Tak też zdobyłem informacje których ty nie mogłaś, lecz oczywiście znajomości których mam kilka też się liczą. Ile? hmm dwieście tysięcy kredytów dla takiej pięknej kobiety jak ty – uśmiechnął się złowieszczo.

– Niub ty stary podrywacz. Dam ci mój stary statek i sto tysięcy kredytów co ty na to?

– No niech strącę, będziesz mi dłużna przysługę i wierz mi na pewno o tym nie zapomnę.

– Kiedy mogę odebrać ten cudowny towar?

– Wkrótce. Myślę że za dzień bądź dwa. Na pewno dostaniesz wiadomość od któregoś z moich ludzi. A teraz niestety muszę zakończyć to spotkanie, interesy wzywają. – rzekł wstając Akinoma pożegnała się z nim i udała z powrotem do swojego statku. Miała lekki mętlik w głowie z powodu nowiny jaką dostała od Niuba Shinxa. „Poznać swoją rodzinę... Ciekawe, tylko po co?” – zastanawiała się.

Kid ocknął się w jakimś mokrym i cuchnącym pomieszczeniu. Czuł jakby wdał się w zabójczy taniec z Wampą. Otworzył oczy i dostrzegł, że był sam. Wstał i podszedł do lustra, które go przestraszyło jak zobaczył swoje oblicze. Miał twarz tak obita, że przypominał Gamoreana. Czuł, że chyba miał z jedno żebro złamane i brakuje mu kilka zębów.

Zastanawiał się chwile jak tu się znalazł jednak oprócz tego że cierpiał na amnezję to jeszcze nie pamiętał co się z nim działo przez ostatnie godziny, a może dni. Nagle obskurne drewniane drzwi otworzyły się i do środka wbiegł mężczyzna, a tuż zanim urodziwa kobieta o blond włosach. Rosły

człowiek widząc, że jego jeniec wstał uderzył go kilkakrotnie mocno w twarz, aż ten zemdlał.

- Wystarczy! – powiedziała stanowczo kobieta.
- Jesteś pewna? Może powinniśmy od razu go zabić?
- Nie możemy, wbrew temu co ci mówiono on nam jeszcze jest potrzebny.
- Zabieramy go?
- Tak podaj mu środek i zapakuj na statek, lecimy do stolicy.
- Dobrze...

Wzięli nieprzytomnego Kida i zapakowali do skrzyni, która załadowali na statek. Zabrali go w podróż, której cel nie był świadom.

Przestrzeń kosmiczna pomiędzy Nal Hutta a Nar Shaada. Wyłania się mały frachtowiec koreliański YT-1200, lekko starszy model, lecz po zmodyfikowaniu bardzo zwrotny i szybki. Kierował się na Nar Shaada księżyc przemytników, gdzie pasażerowie pragnęli się dowiedzieć coś o zaginionym Rutra'Dik Yrub. Na statku znajdowała się trójka Jedi Quell Perr, Oruun i jego uczeń Rex. Wylądowali spokojnie w wyznaczonym miejscu i w codziennych strojach z blasterami przypiętymi do pasa ruszyli na poszukiwania. Oczywiście nie zapomnieli o swoim najważniejszym orężu, a mianowicie o mieczach świetlnych.

Wiedzieli, że było to bardzo niebezpieczne szukanie informacji w tym rejonie jeśli się było obcym. Jednak oni potrafili o sobie zadbać temu też nie zwracali tak wielkiej uwagi na proste niebezpieczeństwa. Kiedyś wielki myśliciel zwany Nuz'tes napisał: „Nie docenianie przeciwnika okazuje się podstawowym i największym błędem, który przeważnie jest przypłacony życiem”. Skoro więc oni nie doceniali niebezpieczeństw to czy popełniali błąd?

Szli spokojnie w poszukiwaniu jakiegoś miejsca, gdzie będą mogli zasięgnąć informacji.

Odwiedzili sporo takich miejsc, lecz niczego jak na razie się nie dowiedzieli. W takich przypadkach były to różnorakie lokale, gdzie przy piwie aldeeriańskim lub też innym alkoholu języku wszystkich istot wszechświata rozwiązywały się. Weszli do lokalu o nazwie „Pod rozbrykaną Banthą”.

- O czego zaczniemy? – spytał zniecierpliwiony Rex.
- Od napicia się czegoś dobrego mój uczniu – odrzekł mu Oruun.
- No właśnie. Chodźmy coś zamówić. – wtórował mu Quell Perr.

Podeszli do barmana, który był także właścicielem tego lokalu. Miał na imię Rogi'Nel i pochodził z tego co wiadomo z Dantooine. Był niskim człowiekiem lubującym się we wszelkiego rodzaju zabawach, a także istotach płci przeciwnej. Ku zapewne jego radości cieszył się wśród nich nie lada powodzeniem. Powiadali, że był zbyt pewny siebie i to go kiedyś zgubi, lecz jak na razie prowadził interes bez najmniejszych problemów. Nic nie wróżyło, że kiedyś coś miałoby go zgubić. Rex wraz z Oruunem poszli usiąść przy jednym z wolnych stolików, gdy tymczasem Quell Perr udał się na małą pogawędkę z barmanem.

- Co macie dobrego? – zaczął.
- U mnie wszystko jest dobre, osobiście polecam whisky sprowadzoną prosto z Iralun II. Jest jedną z najlepszych jakie można w takiej okolicy zakupić i przyznam, że nawet nie drogo – odparł uważnie przyglądając się swojemu rozmówcy.
- Przekonałeś mnie. Trzy razy wezmę.
- Oczywiście już podaje.
- Szukam informacji – rozpoczął chytrze – możesz mi powiedzieć do kogo mam się zwrócić?

– Hmm... W tych stronach najlepsze informacje mam ja, ale będzie to kosztować. W ogóle kim jesteś? nie znam Cię. Jesteś z tych stron?

– No rozszyfrowałeś mnie, akurat nie jestem. Ja i moi towarzysze przybyliśmy tutaj prosto z Sluisu. Poszukujemy kogoś. – zakończył zniżając głos.

– Za chwilę podejść do waszego stolika i porozmawiamy. Lepiej przygotuj dużo kredytów jeśli chcesz się czegoś dowiedzieć – barman odwrócił się i poszedł nalać alkohol.

Mistrz Quell Perr odszedł do stolika do swoich kompanów, odnajmując im, że chyba w końcu znaleźli kogoś kto będzie mógł im pomóc. Po krótkiej chwili barman z zamówionymi napojami zbliżył się do stołu. Dosiadł się do nich i zaczął rozmowę.

– Jestem bardzo zapracowanym człowiekiem i czas mój kosztuje krocie, więc przejdźmy od razu do rzeczy.

– Dobra, więc poszukujemy tego człowieka – wyjaśnił wyjmując holoprojekcje ukazującą poszukiwanego.

– Hmm. Kim on jest? Czy jest naznaczony śmiercią? – zaciekał się.

– Co oznacza naznaczony śmiercią? – wtrącił się młody Rex.

– Rex cicho bądź – zganił go Oruun.

– Nie jesteście stąd, od razu to widać. Tak się nazywa ludzi za których głowę jest wyznaczona wysoka nagroda i to przeważnie za martwych. Temu są naznaczeni śmiercią.

– Z tego co wiem to raczej nie jest, lecz to ty mi powiedz – kontynuował Quell Perr.

– Wiem kto to jest i wiem też czemu go szukacie – uśmiechnął się barman. – Wiem także co się z nim stało mniej więcej i na pewno ta informacja wam się przyda, lecz będzie to was drogo kosztować.

– Ile?

– Suma z co najmniej pięcioma zerami.

– Zgoda – odparł bez namysłu Mistrz Jedi – Mów!

– Osoba, którą szukacie była niedawno na tej planecie, jest to ktoś ważny. Jak się nazywa mnie nie interesowało, jednak dowiedziałem się kilku jeszcze ciekawych rzeczy. Otóż zapłacono mojemu znajomemu doktorowi za wymazanie pamięci pewnemu człowiekowi, właśnie temu którego szukacie. Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że chwile potem dostał od innej osoby drugą ofertę, że nie ma całkowicie wymazywać pamięci, lecz tylko ją zamglić. Po co? zastanawiałem się nad tym długo i mnie olśniło kiedy mój drogi przyjaciel wytłumaczył mi więcej na czym to polega. Chodzi o to, że można całkowicie wymazać pamięć i nic nie da się z tym potem zrobić. Jednak jak się ją zamgli, pamięć z czasem może wrócić. Jednak po co ktoś składał mu w tym czasie dwie różne oferty w stosunku do jednego towaru? – uśmiechnął się. – Potem widziałem tego człowieka błąkał się po okolicy nie wiedząc nic. Miał, ze sobą tylko kilka kredytów i mały blaster. Potem zniknął na pewien okres pojawiając się znów kilka dni później. Co się z nim działo przez ten czas to chyba pozostanie jego słodką tajemnicą. Potem nieopodal uratował jakąś kobietę, której niestety nie znam, lecz ten błąd naprawie, ponieważ należała do jednej z bardziej pięknych jakich widziałem. Chyba z nią odleciał szczęściarz, ponieważ zniknął i od tego czasu go nie było widać.

– Gdzie mogli odlecieć? – zaciekał się Jedi.

– Gdzie? hmm tego niestety nie wiem. Pomóc wam może postać kobiety, ponieważ poszperałem trochę w holonecie i znalazłem, że za jej piękną głowę została wyznaczona spora nagroda. Jeden z młodszych i zdolniejszych łowców głów należących do Gildii nie jaki Lotap Kerr podobno ją

złapał, a co dalej się działo to już poza moją wiedzą.

– Gdzie możemy go znaleźć?

– Lotapa? – uśmiechnął się – Z tego co wiem znajduję się teraz na Nar Shaada. Lubi przesiadywać u mojego konkurenta Drozeda, nędznego i obślizgłego Elosty – Idźcie tam, a na pewno go znajdziecie. Ostrzegam, że tam nie będą tak skorzy, do współpracy jak ja. Proszę o zapłatę.

– Dzięki. My już pójdziemy.

Wręczył Rogi'Nelowi sumę kredytów na widok której tamten się bardzo ucieszył. Dopili szybko swoje whisky i wyruszyli na rozmowę z łowcą głów. Tymczasem Rogi'Nel jak oni już wyszli zawołał swojego zaufanego człowieka imieniem Lopets.

– Idź i powiadom ją, że pytali o niego! Tylko szybko...

– Ale jej nie ma na planecie...

– Weź najszybszy statek i leć i powiadom mnie jak tylko dolecisz. Musisz jej to osobiście przekazać rozumiesz?

– Tak Lopets poszedł przygotować się do podróży a jego szef tymczasem spokojnie sobie popijał whisky idąc do baru, żeby wrócić do pracy.

Trójka Jedi spory kawałek czasu szukała miejsca, gdzie stacjonuje Drozed. Był to jeden z najbardziej obskurnych lokali jaki udało im się ujrzeć. W samym wejściu zaatakował ich straszliwy odór zmieszanych potów wielu różnych istot z galaktyki, pomieszane jeszcze z wymiotami kogoś kto już za dużo wypił. „Czemu łowca nagród tu przesiadywał?” – zastanawiali się. Dostrzegli chodzącego opasłego i odrażającego Elosty. Rasa ta należała do chyba jednej z najbrzydszych. Byli duzi, opaśli i cały czas się pocili. Na ciele włosów prawie nie mieli a na ich twarzy można było dostrzec różnorakie wyrostki co dla ludzi i większości ras było odrażające. Jednak te wyrostki u samców tej rasy oznaczały, że był on bardzo atrakcyjnym rodzicielem dzieci. Ciekawe było to, że tutaj rządziły przeważnie samice, ale potomstwo rodziły samce. Nikt dokładnie ich fizjologii nie zgłębił i nikt chyba nie chciał wiedzieć na czym to polega. Dostrzegli ku ich zdziwieniu wielu klientów w tym barze, który miał większą popularność niż to się mogło wydawać na pierwszy rzut oka. Zastanawiali się który to był Lotap Kerr, więc podeszli do Elosty, który się kręcił po lokalu – Tyś jest drozed? – zaczął Oruun.

– Może, a zależy kto pyta – odburknął.

– Ja pytam – powiódł Quell Perr wyciągając blaster – Mam dziś bardzo zły humor, więc może usiądziemy hmm?

– Dobrze, dobrze tylko spokojnie. Proszę za mną – idąc Drozed dał znak barmanowi, żeby wezwał ochronę.

Zaprowadził ich do stolika za barem, gdzie usiedli.

– Czego chcecie? pieniędzy? błyszczostymu?

– Nic z tych rzeczy. Chcemy dostać Lotapa Kerra.

– Nie znam go – skłamał – po co on wam?

– Nie kłam kowakańska małpojaszczurko – rzucił niemile Oruun.

– Nikt nigdy mnie tak nie obraził!!! – krzyknął.

Kowakańskie małpo jaszczurki były to bardzo rzadkie zwierzęta z planety Kowak, które były ucieleśnieniem głupoty. Określenie kogokolwiek w ten sposób było uważane za najbardziej obraźliwe w całej galaktyce.

Gdy Drozed krzyknął do sali wbiegli jego ochroniarze, których było z dziesięciu. Z blasterami

w dłoniach mierzyli do trójki Jedi. Drozed tymczasem chwycił za blaster trzymany przez Quell Perra, który wystrzelił przypadkiem pozbawiając go życia. Rozwścieczeni strażnicy rzucili się do ataku. Jedi przewrócili stół zasłaniając się nim przed strzałami. Był to stół z pewnego stopu metali, które bez problemu odbijały strzały z miotacza. Rozległa się strzelanina. Młody Ex dostrzegł mężczyznę, który wychodzi tylnymi drzwiami. „To pewnie ten łowca” – pomyślał. Dał znak mistrzowi, że idzie w pogoń, gdy tymczasem oni zajęli się napastnikami. Kilku położyli trupem kilkoma celnymi trafieniami. Pozostało ich sześciu, którzy nieustannie okładali ogniem stół za którym kryli się.

– Kończy mi się zapas energii w miotaczu – rzucił do Oruuna.

– Mi też...

– Miecze świetlne – wyszeptał.

Wyjęli miecze świetlne i włączając je wstali. Zdezorientowani ochroniarze przez kilka sekund patrzyli jak w obraz na to co trzymali ich przeciwnicy w dłoniach. W tym czasie nie wystrzelili nawet jednego strzału. Na to liczyli Jedi i przystąpili do ataku. Tamci zaczęli strzelać, lecz ich strzały powracały do nich odbijane przez miecze świetlne. Dwóch kolejnych padło nie żywych na ziemi. Rycerze władający Mocą wyczuli emanujący z coraz większą siłą od nich strach. Podeszli na tyle blisko, żeby zadać szybkie cięcia mieczem, lecz nie śmiertelne. Nie chcieli ich zabijać, bo przecież oni wykonywali tylko swoją pracę. Dwa szybkie cięcia odcięły dłonie trzymające broń, które brocząc krwią upadły na ziemię.

Pozostali ochroniarze puciekali, a Jedi udali się w pogoń za Lotapem Kerrem i Rex, który już powinien go doganiać.

Rex tymczasem gonił Lotapa, który ku jego zdziwieniu daleko nie uciekał. Zatrzymał się i odwrócił wyzywająco patrząc na Rexa.

– Co chcesz dziecko?

– Nie jestem dzieckiem! Jestem Jedi! Poddaj się! – rzucił do niego biorąc w dłoń swój miecz świetlny.

– Jedi? no i co? mam się przestraszyć? – zaśmiał się szyderczo.

– Rzuć broń – ponowił Rex.

– Nie!

Gdy Lotap wypowiedział te słowa wystrzelił z blastera w kierunku całkiem zaskoczonego młodego padawana. Nie był on na tyle wyszkolony, żeby zatrzymać strzał toteż go trafił w pierś. Upadł na ziemię tracąc przytomność. Na jego szczęście mistrzowie Quell Perr i Oruun dobiegli na czas, żeby powstrzymać łowcę od wykończenia młodego jedi.

– Chcemy tylko informacji Łowco. Nic więcej – zaczął dyplomatycznie Quell Perr widząc, że Oruun klęczy przy swoim uczniu z trudem powstrzymując się od chwycenia za rękojeść miecza świetlnego i rzucenia się na wroga.

– A niby po co miałbym jej wam udzielać hę? – warknął.

– A po co mamy walczyć skoro i tak przegrasz?! – krzyknął Oruun wstając i zapalając miecz świetlny.

– A czemu miałbym przegrać? – zaśmiał się.

Oruun rzucił się na niego odbijając precyzyjnie strzały jakie leciały z jego strony. Łowca był pod dużym wrażeniem, ale widać było, że nigdy dotąd nie toczył boju z Rycerzem Jedi w pełni wyszkolonym. Mógł sobie bez problemu poradzić z padawanem, lecz z mistrzem to już nie to samo. Nie docenił swojego przeciwnika i to okazał się jego błąd. Gdy Oruun podbiegł do Kerr'a ten uchylił

się przed cięciem kopiać mocno Jedi w brzuch. Mistrz rzucił ostre przekleństwo i odskoczył do tyłu przewracając się na ziemię. W tym czasie Quell Perr używając mocy popchnął Lotapa, który także upadł. Mistrz Jedi podszedł do niego przykładając mu ostrza do gardła.

– To może teraz z nami porozmawiasz hmm?

– Wyboru nie mam co nie? – burknął.

– Dużo czasu ci nie zajmiemy. Do ciebie nic nie mamy. Chcemy wiedzieć tylko co zrobiłeś z swoim ostatnim towarem.

– Po co wam informacja co zrobiłem z Nacirem Quen?

– Kim?? – zdziwił się Oruun.

– Nacirem Quen oszustem i szulerem za którego była wyznaczona nagroda, no i musze was zasmucić, ponieważ za martwego.

– Nie chodzi nam o niego. Chodzi nam o kobietę.

– Akinoma Ikiv. To pewnie o nią wam chodzi.

– Tak – domyślił się ze to o nią chodzi Quell Perr – Gdzie ja zawiozłeś?

– Na Detos, planetę niewolników – odparł.

– Detos mówisz... – zamyślił się – Tylko, że Detos już nie istnieje i z tego co wiem wszyscy tam obecni puciekali bądź też zginęli.

– Jak to?

– Nie wiem. Jednak wiem tylko tyle, tylko dwa statki stamtąd uciekły i udały się na Coruscant.

– Dzięki za informacje Łowco. Mam nadzieje ze nigdy się nie zobaczymy.

– Ja też mam taką nadzieję – mówił wstając – bo jak następnym razem was spotkam to nie będzie już takie przyjacielskie spotkanie – warknął.

Łowca odszedł, a Jedi zabrali młodego Rexa na statek i go opatrzyli. Udali się z powrotem na Coruscant, gdzie ku ich wielkiemu zdziwieniu ma znajdować się ich zguba. Wystartowali i od razu skierowali się do stolicy Republiki.

Tymczasem Lotap Kerr udał się do swojego statku, na którym ktoś na niego czekał.

Była to starsza kobieta, o nie zbyt przyjemnej urodzie, chyba rasy ludzkiej, lecz do końca nie było to wiadome.

– Powiedziałem im to co chcieliście – zaczął łowca na widok kobiety.

– To znakomicie, zapłatę jaką zażądałeś za tą przysługę przelałam na twoje konto.

– Dzięki a teraz idź już. Jestem zajęty.

– Książę nie zapomni tego co zrobiłeś. Zegnaj łowco.

Kobieta wyszła i zostawiła Lotapa Kerra samego w swoim statku. „Książę się ucieszy” – pomyślała kobieta.

Generał Haln wylatywał z nadprzestrzeni nieopodal Coruscant w małym stateczku.

Resztę grupy statków zostawił nad Bestine pod opieką Admirala Wrahna. Sam chciał jak najpilniej złożyć raport senatowi i Kanclerzowi Palpatinowi. Przeleciał przez przestworza i spokojnie wylądował. Prawie biegnąc udał się do Kanclerza na prywatną audiencje. Doszedł do prywatnej komnaty Kanclerza, w której dostrzegł palpatine wychodzącego zza swego biurka wprost do niego. Zawsze mu się tu podobało, a szczególnie piękny widok z okna.

– Witaj drogi senatorze Haln. Jakie wieści przynosisz? Proszę siadaj.

– Dziękuję Kanclerzu. Niestety dobrych wieści nie przynoszę – zasmucił się.

– Jak to? CO się stało?

– Byliśmy nad Bestine... Cała planeta wraz z stacjonującymi nad nią statkami zostały zniszczone. Wszyscy zabici.

– Kto to zrobił? Piraci? Separatyści? Kto?

– Żadne z powyższych Kanclerzu. Natknęliśmy się chyba na tych co to zrobili. Nie znałem takiego typu statków... Jednak wdaliśmy się z nimi w walkę, która z stratami niewielkimi wygraliśmy.

– To dobrze, że odkryłeś kim są. Niestety niepokoi mnie to bardzo, że nie wiemy dokładnie skąd się wzięli ani jakie są ich zamiary.

– Tak Kanclerzu. Na szczęście znaleźliśmy jednego ocalałego.

– Kogo? – zaintrygował się Palpatine.

– Chłopca z Bestine. Jest jak na razie w lekkim szoku i bredził coś niezrozumiałego.

– Opowiesz o tym później, Mam zaraz ważne spotkanie na które nie mogę niestety się spóźnić toteż muszę pożegnać się z tobą. Zrób tak, leć z powrotem, jeśli trzeba ściągnij z kuat więcej statków, Dowiedz się jakie mają zamiary lecz powtarzam nie angażuj się w walkę nie sprowokowany. Może wtedy dojść do konfliktu którego Republika by nie chciała. Proszę uważaj! Ja niedługo pojawię się w stoczniach Sluis Van i jak będziesz potrzebował to stamtąd okręty też wezwij. Tylko załatw to cicho nie chcemy wzbudzać paniki teraz kiedy mamy wewnętrzne problemy z separatystami. Do tego jeszcze ten Hrabia Dooku... Ech... Muszę porozmawiać z Mistrzem Windu o nim, może oni jakoś na niego wpłyną. Czekam na wiadomości od Ciebie Senatorze.

– Dziękuję Kanclerzu. Nie omieszkam Ciebie powiadomić.

Pożegnał się z kanclerzem i wyszedł. „Ciekawe z kim kanclerz ma się spotkać, że to jest ważniejsze od takiej sprawy” – pomyślał. Udał się jeszcze do swojego domu i czym prędzej chciał wracać na Bestine.

Mężczyzna w czerwono-białej zbroi siedział w swoim statku jeszcze znajdującym się na Korriban. Głowa bolała go wręcz potwornie, że nie mógł skupić myśli. Głosy krzyczały w jego głowie różnymi językami i dialektami. Były one przepełnione niewiarygodnym bólem i cierpieniem który rozdzierało umysł mężczyzny na strzępy. Krzyczały: „Nie... Zabij, Nie leć, Leć, walcz, Zgiń, nie leć” i tak w kółko. Słowa nie miały większego sensu i znaczenia, ani też nie układały się w jakieś sensowniejsze zdania.

– Przestańcie! – krzyknął zdesperowany mężczyzna.

– Czemu mają przestać? – przemówił do niego jeden głos.

– Bo dłużej tego nie wytrzymam – Czy tego nie chciałeś? Przecież od dawna pragnąłeś zgłębić Ciemną Stronę Mocy.

Nawet kiedy byłeś jeszcze w Zakonie.

– Skąd to wiesz? – spojrzał do tytułu, lecz nikogo nie było. Był to jeden z głosów w jego umyśle.

– Ja wiem. Ja wiedziałem, o tym zawsze. Ty wiedziałeś od innych drogach. Nie tak jak inni Jedi z kłapkami na oczach, widząc jedną drogę. Wiedziałeś, że nie ma sensu całe życie robić sobie pod górę, bo po co się przemęczać czyż nie?

– Prawdę mówisz... Jednak teraz kiedy głosy przytłaczają mi głowę – złapał się za nią z grymasem bólu na twarzy. – To nie wydają mi się, że był to tak dobry pomysł.

– Masz Moc... Masz władzę... masz potęgę... Powiedz tylko cisza a wszystko ucichnie.

Tak też zrobił i głosy ucichły. Nawet ten, który mu mówił ciekawe rzeczy i radził dobrze.

Wiedział teraz jedno, musiał lecieć na Salatan, lecz zastanawiał się tylko po co akurat na tą tajemniczą planetę. Głos, który mu w umyśle mówił rozpoznał od razu. Był to chuderlawy człowiek,

którego spotkał w grobowcu Sihra na Korriban... Tajemniczy człowiek w czarnym płaszczu, którego imienia nie znał. Czemu słyszał jego głos w umyśle tego nie wiedział, lecz mówił mu rzeczy które pragnął usłyszeć. Stwierdził z radością w sercu, że mu się to nawet podoba...

ROZDZIAŁ 8

Polityka rządziła od zawsze galaktyką. Mówiono, że to mordercy byli najgorszymi przestępcami, lecz ci co tak mówili zapomnieli o najgorszych przestępcach z wszystkich czyli o politykach. W skład Galaktycznego Senatu Republiki wchodziło dużo senatorów z wielu różnych światów. Każdy z nich miał cechy wspólne, które łączyły ich w jedną bandę zbrojów.

Podstawowymi cechami charakteru polityka była chciwość, żądza władzy i egoizm. Każdy z nich był przedstawicielem swojej planety, lecz tak naprawdę liczyło się dla nich tylko ich dobro, a nie ich współbraci. Korupcja – podstawa rządów w Senacie Republiki. Głośno nie mówiło się o tym, lecz wielu wiedziało, że taka rzecz miała miejsce i nikt praktycznie nie wiedział co z tym uczynić. Wysłuchany mógł być ten, kto miał duży zapas kredytów. Reszta za odpowiednią cenę zawsze przystosowała się do tego kto płacił. Jednak czy tak powinno być? Czy galaktyka miała być rządzona przez grupę skorumpowanych istot pragnących powiększać swój majątek? Tymczasem istoty myślące na wielu planetach głodowały...

cierpiały... umierały... Niestety tych którzy mieszkali w ciepłych domach i mieli co jeść kompletnie to nie interesowało. W senacie nie zajmowali się już istotnymi sprawami ważnymi dla całej Republiki, lecz błahostkami. Istotne sprawy jak już miały miejsce musiały zagrażać bezpośrednio w taki czy inny sposób senatorom. Kiedy znajdował się jakiś idealista pragnący zrobić coś dla innych to jego zapał znikał bardzo szybko, a czasem i nawet szybciej niż on sam. Najlepiej ukazać, że politycy to zbrodniarzy jak zwykle może historia galaktyki.

Była ona bujna i często krwawa, lecz niezwykle ciekawa. Wiele lat temu na planecie Aregin jakaś szalona istota zrobiła przewrót i objęła władze tworząc nowy reżim. Prawa wojna od kiedy tylko je ustawiono mówiły, żeby nie zabijać cywilów. Oni poszli dalej niż to prawo.

Pustoszyli wioski i całe miasta... Zabijali dzieci, kobiety i to nawet te które były w ciąży. Byli oni jak zwierzęta przeznaczone na rzeź, bezbronni i niewinni. Ktoś mógłby rzec, że nikt nie jest niewinny dopóki mu się nie udowodni winy. Jednak nawet takie stwierdzenie miało swoje granicę. Republika wmieszała się jak to zwykle bywało w sprawy wewnętrzne tej planety wspierając nowych władców, a starych uznali przestępcami. Utworzyli na planecie wolne strefy, gdzie wojska Republiki z różnych planet przebywały i miały pilnować pokoju. Jednak nie miały kompletnie prawa interweniować pod żadnym pozorem ponieważ tak chcieli politycy. Tak też żołnierze byli świadkami barbarzyńskich mordów na bezbronych istotach i nie mogli nic zrobić nie łamiąc rozkazów. W jednym dniu mogli bawić się z dziećmi a w drugim będą oglądać ich zmasakrowane ciała. Czy to było dobre? Czy tak powinno być? Zło ma tryumfować zawsze nad dobrem? Politycy mieli z tego profity, więc wydali takie a nie inne rozkazy zmuszając żołnierzy do postępowania wbrew swojemu sumieniu. Jak już ktoś nie mógł wytrzymać i interweniował zabijając w obronie niewinnych był potem karany nawet śmiercią. Pytanie brzmi czemu? odpowiedź była prosta: Polityka. Prawda była

taka, że zło zwyciężało. Będzie ono zawsze odnosi sukces gdy dobro będzie stało i patrzyło bez czynnie na rozwój sytuacji. Ostatnio jak wybrano nowego kanclerza senatu Palpatine'a uważano, że zaprowadzi porządek i zlikwiduje korupcję w Senacie. Co prawda ta sprawa ucichła, lecz czy zniknęła? Senat ostatnio miał ważniejsze sprawy niż to, a mianowicie ruchy separatystyczne rosły w coraz większą siłę i trzeba było temu zaradzić. Senat Republiki już nie był tym czym w zamierzeniach miał być. Miał łączyć wszystkie istoty wprowadzając rządy pokoju i ładu a w rzeczywistości był starą instytucją przeżartą i spróchniałą chylącą się ku upadkowi. Kilku młodych i ambitnych senatorów jak Bail Organa, Mon Mothma czy też Padme Amidala pragnęli jeszcze walczyć o dobro i pokój, lecz czy im się to uda tego nikt nie wiedział. Ktoś kiedyś rzekł, że tylko rządy siły i strachu były skuteczne. Wiele było głosów przeciwnych temu stwierdzeniu, lecz może były w nim więcej prawdy niż mogłoby się wydawać. Może ktoś silny w swoim ręku utrzymałby całą władzę i zlikwidował wszelkie zło?

Regentka Magata podążała korytarzem senatu na spotkanie z Kanclerzem Palpatinem i kilkorem innych senatorów. Szła w towarzystwie licznej ochrony, ponieważ po ostatnim zamachu na jej życie wolała być ostrożna. Kiedy już doszła do biura Kanclerza wewnątrz dostrzegła pięciu senatorów i dwóch rycerzy Jedi. W jednym z nich poznała Mistrza Mace'a Windu. Wśród senatorów był Bail Organa z Aldeeran, Rellim z Aklom, Kyle Loson z Corelii, Padme Amidala z Naboo oraz Haln z Ganoo. Drugi rycerzem Jedi natomiast była Adi Gallia.

– Witaj Regentko! Jakże się cieszymy, że nic ci się nie stało – zaczął Kanclerz.

– Proszę oszczędź mi tych słodkich słówek – odburknęła bardzo nie miło.

– Chcemy coś ważnego omówić – podjął temat Haln.

– Ja chce coś ważnego oznajmić. Otóż próbowano mnie zabić! Wiem, że morderca został na pewno nasłany przez jednego z Senatorów próbujących mnie niedawno zastraszyć. Jeśli nie znajdziecie winnego bądź też winnych... – wzięła głęboki oddech – Trójprzymierze Valasos i wszystkie nam sprzyjające planety odłączymy się od Republiki!

– Nie zrobisz tego... – wyjąknął Bail.

– Nie możesz tego zrobić to jest nie zgodne z prawem Republiki – podjęła Padme.

– Jak nie mogę? Jeden z senatorów Republiki próbował mnie zapewne zabić i jeśli nie znajdziecie go to wszystko zakończy się krwawą wojną... Chcecie tego? – groziła.

– Spokojnie Regentko – wtrącił się Mace Windu – Na pewno znajdziemy winowajcę.

– Tak pewnie... – mruknęła – tak samo jak mojego męża.

– Proszę usiądź i spokojnie porozmawiamy – rzekł Palpatine.

– Nie chce spokojnie rozmawiać. Jestem rozdrażniona. Powiedziałam co chciałam i teraz wracam na ojczystą planetę. Czekam siedem dni na jakieś wieści. Zegnam.

– Ale... – chciał coś powiedzieć Kyle Loson – ona tak nie może przecież...

– Nieceesteety moożeeeee... – wyszeptał łamanym wspólnym Rellim.

Regentka wyszła nie zaszczycając ich nawet spojrzeniem. „Wszystko poszło jak zaplanowałam” – pomyślała ciesząc się.

Risk dolatywał powoli do Coruscant. Na pokładzie miał nieprzytomnego Jedi, którego znaleźli wraz z jego kompanami na Revost. „Ciekawe czy mi za to zapłacą” – zastanawiał się.

Był on człowiekiem posiadającym tyleż samo wad co zalet, co tworzyło dla wielu zagadkę.

Jednak w organizacji jakiej pracował miał jak na razie dobrą reputację niczym jak dotąd nie skalaną. Oprócz oddania Jedi miał jeszcze znaleźć Akinome Ikiv, lecz nie wiedział nawet gdzie

zacząć. Słyszał historie, że była z niej bardzo piękna kobieta toteż miał zamiar zaliczyć ją do swoich licznych podbojów miłosnych. Miał on bowiem opinie wielkiego kobieciarza i nie chciał dać swoim kompanom powodów do rozmyślań typu, że starzeje się. Sądził, że w tej chwili robili oni zakłady na wysokie sumy o to, czy mu się uda. „Nie zawiodę ich” – pomyślał. Przez komunikator powiadomił kontrole lotów, że miał na pokładzie nie przytomnego Jedi, lecz niezbyt chcieli mu uwierzyć w tą nieprawdopodobną historię. Jakoś w końcu ich przekonał, że nie żartuje i poprosił, aby kogoś do portu wysłali po jego pasażera.

Wylądował i dostrzegł kilka osób czekających na niego. „Mam nadzieję że mnie nie zabija” – pomyślał. Wyszedł przed statek i podniósł wysoko ręce ponieważ zaczęli do niego mierzyć z miotaczy. Jeden wyglądający na Jedi podszedł do niego.

– Mówisz że masz Jedi na pokładzie tak?

– No znalazłem go podczas mojego pobytu na Revost. Jest chyba pewnego rodzaju śpiączce. – odparł.

– Śpiączce powiadasz? Pokaż gdzie on jest.

– Proszę za mną.

Zaprowadził Rycerza Jedi do środka do nieprzytomnego Kretha Malwilla. Człowiek który był z nim zdziwił się bardzo na widok nieprzytomnego towarzysza.

– Jednak nie kłamałeś. Co się stało? – spytał.

– Przepraszam, ale nie lubię gadać z kimś jak nie znam jego imienia – mruknął.

– Obi-Wan Kenobi – odrzekł.

– Miło mi poznać Mistrzu Kenobi – próbował z szacunkiem – Co się stało? Otóż dokładnie nie wiem, ponieważ nie znam się na tego typu sprawach. Jestem tylko prostym człowiekiem próbującym znaleźć sobie miejsce w galaktyce.

– Powiedz co zauważyłeś a na pewno będzie to pomocne. – poprosił Jedi.

– Otóż szedłem z kompanią poprzez pustynie Revost oglądając ładne krajobrazy.

Zauważyliśmy walczącego Jedi z innym na miecze świetlne co nas bardzo zaciekało. Jednak były tam jeszcze dwie zabójczynie, które nas zaatakowały nie sprowokowane, więc wdaliśmy się z nimi w bójkę co zakończyło się śmiercią jednego z kompanów – zasmucił się na myśl o śmierci Lelobacca. Od razu sobie też przypomniał, że ma mało czasu, a musiał jeszcze znaleźć Akinome. – Kiedy już załatwiliśmy sprawę dwóch niewiast dostrzegliśmy, że ten oto jedi chyba wygrał, ponieważ pozbawił drugiego broni i trzymał ostrze pod jego gardłem. Nagle zaczął mówić tamten coś czego nie rozumiałem, a ten opuszczał broń. By prawie zginął, lecz odstraszyliśmy tamtego.

– Dziwne... – zamyślił się Obi Wan. – Dziękuję Ci, że go przywiozłeś. Zyskałeś sobie wdzięczność, dość wielką przyznam ci szczerze. Jak można ci się odwdziaczyć? – spytał Kenobi – Przyznam, że jest coś co można by zrobić. Otóż szukam pewnej kobiety, która jest teraz na Coruscant jednak nie wiem jak ja znaleźć – zasmucił się.

– Na pewno temu zaradzimy. Choć ze mną – uśmiechnął się Obi wan.

Pozostali kompani Obi Wana Kenobiego zabrali nieprzytomnego Kretha Malwila do szpitala, gdzie miał zostać poddany badaniom. Rycerz Jedi pomógł szybko znaleźć kobietę i już niecałą godzinę później Risk był w drodze do miejsca jej pobytu.

Akinoma znajdowała się teraz na swoim statku z którym musiała się teraz pożegnać.

„Gdzie jesteś kid?” – zastanawiała się. Niedługo powinni przybyć pracownicy Niuba Shinxa.

Ciekawiło ją to, co znalazł Niub na temat jej rodziny. „Kim są? Kim ja jestem?” – myślała.

Nagle ktoś wymówił jej imię prosząc o wyjście przed statek. Wychodząc myślała, iż to ktoś od Niuba, lecz zupełnie kto inny. Był to człowiek wysoki, postawny o ciemnych włosach.

Patrzył na nią z nieukrywaną radością.

– Pewnie jesteś Akinoma Ikiv? – spytał.

– Może, a ktoś ty? – odburknęła – Zwiąż mnie Risk, przysyłał mnie Talon Karrde – mówił patrząc wprost na nią i zastanawiając się w myślach nad taktyką jak ma zdobyć jej serce.

– Talon? Czemu cię nigdy przy nim nie widziałam hm? – spytała podejrzliwie chwytając za blaster.

– Spokojnie, Jestem nowy... Pracuje od niedawna, a Ciebie już nie było spory czas jak zacząłem. Mam ciebie zabrać na Kashyyk... Lelobacc umarł i odbędzie się tam juto pogrzeb.

– Nie wierze ci...

– Talon mówił dokładnie to samo, że tak powiesz. Masz – wręczył jej mały podręczny holoprojektor.

Akinoma wzięła go w ręce i uruchomiła. Pokazała się mała postać przemytnika Talona Karrde, jej długoletniego przyjaciela.

– „Witaj droga Akinomo. Tak jak sądziłem nie uwierzysz Riskowi, że go przysłałem.

Bym się bardzo zaniepokoił jakbyś od razu uwierzyła. Lelobacc zginął niestety, znałaś go, lubiałaś temu też powiadamiam Ciebie. Risk jest dobry choć nie zbyt rozgarniętym pracownikiem, lecz kazałem mu przywieść cię. Uważaj na niego bo to wielki kobieciarz.”

– Kobieciarz?? On żartował – zaśmiał się Risk cały zarumieniony.

– Możemy lecieć za dwie godziny, jak skończę to co mam tutaj do zrobienia. Gdzie mam ciebie znaleźć? – spytała beznamiętnym głosem.

– Będę w porcie, lądowisko dziesiąte. W statku sobie poczekam chyba że mogę ci towarzyszyć? – spróbował.

– Nie, nie możesz. Do zobaczenia – odwróciła się i weszła do statku.

– Niech to... – zaklął cicho pod nosem Risk.

Akinoma usiadł w swoim statku i schowała twarz w dłoniach. „Lelobacc...” – wyszeptała i zaczęła płakać nad śmiercią przyjaciela.

Kid leżał i spał, albo tak mu się wydawało. Miał zamknięte bądź otwarte oczy, lecz nic nie widział. Sam nie wiedział co się z nim dzieje. Słyszał rozmowę kobiety i mężczyzny.

– Reppir jesteś pewien że to Admiral? – zapytała dziewczyna.

– Tak jestem pewien... Musimy go zabić, zanim ktoś się dowie że on tu jest.

– Ja nie wiem, myślę, że o nie on, lecz sprawdzimy to. Magata współpracuje z księciem, lecz zabroniła go zabijać, na wypadek jakbysmy go znaleźli – Jeśli Ocir się dowie będzie kiepsko..

– Musiałaś tak go obić?

– Rzucił się, ja tylko się broniłem – odparł urażony mężczyzna.

– Patrz, Chyba się budzi Podeszli do niego i podnieśli oglądając uważnie. Wyglądał nie zbyt dobrze i na pewno czuł się jeszcze gorzej.

– Czego chcesz... – wyjąknął.

– Zabieramy Cię do domu – rzekł Ripper.

– Magata jest kontrolowana przez Księcia – powiedziała Kobieta.

– Musisz ją ratować – dodał chłopak.

– Ja? Kim ona jest? Ja nie pamiętam... – złapał się za głowę.

– Twoją żoną... Przypomnisz sobie. Odpoczywaj – powiedziała kobieta.

– Choćmy – wyszetpal Ripper.

Wyszli i zostawili już nieprzytomnego Kida samego. Mężczyzna zasnął i ponownie był targany przedziwnymi snami. Widział kobietę, która jak się dowiedział była jego żoną.

Patrzyła na niego ze smutkiem, który go zaniepokoił. Nagle znikła, a w jej miejsce pojawił się szkielet mówiący: „Zrobisz co będziesz musiał... Pamięć z czasem wróci... Nie ufaj tym którym ufałeś. Niedługo się wyjaśni niewyjaśnione.” Szkielet rozpadł się na pojedynczą kość. Nagle poczuł jak jego skóra się rozplywa, aż zaczął ją zdrapywać. Krzyk przeraźliwy wydobył mu się z ust. Pobiegł do jakiegoś lustra. Zobaczył, że zdziera z siebie skórę, a pod nią mięso, które też odpadło. Po chwili widział kościotrupa w lustrze, który szyderczo zaczął się śmiać. Ocknął się nagle i doszedł do wniosku, że pozostał sam.

Wyszło, że znajdowali się jeszcze na Coruscant. Weszli do pokoju i Aina przemówiła.

– Wiesz o tym tak dobrze jak ja, że to nie on? Więc po co go okłamujemy?

– Wiem... Jest podobny, i może się przydać. Czyż nie?

– Obyś miał racje. Musimy znaleźć tego skrytobójcę który chciał zabić regentkę. Ona nie może wyjść z błędu, że Książę chce ja zabić...

– Nie martw się nie dowie się...

– Trzeba złapać morderczynię...

– Zajmę się tym – odparł Ripper.

– Dobrze Ripper wyszedł z komnaty i udał się na polowanie. Aina wróciła do Regentki, która jej oczekiwała. Kiedy ja ujrzała obdarzyła ja uśmiechem.

– Moja droga Aino jak dobrze ze jesteś. Jak idą poszukiwania?

– Dobrze moja Pani.

– Książę zapłaci za to.. – mruknęła.

– Tak zapłaci – wtórowała jej Aina.

– Jednak nie możemy go nie doceniać... Jest on chytry i przebiegły. Godny przeciwnik w grze.

– Mój pani a co jeśli on się domyśli? a co jeśli więcej skrytobójców nasłał?

– O to się nie martwię moja droga... Będzie dobrze. Zobaczysz.

– Wiem pani.

Siedziały rozmyślały i knuły. Kiedyś mędrzec powiedział: „Tam gdzie uosobienie zła nie może to kobietę pośle.” Może była w tym trochę więcej prawdy niż można by sądzić.

Przecież kobiety ogólnie rzecz biorąc rządziły. Samce wszelkiego gatunku były pod ich wpływem, robiły z nimi co chciały. Większość z nich miękła i zmieniała się w ich rękach jak rzeźba formowana przez artystę.

Arnit spał i widział znów rzeczy dziwne i nie zrozumiałe. Wiedział, że teraz to była kolejna wizja Mocy. Nie był tylko świadom o co w niej dokładnie chodziło. Wprawdzie podobna do poprzedniej teraz różniła się nie znacznie. Był na polanie, której kolory zmieniały się z sekundy na sekundę z zielonego na czerwony. Spojrzał w niebo nad którym pojawiły się ciemne chmury napływające z zachodu. Usłyszał oddech... Znów spokojny miarowy oddech wydawany z respiratora... Wdech... Wydech... Niby to nic wielkiego, ale wzbudziło w nim wielkie przerażenie. Następnie zniknął i pojawił się inny odgłos z lewej... Było to kapanie wody... kap... kap... kap... podszedł tam chcąc się przekonać coż to za hałas, coż on oznacza.

Jednak gdy doszedł kapanie ustało.

Rozległ się głos: „Narodzić się, żeby umrzeć po to aby oni się narodzili... Śmierć nie jest końcem lecz początkiem... Stać się musi jak napisano w księgach dziejów...”

Krajobraz rozmył się i zmienił na zupełnie inny. Zobaczył dżungle wielką i bujną. Ku wzroście jego gniewu ujrzał martwą Anelim leżącą koło jakiejś jaskini i siebie klęczącego nad nią. Widział w jej oczach strach, dostrzegł też ostatnie tchnienie... Padł na kolana i zaczął płakać krzycząc: „Po co mi to pokazujesz? Przestań! Wiem ślepcze, że to ty!”

Niespodziewanie głos już dobrze znajomy doszedł do zza pleców.

– Wizja to jedna z dróg jaką może przybrać przyszłość – rzekł ślepiec.

– Czy ona umrze...? – wyszeptał.

– Może tak a może nie? Kto to wie mój drogi Jedi.

– Jak mogę temu zapobiec...

– Dokonując wyboru. Wybór może ja uratować albo pogрузić.

– Jaki wybór?

– Wybór drogi... Pamiętasz? mówiłem ci o tym nie raz.

– Drogi.. wiesz to ciekawe. Zawsze trzeba w życiu dokonywać wyborów, a jak złych dokonamy potem trzeba za to płacić.

– Widzę że zaczynasz rozumieć...

– Czy rozumieć? nie powiedziałbym... Myślę, że rozumiałem, lecz nie pojmowałem istoty tych słów.

– Niedługo ujrzysz prawdę... Ujrzysz to co powinieneś.

– Salatan? – spróbował chłopak.

– Poznasz wszystko o Władcach Mocy...

– Co to oznacza? Wyjaśnij...

– Ten który śpi musi się obudzić...

Arnit ocknął się w statku leżąc na koi i rozglądając się wokoło. Czuł się parszywie, głowa go bolała i chciało mu się wymiotować. Po chwili zwrócił poprzedni posiłek do leżącej nie opodal miski. Jak spojrział w nią dostrzegł zielono-niebieską maź zabarwioną krwią. Sam ten widok wywołał u niego ten sam odruch i jeszcze chwile wymiotował. Coś go pożera od środka, lecz nie wiedział co to takiego. Anelim krzyknęła, że zaraz wylatują z nadprzestrzeni, toteż chłopak zebrał całe swoje siły wzmocnione przez Moc i wstał. Poszedł do kokpitu, gdzie siedziała kobieta. Jak zwykle jego wzrok skupił się na niej. Nie mógł chociaż raz nie spojrzeć na tą piękną kobietę. Na jej wspaniałe zielone oczy... cudowne czerwone usta... olśniewający czarujący uśmiech... Ona poczuła, jego wzrok na sobie i czule spojrzała na niego. Usiadł koło niej wzmacniając swe siłę poprzez Moc. „Nie może wyczuć, że jest ze mną gorzej” – pomyślał. Anelim przesunęła dźwignie napędu nadprzestrzennego i wyszli na orbicie nieznaney planety.

– Czy to jest Salatan? – spytała.

– Tak... Jestem tego pewien...

– Skąd masz tą pewność?

– Czuje to poprzez Moc. Te miejsce mnie przyciąga, wzywa... musimy tam jak najszybciej wylądować.

– Skoro jesteś pewien to nic nas nie zatrzymuje co nie? – uśmiechnęła się do niego.

Arnitowi zrobiło się ciepło na sercu i zarazem dziwnie. Chciałby jej skraść jeszcze jeden pocałunek, lecz miał rozterkę czy na to zasługiwał... Czy powinien...

Na Coruscant w jednym z obskurnych apartamentów dolnego poziomu kobieta o płomiennie rudych włosach próbowała się skontaktować z swoim pracodawcą. Jednak nagle przerwała próbę połączenia. „Wykonam to zadanie nawet teraz jak wiedzą, że jestem w pobliżu.” – pomyślała. Zdecydowała, że musi wykonać zadanie jak najszybciej, wykorzystując jeden jedyny moment nieuwagi. Pytanie brzmiało jak? Nagle dostała wiadomość od swojego informatora poprzez HoloNet. Uruchomiła i dostrzegła postać kobiety, lecz nie człowieka. Zawsze się zastanawiała do jakiej rasy należała, ale w sumie, aż takie nie było to ważne. „Byle by miała dobre informacje” – pomyślała. Wiadomość była krótka, lecz treściwa, a mówiła: „Za dwie godziny, port kosmiczny”. Wiedziała, że oznacza to, iż za dwie godziny w porcie kosmicznym będzie jej cel, który musi zabić.

Akinoma Ikiv doczekała się wiadomości od Niuba Shinxa. Miała się spotkać z jednym z ludzi Shinxa bardzo niedaleko w porcie kosmicznym. Miał dla niej to na co czekała.

„Czasami tak łatwo spełnić marzenia” – zastanawiała się. Doszła i dostrzegła czekającego na nią Kubaza. Strasznie nie znosiła tej rasy, a już o porozumieniu się z nią w jakikolwiek sposób uważała za niemożliwy. Dochodzili oni do stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu i mieli krótkie, chwytlive trąby zamiast nosów oraz wielkie czułe oczy, które na większości planetach muszą chronić dymnymi goglami. Mieli także szorstką zielono-czarną skórę. Byli kulturalni, cenili tradycję, sztukę i muzykę, a pochodzili z planety Kubindi, słynącej z wspaniałej kuchni. Jednak była dobra tylko dla tych którzy cenią robaki w różnej postaci.

Kobieta nie wdawała się w dłuższe dyskusje. Wzięła wszystkie papiery jakie miała dostać a w zamian oddała resztę swoich kredytów i akty własności jej poprzedniego statku. Teraz stała przed luksusowym jachtem SerrNem. Od kiedy go kiedyś zobaczyła stał się jej marzeniem.

Statek miał pięćdziesiąt metrów długości, silniki podświetlane i nadświetlne umieszczone pod kadłubem na końcu krótkich pseudoskrzydeł po obu burtach. Uzbrojenie składało się z dwóch dział laserowych, jedno chowane u spodu kadłuba, drugie u góry, a także z dwóch generatorów pól siłowych. Łza radości spłynęła jej po policzku. Weszła do środka dokładnie oglądając swój nowy statek. Zastanawiał się jak go nazwać, a chciała wymyślić coś naprawdę dobrego. Usiadła i oglądnęła resztę papierów. W końcu doszła do tych gdzie są informacje o jej rodzinie. Była tam mała holoprojektacja jednej osoby. „Mam siostrę” – wyszeptała. Nagle ją olśniło i już wiedziała jak nazwać swój statek.

– Od teraz będziesz nazywała się „Szczęściara” – wypowiedziała na głos.

Poszła przygotować wszystko do lotu, ponieważ za godzinę miała spotkać się z Riskiem i lecieć na Kashyyk na pogrzeb Lelobacca. Był to moment, który pragnęła aby już się skończył ale nigdy nie nadszedł. „Jednak gdzie jest Kid?” – zastanawiała się.

Senator Haln dotarł już około godziny wcześniej do Bestine, gdzie czekała na niego mała część floty. Niedługo wszystko się rozstrzygnie i o tym dobrze wiedział, lecz pytanie brzmiało gdzie i kiedy? Wiedział także, że znów politycy będą cieszyć spokojem w domach a żołnierze będą walczyć dla nich. „Gdzie tu sprawiedliwość?” – zastanawiał się. Był chyba jednym z niewielu polityków, którzy mieli na ten temat odmienne zdanie. Czuł, że musi być na polu bitwy wraz ze swoim podkomendnymi. Walczyć wraz z nim ramie w ramie z wrogiem.. Przelewać krew... Zabijać... Razem umierać.. To według niego była cecha prawdziwego przywódcy, który powinien się utożsamiać z ludźmi, którzy oddają wprawdzie pod jego komendy własne życie. Jednak prawdą też było, że taki lider powinien uważać, bo zginąć na polu walki mógł równie szybko jak pozostali. Zabrał wszystkie statki na Sluis do stoczni Sluis Van, gdzie dokonane zostały naprawy jego statków.

Wiedział, że będzie musiał się poważnie zastanowić dokąd się udać i gdzie znaleźć tajemniczego wroga.

Mistrz Quell Perr wraz z kompanią dolatywali powoli do Coruscant. Nie wiedzieli czy poszukiwana przez nich kobieta znajduje się jeszcze na planecie, lecz musieli ją znaleźć jak najszybciej. Młody padawan Rex wraz ze swoim mistrzem Oruunem zaraz po wylądowaniu udali się do ambulatorium, gdzie rana młodego Jedi zostanie opatrzona. Siedząc i patrząc jak droidy medyczne opatrują mu ranę Mistrz Oruun spytał.

– Jaką naukę z tej lekcji pobrałeś?

– Taka mistrzu, że powinienem lepiej się nauczyć władać mieczem świetlnym – odparł.

– Nie – zganił go – Nie mieczem świetlny. Kiedy nauczysz się? Byłeś zbyt porywczy, zbyt pewny siebie... Zbyt ufny w swoje możliwości które chociaż są wielkie lecz nie podołasz bez doświadczenia tak doświadczonemu wojownikowi jak łowca nagród...

Zamiast spokoju w twoim umyśle burzyły się emocje... Zamiast rozwagi była głupota... Jednego nie mogę Ci odmówić, a mianowicie wiesz czego?

– Nie mistrzu... – odpowiedział rumieniąc się zrozumiawszy po trochu swój błąd.

– Nie mogę ci mój Padawanie odmówić wielkiej odwagi. To jest według twa wielką zaletą. Jednak musisz się jeszcze wiele nauczyć.

– Wiem mistrzu.

– A teraz odpoczywaj...

Tymczasem Quell Perr udał się do Rady Jedi szybko opowiedzieć o sytuacji. Wszyscy mistrzowie usiedli na swoich miejscach, a on stanął jak zazwyczaj po środku lekko skłaniając głowę w dowód szacunku.

– Mów jakie wieści przynosisz – zaczął Windu.

– Byliśmy na Nar Shaada. Nasze poszukiwanie w końcu przyniosły jakiś efekt.

Dowiedzieliśmy się, że zguba znajdowała się na tamtym księżycu. Dziwne rzeczy z nim się działy, lecz o tym szczegółów się nie dowiedzieliśmy. Wiem jedno, uratował jakąś dziewczynę, która nazywała się Akinoma Ikiv i odlecieli razem na Coruscant.

Powinna być tutaj, a on wraz z nią, lecz gdzie to nie wiem.

– Ciekawe to być zaczyna... Hmm... Jak najszybciej znajdź ją... Rutra'Dik Yruba znaleźć musimy bo rzecz straszna się stała.

– Co takiego się stało mistrzu? – zaniepokoił się Quell Perr.

– W sumie to kilka rzeczy się stało – rzucił Ki-Adi-Mundi.

– Twój uczeń zniknął... Podobno bez naszej zgody opuścił planetę – wyjaśnił Mace Windu.

– Jak to? – spytał z nieukrywanym zdziwieniem i niepokojem.

– Tego nie wiemy... Lecz pytał się o pozwolenie wylotu na Salatan, ale mu odmówiono.

Myślmy że właśnie tam poleciał, wbrew prawu zakonu.

– Polecę za nim – wyjaśnił Quell Perr – jak tylko znajdę kobietę – dodał.

– Musisz polecieć... Musimy ci powiedzieć, że grozi za to co zrobił twój Padawan wydalenie z zakonu... – powiedział srogim głosem Ki-Adi-Mundi – Jestem tego świadomy mistrzu Ki-Adi-Mundi. Jednak, sądze, że mojego Padawana musiała tam ściągnąć ważna rzecz. Żałuje, że nie przywiązywałem odpowiedniej wagi do jego snów.

– To nie tylko twoja wina Quell Perr – rzucił Windu – My także tego nie doceniliśmy.

– Wagi snów nie można nie doceniać. Hmm.. Jedi chociaż nie śnią jego sny potęgę mają. Wizje to

są... Wizje Mocy... – rzekł Yoda.

– Leć jak najszybciej na Salatan. Od Jocasty Nu dowiedz się dokładnie gdzie ona leży.

Mistrz Oruun wraz z jego Padawanem polecą z Tobą. Może ci się przydać pomoc.

– Tak Mistrzu. Wyruszam jak najprędzej. Chyba już wiem, gdzie szukać tej dziewczyny.

– Niech moc będzie z Tobą – wyartykuował Yoda.

Mistrz skłonił się i wyszedł z komnaty Rady Jedi. Zdecydował się otworzyć na Moc i iść tam gdzie ona go poprowadzi, a miał nadzieje, że zaprowadzi go do Akinomy Ikiv.

Mężczyzna stał nad nieprzytomnym dawnym kompanem i mu się przyglądał.

Zastanawiał się czy to był on czy też nie, bo jego towarzyszka Aina mówiła, że to tylko podobny biedak, lecz on nie było tego do końca pewien, chociaż jej przytakiwał. Zdecydował później o tym pomyśleć. Wyszedł z komnaty i udał się na przechadzkę. Znajdował się na Coruscant niedaleko apartamentów senatorów i przedstawicieli planet należących do Republiki. Jego imię brzmiało Ripper i był jednym z bardziej tajemniczych ludzi należących do świty Trójprzymierza. Jedni mówili, że był osobistym siepaczem Regentki, iż zabijał kogo tylko ona kazała. Inni zaś, że tylko wykonywał rozkazy Rutra’Dik Yruba albo był marionetką wojskowego przywódcy Rewana. Jak zwykle bywało prawda leżała pośrodku krążących plotek i niedługo ci co za dużo mówili mieli także poznać prawdę o tej tajemniczej osobie.

Nie wiedzieli między innymi co oznacza jego imię „Ripper”. Otóż było to słowo ze pradawnego i już zapomnianego dialektu z jego ojczystej planety, a oznaczało: „Niosący zagładę”. Prawda była taka, że nie pochodził z żadnej planety należącej do Trójprzymierza.

Znaleziono go gdy był jeszcze niemowlęciem na planecie T’thav, która niedługo po jego odejściu przestała istnieć. Niestety historia zatarła przyczyny zniszczenia tej planety, ale miało to miejsce poprzez wybuch jakiejś gwiazdny albo inny kataklizm. Pewności co do losów T’thav nikt nie miał. Przygarnęła go i wychowywała jedna z wyższych rodzin zamieszkująca w stolicy Trójprzymierza Valasos. Wychowany był on na wielkiego wojownika, lecz nie na bezmyślną maszynę do zabijania. Jednak i tak pozostawał tajemniczy, a jego skłonności do samotności i picia różnorodnych ciekawych trunków z każdego kąta galaktyki tylko wzmacniały tę aurę. W końcu dotarł do celu, którym było biuro Regentki.

Wszedł i oddał jej cześć, tak jak to było w zwyczaju.

– Witaj! Czy Aina zajęła się wszystkim tak jak trzeba? – zapytała.

– Tak Pani.

– To znakomicie. Mam dla ciebie zadanie specjalne. Jak zapewne wiesz, niedawno był kolejny zamach na moje życie.

– Tak, oby śmierć dosięgła tych którzy próbowali. – oznajmił.

– Śmierć ich dosięgnie i to z twojej ręki Ripperze...

– Co masz na myśli Pani?

– Dowiedziałam się właśnie, że Senator Rellim, który od zawsze był przeciwny mojej osobie w końcu od słów przeszedł do czynów. Mam na myśli to, że on nasłał mordercę. Pozbądź się go w sposób który będzie przykładem dla innych.

– Tak się stanie Pani. Już nawet wiem jak to zrobię... – oznajmił.

– Możesz już iść. Jestem zmęczony, boli mnie głowa.

Ripper skłonił się i wyszedł udając się na powierzoną wcześniej misję. Coś mu nie dawało spokoju. „Przecież to nie żaden Senator nasłał mordercę” – zastanawiał się.

Kobieta o płomiennie – czerwonych włosach siedziała i myślała. Znajdowała się w dolnych częściach Coruscant. W jej myślach szalała jedna rzecz: „Wykonać zadanie albo zginąć, zemsta...”. Kierowała się na wyższe poziomy i ku jej zaskoczeniu zaczęło ją trzech obrzydliwych mężczyzn.

- Hej tam! Co tak urocza kobieta robi w takim miejscu? Może się tobą zaopiekujemy hę?
- Nie lepiej nie – odparła i szła dalej. Mężczyzna złapał ją za ramię.
- Jeszcze ci nie pozwoliłem odejść Gamoreańska Matrono!

Kobieta wpierv spojrziała na jego dłoń, brzydką i przepoconą a potem na twarz pokrytą obrzydliwymi krostami. Mężczyzna był lekko zdziwiony jak zobaczył na jej twarzy uśmiech, który przerodził się w obłąkany śmiech. Nagle dziewczyna wyjęła coś podobnego do wibroostrza i szybkim ruchem przecięła szyję mężczyzny, który padał na ziemię łapiąc się za gardło i powstrzymując krwawienie. Pozostali kompani patrzyli na nią jak w obraz. Kobieta wzięła swoją broń, która wyglądała teraz jak typowy Akeriński sztylet rytualny i oblizła go z krwi uśmiechając się przy tym szyderczo. Na jej twarzy malowała się istna ekstaza.

Zdziwienie jej przeciwników zmieniło się w przerażenie. Odwrócili się i zaczęli uciekać, lecz tylko jeden zdołał tego dokonać. Precyzyjnym rzutem kobieta trafiła w kark mężczyzny zabijając go. Podbiegła i wyjęła sztylet, ruszając od razu w pogoń za ostatnim napastnikiem.

„Tak... złapie cię” – pomyślała. Mężczyzna uciekając w myślach powtarzał sobie, że już nigdy nie popełni żadnego przestępstwa jak tylko przeżyje. To jednak było teraz bardzo niepewne. Czy przeżyje... Jedną z interpretacji życia to, że była to dżungla, a jak w każdej były drapieżniki i ofiary... myśliwi i ofiary... On zawsze uważał się za myśliwego polującego i myślał, że nawet był w tym dobry, lecz teraz stało się inaczej. To on był ofiarą. Uciekał w popłochu przez miejską dżunglę szukając schronienia przed drapieżnikiem. Wszyscy muszą kiedyś umrzeć i to była jedna z prawd towarzyszących prawie każdej istocie w galaktyce. W końcu dotarł do drogi bez wyjścia. Dziewczyna o płomiennie-rudych włosach była tuż za nim.

– Błagam Litości – rzekł szlochając.

– Czy ty w ogóle znasz pojęcie słowa litość? Czy zabijając kobiety myślałeś nad słowami które do cię mówiły? Czy jak ostatnio zabiłeś dla przyjemności dziecko też wiedziałeś co to litość?

– Jak? to był błąd.. Wykonywałem tylko rozkazy... Błagam! ja nie chciałem – Ja też nie chce tego co zrobię – wyszeptala podchodząc do niego.

– Neeeeee!!!

Kobieta uderzyła go kilka razy potwarzy i zdecydowała się zapoznać z ludzką fizjologią.

Powolnym pchnięciem wbiła swój ostrzy nóż w brzuch mężczyzny, następnie lekko i stopniowo przesuwała go w górę pozwalając wyjść na zewnątrz jego wnętrzością. Krzyki pełne bólu i cierpienia wzmagały w niej uczucie niewiarygodnej radości... Istnej ekstazy...

Robiąc to co robiła było dla niej istnym Katharsis. Wyciągnęła jak jeszcze żył jego wątrobę i jelita wpychając je do ust, żeby przestał krzyczeć. Następnie zajęła się jego organami rozrodczymi okrajając je. Mężczyzna przeżywający niewiarygodny ból najpierw nie wytrzymał i zemdlał. Kobieta będąca u szczytu uczucia który przeżywała wykroiła jego serce patrząc na nie i myśląc. Następnie odgryzła kawałek surowego serca, które jeszcze pulsowało... żyło... lecz już zakończyło swoje istnienie. Dziewczyna skończywszy masakrować jego zwłoki otarła się z krwi i udała się w dalszą drogę jakby nic się przed chwila nie stało. Jakby to tylko była dla niej codzienność.

Mistrz Quell Perr idąc napotkał po drodze Mistrza Obi Wana Kenobiego wraz ze jego

Padawanem Anakinem Skywalkerem. Quell Perr przyglądał mu się uważnie. „To ma być ten który przywróci równowagę Mocy? Dojrzał, lecz wyczuwam coś niepokojącego od niego” – pomyślał.

– Witaj Obi wanie Kenobi. Młody Anakin jak wyrosłeś od kiedy Cię ostatnio widziałem – przywitał ich Quell Perr.

– Dawno żeśmy się nie widzieli stary przyjacielu. Słyszałem, że ostatnio masz mnóstwo zadań? – zaczął Obi Wan.

– Tak, Właśnie jestem w trakcie poszukiwań pewnej kobiety, Akinoma Ikiv.

– Jak się nazywa? możesz powtórzyć – zaciekał się Kenobi.

– Akinoma Ikiv. Słyszałeś to imię już?

– Powiem ci, że wiem gdzie ona jest – zaśmiał się.

– Co za szczęście! Skąd wiesz? gdzie jest?

– Nie wierze w coś takiego jak szczęście mój przyjacielu, tylko Moc. To jej wola spełnia się, że teraz właśnie tu stoimy. Otóż ostatnio jakiś człowiek znalazł na Revost Kretha Malwila nieprzytomnego będącego w śpiączce. Lekarze nasi już go badali, lecz do niczego nie doszli. Kompletnie nie wiedzą co z nim jest... – zmartwił się – No i ten człowiek w zamian prosił, żebym pomógł mu znaleźć tą dziewczynę. Akurat się składa, że to tam sama kobieta.

– Jak miło – uśmiechnął się.

– Wyjaśnię ci zaraz gdzie dokładnie się znajduje, lecz powiedz mi co cię niepokoi?

Wyglądasz na zmartwionego. Czy to chodzi o Arnita? Gdzie on jest? – zaciekał się.

– Zazdroszczę ci czasem, że masz mniej niesfornego Padawana od mnie. Arnit uciekł...

Miał dziwne sny, których nie doceniłem. Poleciał na Salatan, planety której nie wiem gdzie szukać, temu też udaje się zaraz do Jocasty Nu, która mam szczerą nadzieję, że mi pomoże. Jednak martwię się o niego drogi Obi Wanie... A wy gdzie się udajecie??

– Lecimy do stoczni Sluis Van. Kanclerz odbywa tam spotkanie w sprawach budowy statków międzygwiazdnych z wszystkimi większymi właścicielami stoczni w galaktyce. Będzie nawet sam Kuat z Kuat. Rada Jedi wysyła nas jako przedstawicieli i w razie czego mamy zadbać o bezpieczeństwo kanclerza.

– To miłej podróży. Niech Moc was prowadzi.

– Ciebie też Mistrzu Quell Perr.

Obi Wan w skrócie wytłumaczył, gdzie ma szukać kobiety i pożegnali się. Poszedł od razu ją złapać. Nie chciał, żeby mu przypadkiem uciekła.

Akinoma Ikiv stała przed statkiem Riska i czekała jak stamtąd wyjdzie. Wiedziała, że będzie próbował ją podrywać, lecz chociaż wydawał się przystojny to nie miała najmniejszego zamiaru dać mu tego do zrozumienia. Po chwili wyszedł spokojnym krokiem obdarzając ją szarmanckim uśmiechem.

– Witaj Akinomo Ikiv. Czyś gotowa do podróży? – zapytał.

– Tak jestem, lecz lecę swoim statkiem. Spotkamy się na orbicie. Wtedy polecimy na Kashyyk.

Koordynaty skoku w nadprzestrzeń już wprowadziłam do komputera, więc nie ma na co czekać.

– Nie ma? może jednak jeszcze zostaniemy chwile – zaproponował.

– Wiem co próbujesz... i nawet tego nie rób. Jestem dla ciebie kompletnie nie dostępna kobieta i jeśli nie przestaniesz to Cię do tego zmuszę siłą i wiesz mi, że nie podolasz mi w walce wręcz.

– Jesteś tego pewna? Tego chcesz? – zaczął pewnym tonem.

– Tak – oznajmiła. – mężczyzna podszedł do niej i złapał ją za rękę.

– Może jednak mylisz się... – powiedział ciepłym tonem.

– Nie – krzyknęła i walnęła go z całej siły w twarz. – Do zobaczenia na Kashyyku.

Mężczyzna zbity z tropu zdecydował jakoś zmienić taktykę, lecz to dopiero po wylądowaniu na Kashyyk. Jednak zdziwiony był, że miała potężny cios ta kobieta. Wymasował obolałe miejsce i wrócił do statku.

Akinoma dochodząc do swojego statku została zaczepiona przez jakiegoś człowieka.

Był on ubrany w płaszcz a twarz miał wymalowaną uśmiechem.

– Czy jesteś Akinomą Ikiv? – zaczął.

– Kim jesteś? – odmruknęła

– Przepraszam za moje maniery. Jestem Quell Perr, Jestem Jedi. Mam ważną sprawę do pani – wyjaśnił.

– To w takim bądź razie zapraszam. Z radością pomogę, lecz szybko, ponieważ zaraz odlatuje na Kashyyk.

– Dobrze, więc ostatnio była pani na Detos prawda? – szedł wyjaśniając sprawę.

– Tak byłam, lecz na krótko – odparła.

– Chodzi mi o pani towarzysza... – opisał go – czy wie pani co z nim teraz się stało? gdzie jest?

– Kid? A kim on jest? Chyba kimś ważnym skoro go Jedi szuka co nie? – uśmiechnęła się.

– Tak prawda. Jest to Admirał Rutra'Dik Yrub, ważna osobistość... Może to się zakończyć skandalem dyplomatycznym na skalę całej Republiki. Temu też muszę go odnaleźć jak najszybciej.

– Z tego co wiem jest ciągle na Coruscant. Miałam się z nim spotkać lecz znikł nagle. Nie wiem gdzie poszedł. Proszę go czule pozdrowić od mnie.

– Oczywiście dziękuje za pomoc.

Pożegnał się z nią i odszedł zastanawiając się gdzie on mógł teraz być. Akinoma natomiast przygotowywała swój statek do odlotu.

Arnit odpoczywał, ponieważ Anelim kazała mu. Zdecydowali wylądować na Salatan dopiero za kilka godzin jak wypoczną. Jedi zasnął z nadzieją, że znów spotka ślepcę. Na początku na widok tej postaci czuł zaciekawienie, potem przerodziło się on w nienawiść mieszana z wielkim gniewem. Teraz jednak wszystko zmieniło się ku jego wielkiemu zdziwieniu.

Zasypiał z nadzieją, że go spotka, że go czegoś nauczy. Zastanawiał się czy to co go uczono w zakonie nie było kłamstwem, bądź nie mówili mu do końca prawdy. Ciemność ogarnęła go wokoło i przeniknęła. Głos przemówił: „Salatan... Prawda... Jesteś tu gdzie miałeś być...”

Kieruj się na północ a odnajdziesz to czego szukasz... Prawda o Władcach Mocy...” Obudził się, lecz ślepcę tym razem nie było. Wylądowali na planecie Salatan, porośniętej bujną dżunglą. Znaleźli jakieś dobre miejsce, zabezpieczyli statek i ruszyli na północ, tam gdzie Arnit sądził, że znajdzie to czego szukał.

Na Coruscant Garn Leblis znajdował się jeszcze na swoim statku. Miał zaraz dostać wiadomość na którą czekał. Nie wiedział, co miał robić dalej, a to, że puścił Anelim w dalszą podróż było już jego inicjatywą. Po chwili doszła pierwsza wiadomość od jego pracodawcy.

Ujrzał holoprojekcję kobiety, która przemówiła:

– Książę jest zadowolony... Rutra'Dik Yrub znajduje się na Coruscant. Odnajdź go i zabij...

„Wiadomość krótka, ale treściwa” – pomyślał. Wyszedł ze statku i udał się do apartamentu jego drugiego pracodawcy. Lubił on zarabiać kredyty, a pracować na dwie strony to całkiem dobra

możliwość szybkiego zarobku. Doszedł i postać już na niego czekała. Był to starzec w ciemnym płaszczu i kapturze zasłaniającym twarz. Wzbudzał w nim wielki szacunek, ale i zarazem lęk.

– Witaj...

– Co mam zrobić? – spytał Garn – Leć na Salatan. Za swoją córką i Arnitem. Masz go zabić... – oznajmił.

– Czemu? – zdziwił się.

– Czemu? Zagraża... Będzie wiedział za dużo... Zabij go za to ci płace.

Przytaknął bez słowa i odszedł zgadzając się na powierzone jemu zadanie. „dziwne” – zastanawiał się. Poszedł do statku szykując się do podróży.

Na orbicie Salatan pojawił się nowy statek. Wyszedł on z nadprzestrzeni i od razu skierował się na planetę. Na pokładzie znajdował się mężczyzna w czerwono-białej zbroi i wiedział, że on tam był. „Czuje twoją obecność Arnicie” – pomyślał. Wyraźnie w mocy odczuwał go na planecie. Wiedział, że przeznaczenie się wypełni, na Salatan, tam gdzie można odkryć wielkie nie odkrytych tajemnic. Dokończy to co zaczął nie dawno wypełniając zadania losu. Zabijając rodzinę Arnita i porywając jego brata rozpoczął nie uniknione. Teraz miał to zaraz zakończyć. „Wiem, gdzie się udajesz Jedi... Będę Czekał...” – wyszeptał.

Skierował swój statek na planetę, gdzie zaczeka na młodego Arnita i jego uroczą towarzyszkę...

ROZDZIAŁ 9

Religia to podstawa życia wielu istot we wszechświecie. Można stwierdzić, że w galaktyce było tyle różnych wierzeń ile było istot w niej. Z tym było oczywiście także związane wierzenie w życie po życiu, które dawało nadzieję na dobre istnienie. Zaczniemy jednak od początku, przybliżając fakt wieloznaczności, ale i też podobieństw w religiach wszechświata. Oczywiście dzieliły się one jak to zazwyczaj bywało na monoteistyczne i politeistyczne czyli wiarę w jedno bóstwo i wiarę w wiele bóstw. Przykładem politeistycznej religii może być wiara rasy Jelon'ta. Otóż wierzą oni, że nie może być jednego głównego boga, ponieważ sam nie mógł by w swoich rękach pomieścić w dobrej wierze tyle władzy.

Toteż wierzyli w małe bóstwa odpowiedzialna za mniejsze rzeczy tak jak na przykład bóg od pogody, bóg od lasu itp. Przykładem religii monoteistycznej była między innymi Ithor, czwarta planeta w systemie Ottega, skąd wywodziła się inteligentna rasa zwana Ithorianami lub złośliwie młotogłowymi lub młotami od kształtu głów. Tropikalny świat, tętniący życiem, pełen organizmów roślinnych i zwierzęcych, częściowo kontrolowany przez ithorian. W większości pozostawili go w stanie dzikim i niezbadanym. Na niej mianowicie wyrosła cywilizacja, która idealnie połączyła współpracę natury z techniką. Wierzyli w jedno bóstwo, które było naturą. Większość Ithorian żyła na pokładach olbrzymich statków-miast unoszących się dzięki napędowi grawitacyjnemu ponad powierzchnią planety. Uważali, iż na powierzchnie planety godny zejścia był tylko kapłan. Oczywiście była także wiara w Moc.

Jednak czy to była religia? Czy zakon Jedi to byli pewnego rodzaju kapłani? Moc wszechwładna powstająca z wszystkiego co żywe... łączące to w jedną całość. W każdej religii było rozwiązanie trapiących problemów jej wyznawców. Mówiły o głównej zagadce życia czyli o śmierci. Nie ma we wszechświecie istoty, która by się nie zastanawiała co będzie po życiu. Czy coś istnieje po śmierci? Co nas wszystkich czeka? Krążą w galaktyce różnorakie teorie na ten temat i w niektórych było wiele prawd, lecz też dużo wymyślonych aspektów tej sprawy. Większość religii politeistycznych wierzyła, że życie po życiu było podzielone według odwiecznych praw. Na miejsce dla złych, gdzie cierpią katusze i miejsca dla dobrych, gdzie dosłownie był raj. Jednak nie wszystkie religie polegały na dzieleniu pomiędzy dobrem a złem. To co dla wielu wydawało się oczywiste dla niektórych było dziwne. Takim dobrym przykładem była planeta Egan leżące w zewnętrznych odległych rubieżach. Otóż wierzyli oni, że nie ma życia po śmierci. Nie ma żadnego raj, nie ma nic.

Było tylko bóstwo zwane Ytinifini, które decydowało co się działo z daną istotą jak już umarła. Co z nią będzie się dziać zależało od tego jak żyła. Jeśli dobrze to będzie narodzi się ponownie pod inną lepszą postacią i będzie posiadać lepsze, godniejsze życie. Jednak jeśli źle będzie żyć to także się narodzi ponownie, lecz jej życie będzie usłane cierpieniem i niewyobrażalnym bólem. Była to bardzo ciekawa wiara i można rzecz szczerze, iż się sprawdzała. Mieszkańcy planety byli dobrzy

i przez to byli też poważani w większości rejonów galaktyki. Przejdźmy jednak to bardziej znanej „wiary” i tego co ona mówi o śmierci, ale także o życiu. Chodzi o wszechobecną Moc, której wyznawcami byli poniekąd Rycerze Jedi. Ciekawe było, że Moc dawała im zdolności pozwalające często im robić rzeczy nie możliwe dla przeciętnych istot w galaktyce. Jedi mógł zostać każdy podatny na Moc nie zależnie od rasy czy pochodzenia. Podstawa kodeksu Jedi mówiła: „Nie ma śmierci... Jest Moc”. Czy to oznacza, że praktycznie nie wierzyli w istnienie czegoś co praktycznie było oczywiste? Śmierć do swojego złowieszczego tańca zapraszała od wieków każdego nie zależnie od pozycji społecznej czy też wieku. Każdy miał się z nią spotkać, tylko pytanie brzmiało kiedy to miało nastąpić. Często mówiło się o wielkiej nie sprawiedliwości jak z niewiadomej przyczyny umierały niemowlęta czy też dobre istoty w młodym wieku wchodzące dopiero w dorosłe życie. Jak to jest, że ktoś kto kradnie, zabija żyje sobie do starości w dostatku, a biedni umierają w młodości? Czy była to sprawiedliwość? Prawda jest taka, że wszystkie istoty były częścią planu najpotężniejszej istoty we wszechświecie.

Praktycznie nie wiedzano czy można nazwać to istotą, czy miała kiedykolwiek jakąś postać.

Imion miała wiele. W każdym zakątku galaktyki zwali inaczej, lecz przeważnie określali go w kategorii mężczyzny.

Jego imię to fatum...

Jego imię to karma...

Jego imię to przeznaczenie...

Jego imię to Los...

Nieuchronnie to co On zaplanował musi nas spotkać. Nie było innego wyjścia, ponieważ nikt nie mógł przed nim uciec. Los zawsze złapie w swoje krwiożercze szpony w taki czy inny sposób. Jednak jeśli to wszystko było nie prawdą? Jeśli nie ma życia po życiu? Jaki czekał by nas byt ze świadomością, że potem nie ma kompletnie nic. Jak byśmy się czuli wiedząc, że jak tylko umrzemy to będzie koniec naszego istnienia? Czy potem nie ma nic? Czy jest tylko nicość ogarniająca nas? Tak pomyśleć nad tym to dziwne uczucie rodzi się w sercu. Przecież nie można do siebie dopuścić myśli, że nie ma nic. Jakby śmierć była końcem naszego kompletnego istnienia byłoby to dziwne. Żyjemy, nagle umieramy i przestajemy istnieć.

Świadomość tego, że istnieliśmy przestaje być. Znika i rozplywa się w nicości. Czy śmierć jest nicością? Czy ona pochłania wszystko co żyje, żeby unicestwić? Pewien mądry filozof kiedyś dawno, dawno temu rzekł:

„Śmierć nie jest końcem, lecz dopiero początkiem”

Mistrz Quell Perr powoli przeszedł progi wielkiej biblioteki Jedi i zaczął się rozglądać w poszukiwaniu Jocasty Nu. Szedł powoli i przyglądał się popiersiom wielkich mistrzów Jedi. Przystanął na chwilę przed posągiem Hrabiego Dooku i uważnie przyglądał się mu.

Nagle z zamyślenia wyrwała go Jocasta Nu. Ta niska kobieta była Rycerzem Jedi. Służyła w Bibliotece Jedi na Coruscant. Była bardzo stanowcza, co sprawiało, że nawet najwięksi Mistrzowie Jedi, przekraczając progi biblioteki natychmiast musieli się ustosunkować do jej poleceń. Jocasta była też bardzo sumienna i dokładna, co tylko wychodziło na korzyść ogromnym zasobom biblioteki Jedi.

– W czym ci mogę pomóc Mistrzu Quell Perr? – spytała.

– Witaj – skłonił się lekko – Szukam pewnej planety.

– Pewnie tam, gdzie uciekł twój uczeń Arnit czyż nie?

– Tak. Salatan nazywa się, lecz nie mam pojęcia gdzie się znajduje.

– Zaraz temu zaradzimy – uśmiechnęła się – Proszę za mną.

Udali się do najbliższego terminalu, gdzie Jocasta Nu usiadła a za nią stanął Mistrz Quell Perr.

– Jest, Salatan leży w systemie Adfet. Raczej nie zamieszkana planeta porośnięta bujną dżunglą.

Ciekawe po co on tam poleciał? – zapytała.

– Tego nie wiem. Niestety jest to dla mnie nieodgadnione. Temu też chce tam lecieć, żeby go odnaleźć i sprowadzić z powrotem. – Jak najszybciej – dodał w duchu.

Dostał koordynaty od Jocasty Nu i podziękował. Wyszedł i pobiegł do portu, żeby jak najszybciej udać się na tajemniczą planetę Salatan.

Kid spał i miał dziwny sen. Kolejny z wielu, który mu powoli wyjaśniał kim dokładnie był i co z nim się stało. Stał na pustyni i rozglądał się wokoło. Popatrzył na ziemię i pustynie zmieniała się z piasku w wodę. Popatrzył na wprost i dostrzegł postać powoli idącą w jego stronę. Wiedział, że skądś go znał, lecz zadawał sobie w myślach pytanie: „Skąd?”. Podszedł do niego i już wiedział skąd go znał. Był to on sam, lecz w innym stroju.

– Kim jesteś? – zapytał – Ja jestem tobą, tak jak ty jesteś mną. Jednak ja jestem tobą, którego ty nie znasz.

– Jesteś moją pamięcią, którą straciłem?

– Nie do końca. Nie pamięcią bo byłoby to nie do końca prawda. Jestem jakby częścią twojej podświadomości, jakby tobą, lecz innym. Tak ja ty jesteś mną, lecz nie do końca taki sam, Czyż nie?

– Dziwny to sen – przyznał – Co chcesz mi powiedzieć?

– Musisz odnaleźć siebie. Musisz szukać głęboko, żeby znaleźć.

– Mam szukać siebie?

– Tak tylko będziesz mógł odzyskać swoje życie utracone przez los.

– Jak mam to zrobić?? – zaciekał się.

– Musisz podczas snu, znaleźć grootę. Przeszukując ją wzdłuż i wszerz dostrzec musisz Źródło Wspomnień. Tak tylko odnajdziesz siebie.

– Gdzie zacząć?

Postać znikła ku jego wielkiemu zdziwieniu. Nagle usłyszał głos mówiący: „Obudź się...

Obudź się...”. Kid obudził się w łóżu obszernym i wielkim. Słońce, które właśnie wschodziło oślepiło go na moment, aż widział tylko żółte plamy krążące mu przed oczyma. Gdy już odzyskał wzrok spojrzął przed siebie, gdzie stał mężczyzna bacznie przyglądający się mu.

Wiedział, że go skądś zna, lecz nie znał jego imienia.

– Ty naprawdę nic nie pamiętasz? – zaczął.

– Skrawki tylko, nic więcej. Kim jesteś?

– Czy to ma znaczenie? Ważne jest to co musimy zrobić, żeby uratować to co przez wieki było budowane.

– Co masz na myśli? Co było budowane? co uratować?

– Nie za dużo pytań na raz? He? – uśmiech złowieszczy pojawił się na jego twarzy. – Odświeżę ci trochę pamięć, to może będziesz bardziej kojarzył fakty. Jesteś Admirałem Rutra'Dik Yrub przywódca Wielkiego Trójprzymierza Valasos, które musisz uratować jeśli zdążysz. Ona oszalała...

– Kto oszalał? Magata? – spróbował.

– Tak. Jej spiski stają się niebezpieczne dla twoich poddanych. Wdała się w prywatną wojnę,

w którą wciąga powoli całą Republikę.

– Jak mam ratować coś czego kompletnie nie znam?

– Znasz, lecz o tym jeszcze nie wiesz. Utrata pamięci to nie kompletna strata, lecz jej zamglenie. Byłeś nieobecny, lecz wróciłeś i musisz ratować nas wszystkich. Jeśli ci zależy na swojej żonie to ją także. Póki nie jest za późno.

– Jak mam to zrobić? – zaczął.

– Musisz się ujawnić, ponieważ szuka Ciebie wielu ludzi, nawet Jedi. Wprowadzi to wielki zamęt w szeregach twoich przeciwników, lecz skuteczny i możesz go dobrze wykorzystać.

– Powiesz mi kim jesteś?

– Moje imię w tej chwili nie ma znaczenia. Jestem kimś kto nie pozwoli, żeby coś ci się stało i to powinno być dla ciebie wystarczającą odpowiedzią na twoje pytanie.

– Ale ty jesteś dziwny. – uśmiechnął się.

Kid zjadł śniadanie i poszedł za swoim nowym towarzyszem. Nie wiedział dokąd go prowadził i nawet czy przypadkiem go nie chciał zabić. „Chyba miał ku temu wiele okazji więc raczej mnie nie zabije” – pomyślał.

Salatan planeta równie tajemnicza jak jej nazwa. Otóż oprócz nazwy nic nie było wiadome o tej planecie. Słowo Salatan pochodziły z pradawnego dialektu Yzeran mieszkających w pobliskim systemie. Dawno temu kiedy wyruszyła ekspedycja badająca sąsiednie systemy słoneczne dotarli właśnie tutaj. Wiadomo tylko, że wylądowali i wrócił tylko jeden z dziewięciu Yzeran znajdujących się na statku. Niestety postradał on zmysły i krzychał tylko wciąż wkoło jedno słowo: „Salatan, Salatan, Salatan”. Oznacza to we wspólnym nic więcej niż „Zguba”. Cemu ten nieszczęśnik tak ją nazwał pozostało to jego słodką tajemnicą.

Arnit kiedyś słyszał tą historię, lecz teraz mu było wszystko jedno czy tu zginie czy

przeżyje. Wiedział dobrze, że coś go od wewnątrz powoli trawi. Jakaś tajemnicza choroba bądź pasożyt, szczegółów nie znał, lecz i one go nie interesowały. Szedł wraz z Anelim przez las porośnięty gęstymi krzakami. Ostatnio dużo myślał nad wszystkim. Zastanawiał się nad śmiercią, życiem i miłością. Nie mógł w tej chwili kompletnie zrozumieć istot, które przez różne problemy jakie ich spotykają w życiu chciały je sobie odebrać. Samobójstwo nie było według niego rozwiązaniem, lecz ucieczką. Jak inaczej przecież można to nazwać? Tylko i wyłącznie tchórzostwem. Jak nie można sobie poradzić z tym co nam daje życie najłatwiej było się zabić. Niektórzy mogli by powiedzieć, że była to odwaga odebrać sobie życie, lecz czy to mogło być prawdą? Jeszcze bardziej Arnita dobijała myśl o istotach, które po najbliższych powodach mówią: „Jakie te życie jest ciężkie”, albo „Mam dość wszystkiego”.

Jakie to jest dziwne jak tak mówią, przecież to nie ma kompletnie sensu. Gniew w młodym Jedi narósł na tą właśnie myśl. A co mają powiedzieć ci którzy są chorzy, umierający, biedni?? Co ma powiedzieć dziecko, które przez niefortunny los nagle zostaje sierotą? Młody Jedi wiedział, że umierał. By tego w pełni świadom, lecz miał nadzieje. „Sny mówiły mi o tej

planecie, więc może będzie tu lekarstwo?” – zastanawiał się. Analizował każde swoje nowe odczucie jakie poznawał. Nigdy nie znał miłości i od kiedy poznał wspaniałą Anelim chciał to poznać dogłębnie. Ktoś mógłby na niego spojrzeć jak na wariata, lecz on na to nie zważał.

Nikt nie zrozumie jak najprostsze, najbardziej oczywiste uczucia można poznawać będąc już dojrzałym człowiekiem. Przecież to było uważane za dziwne, nienormalne i traktowane z nie ukrywaną odrazą, wręcz niedowierzaniem. Czuł, że długo nie pożyje temu też chciał to wszystko jak

najlepiej poznać, zanim zostanie jednością z Mocą. Szli z kilka godzin prawie nie mówiąc. Anelim dostrzegła, że jej towarzysz był głęboko pogrążony w rozmyślaniach dlatego też mu nie przeszkadzała. W końcu nadszedł wieczór, więc zdecydowali się zatrzymać na noc.

– Daleko jeszcze? – spytała lekko zmęczona.

– Nie wiem... Myślę, że nie, lecz... – zawahał się – czuje jak Moc mi mówi idź tam.

Będę wiedział kiedy dojdziemy, ale nie wiem kiedy.

– Trudno, spacerek dobrze na kondycje robi – zaśmiała się – Co spodziewasz się tam znaleźć?

– Hmmm, żebym ja to wiedział... Może odpowiedzi na pytania... może to czego szukam całe życie... Może jego sens?

– Zobaczymy. Mam nadzieje ze jutro tam już dojdziemy – rzekła Anelim.

Rozpalili ognisko, żeby odstraszyć miejscowe drapieżniki i poszli spać, ponieważ byli straszliwie zmęczeni. Arnita spotkała najdziwniejsza z jego dotychczasowych wizji. Szedł tak jak cały dzień przez dżunglę. Tym razem był sam, kobiety nigdzie nie widział. W końcu wyszedł z lasu i dotarł góry wielkiej i pokrytej ciemno brunatną rośliną. Czuł, że musiał się tam wdrapać i tak też uczynił. Po długiej wspinaczce dotarł na skalną półkę. Przed jego oczyma ukazała się jaskinia pośrodku góry. Nagle z lewej strony jakby z powietrza wyszedł ślepiec.

– Witaj Arnicie! Cel twój masz przed oczyma...

– Co tam jest? – zapytał zaciekawiony.

– Prawda o władcach Mocy.

– Jak zwykle twoje odpowiedzi są nie jasne – Pamiętaj to jest tylko sen, bądź jak wolisz wizja tego co będzie jutro.

– Czy jutro też ciebie spotkam ślepcze?

– Nie – odparł stanowczo. – spotkasz tylko to co powinieneś. Ja ci wskazuje drogę, żebyś odnalazł to czego szukasz, a ty mi się niedługo odwdzięczysz.

– Wdzięczny już jestem, lecz jak mam się odwdzięczyć za to?

– Wszystko w swoim czasie mój przyjacielu... Widzę, żeś bardzo niecierpliwy. Jednak patrząc na ciebie ciągle widzę maszynę zwaną Jedi.

– Nie jestem maszyną! Jedi są czującymi istotami!

– Jesteś tego pewien? – doszedł go głos zza jego pleców należący do siwego starca.

– Tak!

– Od zarania dziejów Jedi odcinali się od swoich emocji. Eliminowali je, więc jeśli nie czujesz to nie oznacza, że jesteś maszyną?

– Maszyny nie żyją, a Jedi tak! – krzyknął.

– Żyją? – zaśmiał się ślepiec wraz z starcem – Jak możesz powiedzieć, że maszyny nie żyją? Myślą, więc są czyż nie? Tak samo jest z Jedi. Różnice polega tylko na tym, że to jest życie organiczne a tamto mechaniczne. Zależnie od nazwy i tak to jest życie, więc twój argument jest nic nie wart.

– Ja – zaczął – Ja żyje. Ja jestem Jedi. Ja czuję! Ja wam to udowodnię! – krzyczał.

– Po co chcesz nam udowodnić to co wiemy? – zadał pytanie ślepiec.

– Czujesz, więc nie jesteś Jedi. Jesteś kimś innym... – dodał starzec.

– Kim?

– Odpowiedz na pytania otrzymasz jutro...

– Potem odwdzięczysz się nam.

Znikli tam szybko i nagle jak się pojawili, ale wizja się nie skończyła. Jedi chciał wejść, lecz nie mógł. Głos spytał: „Ktoś ty?”, ale Jedi nie mógł odpowiedzieć. Nagle znalazł się na Coruscant, które wyglądała źle i ponuro. Zobaczył wielką armię żołnierzy w białych strojach stojącą w równym szeregu i patrzącą na swego władcę. Wyglądał on jak Kanclerz Palpatine, lecz coś było w nim dziwnego, obcego i zarazem tajemniczego. Nosił stary, czarny, lekko poszarpany płaszcz z kapturem. Twarz miał całą pomarszczoną i przesiąkniętą jakby złem.

Patrzył na swoje wojsko z nieukrywaną radością. Nagle zza jego pleców wyłoniło się druga postać, wysoka w czarnej zbroi. Oddychała poprzez respirator. Był to oddech, który młody Jedi znał już ze swoich wizji. Niespodziewanie rozległ się okrzyk kilkuset tysięcy żołnierzy:

„Niech żyje Imperator! Niech Żyje Imperator!”. Jedi nie mógł uwierzyć w to co słyszał.

„Jaki imperator? Przecież to nie prawdopodobne” – zastanawiał się. Rozejrzał się i znów sceneria się zmieniła. Dostrzegł wokół siebie martwe zwłoki wszystkich Jedi jakich znał. Nie widział tylko Mistrza Obi Wana, Anakina Skywalkera i Mistrza Yody. Spojrzał na swoje ręce, które były czerwone niebieskozielone od mieszaniny różnej krwi. Krzyknął z całych dostępnych mu sił. Padł na kolana i próbował wytrzeć ręce o strój, lecz nic to nie dało.

Różnobarwna maź zaczęła mu się rozlewać po ciele. Chwile później już czuł ją na twarzy, a towarzyszył temu obrzydliwy odór. Jedi zaczął się krztusić i kasłać. Wielokolorowa substancja dotarła do jego dróg oddechowych i zaczął się dusić. Pojawiła się przed nim kompletnie mu nieznana postać. Wyglądał on jak Hutt na dwóch nogach, równie obrzydliwy i śmierdzący. Patrzył na niego pustymi białymi oczyma. Nagle powiedział grubym basowym głosem:

– Stanie się co stać musi. Nikt nie ucieknie swojemu przeznaczeniu. Narodzili się by umrzeć po to aby Oni się narodzili. Równowaga Mocy... Niedługo ich przeznaczenie się wypełni.

Postać znikła, ale Jedi dalej się dusił. Nagle obudził się prawie wstając i krzycząc. Zbudziło to także Anelim leżącą nieopodal, która podbiegła do niego bardzo zaniepokojona. Spojrzała na niego i jej niepokój wzrósł.

– Co ci jest Arnit? – spytała drżącym głosem.

– Miałem straszliwą wizję. Dusilem się... – zaczerpnął łapczywie powietrza i spojrzał na dziewczynę.

– Arnit... Twoja twarz...

– Co z nią Anelim?

Odpowiedzi nie otrzymał. Wstał i podszedł do pobliskiego strumyka, żeby przejrzeć się w nim. Zobaczył swoje odbicie, lecz nie to co znał. Było zgoła odmienne, a mianowicie jego twarz zmieniła się. Widać było, że choroba trawi go coraz szybciej i szybciej. Jego skóra zrobiła się strasznie pomarszczona i zniszczona. Czuł się dziwnie jak widział to odbicie.

Nagły odruch spowodował, że wymiotował niedawno spożyty posiłek. Anelim stała z tyłu i się przyglądała. Arnit wstał i podszedł do niej.

– Nie martw się Anelim. Każdy kiedyś musi umrzeć...

– Umrzeć? Co ty mówisz? – spytała z łzami w oczach.

– Wiesz o tym tak dobrze jak i ja, że umieram.

– Ja.. Nie możesz... znajdziemy lekarstwo.

– Na to nie ma lekarstwa. Śmierć nie jest końcem, ale początkiem. Nie martw się tym.

– Ale...

Tym razem Arnit zaskoczył nie tylko siebie, ale i samą Anelim. Nagle pocałował ją uciszając jej słowa. Był to pocałunek pełen miłości, ciepła i szczerego uczucia jakim ją darzył. Choć dziewczynie strasznie się podobało to co uczynił jej Jedi nie mogło wyjść ze zdziwienia.

Trwało to nad wyraz długo, ale dla młodego Jedi ta chwila mogła by trwać wiecznie. „Miłość to bardzo ciekawe uczucie” – zastanawiał się. Stwierdził w tej właśnie chwili, że ślepiec miał rację. Jedi to maszyna, odrzucająca podstawowe emocje. „Jednak dlaczego? Kto podjął takie decyzje, żeby te emocje odrzucić? Przecież nie żyjemy bez emocji... To odróżnia nas od maszyn. To czyni nas tym kim jesteśmy.” – myślał. Wiedział, że niedługo umrze, lecz teraz mógłby już umrzeć. „Przecież co to za śmierć jeśli tak naprawdę nigdy się nie żyło?” – myślał. Zrozumiał czym jest uczucie zwane miłością. Ktoś mógłby powiedzieć, że jak można to poznać w tak krótkim czasie, lecz czy było to niemożliwe? Przecież Jedi otwarty na przepływ Mocy odczytywał inne emocje i z tego też powodu mógł lepiej poznać uczucie dotąd nie znane dla niego. Doszedł do ciekawego wniosku, który praktycznie powinien być przykładem dla istot, które wysnuwają teorie, że miłość nie istnieje. Jak może takie uczucie nie istnieć? Przecież od zawsze jest to podstawa istnienia prawie każdego gatunku w galaktyce. Dla wielu był to wstęp do prokreacji i przedłużenia gatunku co praktycznie było mylnym pojęciem. Arnit wyszedł z wnioskiem, iż nikt tak naprawdę nie żył, jeśli nie poznał miłości. Czy te słowa nie mają w sobie wiele prawdy? Kto poznał to wie ile radości i szczęścia dostarcza uczucie miłości. Ten też wie, że te słowa są przesiąknięte prawdą. Miłość daje nam radość, szczęścia i sens życiu. Ten kto ma osobę którą może kochać i jest przez nią kochany jest bogatszy niż najmożniejszy tego wszechświata. Jednak jak wszystko co ma swoje dobre strony ma także swoje złe aspekty. Miłość przynosi ze sobą także smutek, cierpienie i ból. Najgorszym z możliwych wydaje się nieszczęśliwa miłość. Kiedy ktoś zakocha się w drugiej osobie bez wzajemności. Dla przykładu jak mężczyzna zakocha się w kobiecie. Taka osoba cierpi wtedy straszliwe katusze, nie porównywalne z niczym innym.

Myśl, że kocha się, lecz na przykład nie ma kompletnie żadnej szansy na bycie z nią sprawia wielki ból. Za każdym razem kiedy taka chłopak widzi swoją ukochaną z innym mężczyzną jego serce jest przebijane na wskroś wibrostrzem. Powstaje wielka rana, która się zabliznia i otwiera i tak wkoło. Cierpienie znany dobrze fundament wszechświata był zawarty w każdym aspekcie naszego życia. Miłość miała go w sobie bardzo dużo i to sprawiało, że to uczucie stawało się wyjątkowe. Było także pełne sprzecznych w sobie rzeczy. Radość mieszała się ze smutkiem... Euforia z niewyobrażalnym cierpieniem... Młody Jedi teraz właśnie poznał jak ono naprawdę wygląda. Chciał, żyć dalej, aby cieszyć się szczęściem wraz z Anelim. Jednak nie miał już pewności ile mu zostało czasu.

„Czas przepływa mi przez palce...” – myślał.

Jakąś godzinę później jak już spakowali wszystkie rzeczy ruszyli w dalszą podróż. Po przedarciu się przez gąszcz krzaków doszli do góry. Kiedy się spojrzano w górę nie można było dostrzec szczytu. Nagle dobiegł ich z tyłu przeraźliwy ryk jakiegoś zwierzęcia. Potem kolejne z różnych stron.

– Wspinamy się do góry. Myślę, że nie chcemy poznać tych którzy tak ryczą.

– Masz rację! – odparła Anelim i zaczęła się wspinać.

Arnit ruszył od razu w jej ślady. Była lepsza w wspinaczce niż mógłby przypuszczać.

Chłopak z Korelii będąc już w połowie drogi spojrzął w dół i zobaczył dziwne zwierzęta warczące i patrzące w góry. „Mam nadzieję, że nie umieją się wspinać” – pomyślał.

Niespodziewanie zwierzę podskoczyło i przednimi łapami złapało się ściany. Zaczęło powoli

wdrapywać się po niej szybko ich doganiając. Wyglądały bardzo dziwnie. Otóż ich pyski było owalne i nie można było dostrzec żadnych kłów. Oczy zielono-purpurowe patrzyły na nich z zawartą rządzą krwi. Łapy, które Arnit uważał za przednie okazały się jedynymi, ponieważ z tyłu nie było żadnych nóg. Było tylko cielsko pokryte pomarańczowym śluzem, dzięki któremu potwór mógł posuwać się do przodu. Jedi wraz z towarzyszką przyspieszył swoją wspinaczkę. Arnit wyciągnął blaster i wystrzelił w kierunku goniących ich bestii. Jedna niespodziewająca się niczego dostała strzał prosto w oko. Rana puściła się skalnej ściany i spadła na dół. Druga bestia nie zaprzestała pościgu. Jedi wraz z towarzyszką przyspieszyli. Po jakiejś chwili dotarli do półki skalnej. Ujrzeni jaskinie ciemną i ponurą. Docierał z niej dziwny zapach zgnilizny. „Jaskinia z mojej wizji” – pomyślał. Pobiegli w jej stronę, lecz Jedi zatrzymał się nagle słysząc, że bestia dogoniła ich. Rzucił plecak do dziewczyny i wyjął miecz świetlny od razu go włączając. Spojrzał na potwora wzrokiem pełnym pewności, ale i nieodgadnionej desperacji.

– No choć bestio. Zobaczmy na co się stać... – krzyknął.

Potwór oglądał go dokładnie jakby oceniając z której strony ugryźć, żeby był najsmaczniejszy. Jedi patrzył na niego i czekał na pierwszy ruch. „Jedi nigdy nie atakuje pierwszy, On się tylko broni” – pomyślał. Potwór zaatakował skacząc na niego z ostrymi pazurami. Chłopak zrobił unik i przeciwnik uderzył z całym impetem w skałę. Zauważył lekkie zdezorientowanie wroga toteż zaatakował. Cięciem od dołu obciął mu łapę na co potwór zareagował piskliwym rykiem. Następnie ciecie z obrotu przeciął mu szyję i wbił miecz w cielsko w miejsce gdzie miał nadzieję przebić serce. Ucieszył się kiedy dostrzegł, iż bestia przestała oddychać. Zgasił broń i poszedł w kierunku kobiety.

– Nic ci nie jest? – spytał.

– Nic. Chodźmy zanim inne bestie nie przyjdą.

Weszli do środka zapalając prowizoryczną pochodnię. W środku panowała wielka wilgoć i roznosił się parszywy odór zgnilizny. Przeszli z dwieście kroków idąc cały czas naprzód i niestety nic nie znaleźli. „Gdzie iść? Którędy?” – zastanawiał się. Otworzył się na Moc, która przepłynęła przez niego dodając jego zmęczonemu ciału siły i energii, która coraz szybciej zniknęła. Nagle coś przykuło jego uwagę, a mianowicie był to błysk w ścianie. „Durastal pośrodku góry???” – myślał. Podszedł powoli i odgarnął obrastające to rośliny. Była to durastal pokryte dziwnymi znakami. Ręka jechał po ścianie w dół dochodząc powoli do jakiegoś zagłębienia. Przycisnął coś i rozległ się wielki hałas w całej jaskini. Anelim stała za nim i czekała na rozwój sytuacji. Arnit cofnął się o krok i patrzył. Ściana powoli się rozsunęła otwierając drogę do długiego korytarza. Jedi przeszedł próg rozglądając się uważnie. Anelim szła tuż za nim. Spojrzał na nią z uczuciem i wdzięcznością, lecz wielki ból prawie mu rozsadzał głowę. Głos przemówił: „Zabij ją... Zabij ją...”. Mimowolnie sięgał po miecz świetlny co wzbudziło zaniepokojenie dziewczyny.

– Nic ci nie jest? Arnit!? – krzyknęła.

Chłopak nic nie słyszał. Głos huczał w jego umyśle mówiąc cały czas te same słowa. „Zabij ją... Zabij ją...”. Arnit wiedział, że nie mógł tego zrobić. Był silniejszy od głosu, choć tylko mu się tak wydawało. Po jakimś czasie ocknął się i dostrzegł, że leży gdzie daleko w korytarzu do którego wszedł. Nie widział nigdzie dziewczyny.

– Anelim, Gdzie jesteś?? – krzyknął.

Odpowiedzi nie otrzymał. Nagle zza jego pleców syknął złowieszczy głos.

– Tutaj jest mój młody Jedi...

- Ty... – wyszeptał widząc postać.
- Dawno żeśmy się nie widzieli.
- Gdzie ona jest?! – krzyknął z gniewem w głosie.

Po chwili dopiero dostrzegł leżącą nie opodal dziewczynę. Była nie przytomna, ale żyła. „Na szczęście” – myślał. Spojrzał na postać stojącą siedem kroków przed nim. Była to postać do której czuł szczerą nienawiść.

- Czas zakończyć to co zaczęliśmy Arnit! – mówił włączając miecz świetlny.
- Jeden z nas przeżyje... – rzekł czyniąc to samo.
- Jestem silniejszy niż przedtem. Zginiesz Jedi – Zobaczymy...

Podeszli do siebie. W jaskini rozlegał się syk dwóch mieczy świetlnych. Panowała atmosfera wielkiego napięcia jakby miała zaraz wybuchnąć. Jedi stanął w pozycji bojowej i wysunął oręż do przodu. Jego przeciwnik w czerwono-białej zbroi spokojnym krokiem podszedł do chłopaka. Ich miecze skrzyżowały się tak samo jak ich spojrzenia. W wzroku jedi można było dostrzec determinację i chęć krwi. Pragnął on tylko zemsty. Pragnął on jego śmierci.

– Jesteś gotów na pojedynek? – zapytał.

– Tak jestem! Będzie to twój koniec!

– Śmiech we mnie wzmaga jak słyszę twe słowa. Pycha przez ciebie przemawia. Czy to jest cecha Jedi? Zbyt wielka ufność w swoje umiejętności to przyczyna zguby wielu wielkich mistrzów.

– Ciekawe jestem czy jesteś w walce na miecze tak dobry jak w szermierce słownej.

Wyczuwam w tobie niepewność. – zaczął Anit – No i co z tego? Co wyczuwasz nie jest istotne. Walcz!!

Mężczyzna w zbroi zadał kilka ciosów z lewej strony, które jedi skutecznie zablokował.

Odpowiedział mu cięciem z prawej, pchnięciem i mocny ciosem z góry, który także był sparowane. Z pół obrotu Arnit zaatakował go pragnąc oderwać mu głowę od tułowia. Jednak jego ostrze trafiło na miecz przeciwnika. Rozległ się syk stykających się mieczy świetlnych.

– Jedi, nie masz szans! Zginiesz! Dołączysz do swojej rodziny – zaśmiał się.

– Zabije Cię!!! – krzyknął.

Gniew wezbrał w nim dodając mu sił. Ciosy jednak pod wpływem kompletnie nie kontrolowanego gniewu były chaotyczne i bez trudu parowane. Uśmiech zagościł na twarzy Ciemnego Jedi. Wyszedł teraz z kontrą cięciami z góry i z dołu, lecz zostały zatrzymane przez oręż Arnita. Walka wyglądała jak pewien rodzaj tańca. Wszystkie ciosy mierzone natrafiały na broń wroga. Każdy krok dokładnie wymierzony. Wszystkie synchronicznie zgrane. Jednak nie był to taniec, lecz walka na śmierć i życie. Była to jakby odwieczna walka dobra ze złem, jasnej strony z ciemnej stroną, lecz pytanie brzmiało który z tych wojowników był po której stronie. Jedi cofał się w stronę korytarza, który przed paroma chwilą otworzył. Atak Ciemnego Jedi był skuteczny, widać było, że znalazł się na szermierce. Nagle ku wielkiemu zdziwieniu Arnita postać jego wroga rozplynęła się w powietrzu. Jedi rozglądął się wokoło, lecz postaci nie widział. W końcu dostrzegł uciekającego mężczyznę, który biegł w głębi korytarza. Ruszył od razu za nim w pogoń. Dziwił się, że nie dostrzegł nigdzie Anelim.

„Pewnie gdzieś się schowała” – pomyślał. Biegł korytarze w różne strony chyba z dwadzieścia minut i w końcu zobaczył koniec podróży. Korytarz wychodził na wielki wewnętrzny plac. Można było zauważyć wielkie posągi pięknej roboty. Wyszedł i ujrzał mężczyznę w czerwono-białej zbroi trzymającego Anelim.

– No choć Jedi... Jak ci zależy na twoje towarzyszce... – syknął.

– Nie jej nie rób!!

– Ona pierwsza spotka się z twoją rodziną...

Uderzył ją i rzucił na ziemię. Kobieta legła nieprzytomna. Arnit spojrział na niego z szczerym czystym gniewem – Zginiesz – wycodził.

Rzucił się na niego zadając serie ciosów. Znow doszło do zwania co zaowocowało gradem iskier z stykających się ostrzy.

– Teraz powalczmy na poważnie...

– Nie ma śmierci... Jest Moc... – wyszeptał Arnit.

Tymczasem na Coruscant Rex wraz z jego mistrzem Oruunem kierowali się do wyjścia z ambulatorium. Jednak zostali szybko zatrzymani przez Mistrza Jedi Kit'a Fisto.

– Witajcie! Chodźcie ze mną – powiedział Kit 2

– Co się stało? wyglądasz na zaniepokojonego – rzekł Oruun.

– Chodzi o Kretha Malwila. Został on niedawno przywieziony z Revost w dziwnym stanie śpiączki.

– Czy wiadomo co się stało?? – zaciekał się Rex.

– Niestety tylko mamy relację osoby, która go przywiozła. Wdał się on w walkę z jakimś przeciwnikiem dobrze władającym mieczem świetlnym. Potem coś wymówił i Kretha prawie zginął. Jednak został uratowany.

– Dziwne rzeczy. Czy ktoś został już wysłany, żeby wyjaśnić tą sprawę? – spytał Oruun.

– Dobrze, że o to pytasz – uśmiechnął się Fisto – Chciałbym, żebyś wraz z Rexem tam poleciał i dowiedział się wszystkiego co tylko możliwe. Co ty na to?

– Jasne, polecimy. Czy odkryliście jak pomóc Krethowi??

– Niestety nie... Mamy nadzieję, że coś znajdziecie na Revost. Jak spotkacie tego napastnika najlepiej przywieźcie go żywego. Musi odpowiedzieć na kilka pytań.

– Niech Moc będzie z Tobą – wyrecytował Oruun.

Pożegnali się i Oruun wraz z Rexem udali się od razu do portu, żeby wyruszyć na Revost. „Kim był ten tajemniczy napastnik?” – zastanawiał się Mistrz Jedi.

Orbita Kashyyk planety Wookiech. Z nadprzestrzeni wylaniają się dwa statki i powoli suną przez czerń kosmosu w stronę planety. Byli to Risk i Akinoma Ikiv podążający na pogrzeb Lelobacca. Udali się do Rwookrrorro miasta znajdującego się na szczycie grupy ciasno rosnących wroshyrów i uznane za jedną z najpiękniejszych metropolii planety.

Zajmowała obszar ponad kilometra kwadratowego, miała szerokie ulice i wielopoziomowe budowle. Osadzone było na splecionych gałęziach drzew, a niektóre budynki wbudowane były miejscami w pnie. Część otworów drzwiowych dostępna była wyłącznie za pomocą wspinaczki, co Wookieemu nie sprawiała żadnej trudności. Wylądowali i już na nich czekał Talon Karrde wraz z kompanią. Dostrzec można było także bardzo liczną grupę Wookiech wchodzących w skład komitetu powitalnego. Akinoma podeszła do Talona i czule go uścisnęła z trudem powstrzymując łzy. Jeden z Wookiech podszedł do nich i ku ich zdziwieniu zaczął mówić w łamanym wspólnym.

– Witajcie! Ceremonia zacznie się za trzy standardowe godziny. Teraz czas nadszedł odpoczynku i posilenia się.

– Kim jesteś? – zaciekała się Akinoma.

– Moje imię brzmi Loop. Jestem mistrzem Jedi i zarazem dalekim krewnym Lelobacca.

– Jak to się dzieje, że mówisz we wspólnym?? – zdziwił się Risk.

– To bardzo proste. Mam bardzo rzadką wadę strun głosowych występującą u Wookiech raz na wiele pokoleń. Temu też mogę prawie normalnie z wami porozumiewać się we wspólnym. Na rozmowę przyjdzie jeszcze czas. Chodźcie.

Udali się do miejsc, gdzie odpoczną i najedzą się do syta. Pogrzeb Lelobacca miał odbyć się za kilka godzin. Oprócz wielu istot spoza Kashyyku na ucztę przybyło wielu Wookiech z różnych części planety. Był tam między innymi niski i krępy o szarym futrze Attichitcuk, którego i tak wszyscy zwali Itchy. Przybył on wraz ze swoim synem Chewbacą. Akinoma rozmyślała nad śmiercią Lelobacca i nad swoim nowym towarzyszem, którego zostawiła na Coruscant. Odpłynęła kompletnie myślami, z tego miejsca, że aż nie zauważyła jak dziwnie wpatruję się w nią Risk. Mężczyzna patrzył na nią tak jak samiec Rerarrk z Vastar, który podczas okresu godowego oglądał samice. Jednak do końca tak nie było, ponieważ był on człowiekiem i nie mógł jej po prostu wziąć. Był pewien, że Karrde by go za to na miejscu zabił toteż chciał powoli, aczkolwiek subtelnie zdobyć jej względy. „Nie minie długi czas, a będziesz moja Akinomo” – pomyślał.

Słońce zachodziło nad Coruscant. Tajemnicza postać idąca w kierunku apartamentów dla bogaczy spojrzała na słońce. Chwile później była ciemność. Osoba przyspieszyła kroku i po jakiejś chwili była już wewnątrz. Miejsce to zajmowali przedstawiciele Trójprzymierza Valasos. Szła ona powoli, tak aby nikt jej nie dostrzegł. Nagle usłyszała kroki nadchodzące z za zakrętu. Przyłgnęła do ściany unieruchamiając wszystkie mięśnie i prawie nie oddychając.

Wyszli dwaj strażnicy na rutynowym patrolu po korytarzach. Jeden skręcił w lewo drugi natomiast w prawo w kierunku postaci skrytej w cieniu. Chwilę później strażnik, który poszedł korytarzem na lewo znikł z za zakrętem, lecz ku wielkiemu niezadowoleniu skrywającej się osoby ten bliższy przystanął prawie przed nią i podziwiał widok za oknem. „Trzeba działać” – pomyślała tajemnicza osoba. Wyjęła mały, lecz ostry szpikulec i wyłoniła się z cienia nie wydając żadnego dźwięku. Szybkim ruchem chwyciła strażnika za usta, żeby nie krzyczał i wbiła mu narzędzie wprost w szyję. Mężczyzna szamotał się krótko. Kiedy jego oczy zaczęły wypływać z gałek znaczyło, że umierał. Na twarzy postaci namalował się złowieszczy uśmiech pełen satysfakcji. Zaciągnęła zwłoki do najbliższego pomieszczenia, które okazało się magazynem. Tam pod stertami różnych śmierci zostawiła zwłoki i poszła dalej. Po sporym czasie i cichym ominięciu kilku strażników postać doszła do celu. Był to apartament najbardziej bogato ustrojony w całym budynku. Po cichu drzwi zostały otworzone i postać wślizgnęła się do środka zamykając je za sobą. Dostrzegła strażnika śpiącego na krześle.

Zrobiła z nim to samo co z poprzednim wbijając śmiertcionośny szpikulec wprost w szyję.

Kilka chwil i strażnik nie żył. Poszła postać wprost do sypialni, gdzie spała kobieta. Osoba weszła na łóżko i przyklękała obok kobiety łapiąc ją za usta. Zdezorientowana dziewczyna otworzyła oczy i chciała krzyżeć.

– Nie krzycz Magato... Nikt Cię nie usłyszy... – wyszeptał głos należący do mężczyzny w średnim wieku.

– Kim jesteś? – spytała.

– Przesyłam pozdrowienia od Księcia...

Wyjął inne narzędzie wyglądające podobnie do poprzedniego szpikulca. Wbiła je natomiast w rękę wpuszczając w krwioobieg jakąś tajemniczą substancję. Kobieta legła na łóżko nie przytomna.

ROZDZIAŁ 10

Na orbicie Revost dwa myśliwce klasy Delta 7 wyłoniły się z nadprzestrzeni. Byli to Mistrz Jedi Oruun wraz ze swoim Padawanem młodym Rexem. Lecieli oni rozwikłać tajemniczą zagadkę napastnika z którym walczył Kreth Malwil. Wylądowali tam też gdzie on wylądował i udali się do pobliskiego miejsca, gdzie będą mogli wynająć przewodnika.

„Mamy szukać jakiejś groty” – pomyślał. Doszli do miejsca zwanego po prostu „Przylądek Przewodników”. Taki ośrodek znajdujący się w każdym mieście, gdzie za odpowiednią sumę można było wynająć przewodnika. Weszli do środka i dostrzegli niskiego i opasłego człowieka, który wycierał spocone czoło brudną chustą. Kiedy ich dostrzegł uśmiech zagościł na jego twarzy.

– Witajcie przybysze! W czym mogę pomóc? – zaczął słuźalczym tonem.

– Chcielibyśmy wynająć przewodnika. Dobrego, lecz nie na zbyt drogiego. – odparł Oruun.

– Przewodnika oczywista to rzecz. Zaoferuje wam za średnią cenę najlepszego jakiego akurat mam dostępnego. Zwą go Nairod. Jest Zazzmirem, co jest bardzo ciekawe, ale nie będę was zanudzał opowieściami o tej rasie. Chcecie go?

– Ile? – zapytał Mistrz Jedi.

– Marne 500 Republikańskich Kredytów.

– Dobra bierzemy go.

– Dziękuję bardzo.

Wyszli na zewnątrz czekając na przewodnika imieniem Nairod. Po chwili wyszła istota średniego wzrostu o beżowej skórze i czarnych włosach. Oczy jej całe czarne bez kropli bieli patrzyły na dwóch Jedi z ciekawością. Ukłonił się lekko przed nimi i zaczął.

– Dokąd chcecie iść? Czy jakieś specjalne miejsce odwiedzić?

– Czy znajduję się tutaj jakaś grota? – zaciekał się Oruun.

– Tak jest legendarna grota Maleer Na'dek. Czy chcecie poznać jej historię?

– Nie dzięki, lecz możesz nas tam zaprowadzić.

– Chodźcie za mną w takim bądź razie.

Udali się do groty wolnym krokiem. Pogoda była ładna, a miejsce znajdowało się nie daleko, toteż postanowili iść piechotą. Jednak nie dostrzegli postaci, która obserwowała ich z ukrycia.

„Znowu Jedi” – pomyślała postać. Można było wyczytać z jej twarzy, że patrzy na dwójkę przybyszów z Coruscant z odrazą, wręcz obrzydzeniem. Sprawdził czy dwie rękojeści były mocno przypięte do pasa i ruszył za nimi niczym nie zauważany cień.

Jedi po jakiejś godzinie marszu dotarli do groty. Przewodnik po skrócie im opowiedział jej historię. Oruun podszedł bliżej wnikliwie oglądając grootę. Rex natomiast został wraz z Nairodem słuchając ciekawie jego historii. Mistrz Jedi wszedł do groty i wyczuł coś co go zaniepokoiło. „Ciemna Strona Mocy... Ciekawe czy Kreth Malwil też to wyczuł?” – pomyślał. Nagle błysk przykuł

jego uwagę. Podszedł do niego i dostrzegł w nim rękojeść miecza świetlnego. Nie była to broń Malwila, więc musiała należeć do tego tajemniczego wroga z którym walczył, lecz pytanie brzmiało gdzie on mógł teraz być. Nic innego nie znalazł, więc wyszedł z powrotem. Udali się w kierunku miasta, gdzie chcieli się posilić.

Kiedy dotarli do restauracji ich przewodnik oddalił się załatwić swoje sprawy. Zgodnie z umową miał powrócić za jakąś godzinę. Dwójka Jedi zamówiła specjał tego lokalu będący dziwnym zielonkawym mięsem w pomarańczowej galarecie. Gdy młody Rex dotknął galarety ona ruszyła się i chciała uciec z talerza.

– Polej ją sosem Makhil. Zginie od razu – rzucił kucharz widząc problemy Jedi. Nie ukrywał przy tym wielkiego rozbawienia.

– Dzięki – krzyknął Padawan w odpowiedzi.

Zrobił to i galaretka po chwili przestała się ruszyć i można było ją zjeść, lecz Jedi nie miał już na to ochoty. Nie był przyzwyczajony do jedzenia tak dziwnych potraw. Nagle na ich stół została rzucona postać. Po chwili Jedi zorientowali się, że to był ich przewodnik Nairod, lecz kompletnie bez życia. Spojrzeli w stronę z której przyleciało ciało i dostrzegli istotę wpatrującą się w nich z odrazą. Chwytała za rękojeści mieczy świetlnych zapalając je od razu.

Spojrzeli na niego zdezorientowani klienci lokalu.

– Może wyjdziemy na zewnątrz? – zaproponował Oruun.

– Wyjdźmy – odparła Istota.

Wyszli na zewnątrz stając przed lokalem. Jak to w takich sytuacjach bywało wokół zrobił się wielki tłum gapiów zaciekawionych zaistniałą sytuacją. Stała trójka wojowników naprzeciw siebie z orężem w dłoni. Nie miała to być walka rzeźmieszków, którzy bez honoru strzelali sobie blasterami w plecy. To będzie walka wojowników w prawdziwym znaczeniu tego słowa. To nie byli zawadiacy walczący w zwykłej bójce. To byli rycerze pojedynkujący się w honorowej walce na śmierć i życie.

– Rex stój z tyłu. Obserwuj. Ucz się. Odczytaj jego styl walki. Tak jak Cię uczyłem mój Padawanie. – rzekł Oruun zdejmując płaszcz.

– Tak mistrzu. Uważaj na siebie. Niech Moc będzie Z tobą!

– Wiesz, że będę – wziął głęboki oddech i zwrócił się do swojego przeciwnika – Jak mam z Tobą walczyć to chociaż podaj swe imię i przyczynę dla której chcesz pojedynku.

-.Jam jest Anuid’Kel. Walki domagam się z Tobą tu i teraz. Wyjdzie z nas tylko jeden żywy. Przyczynę? – uśmiech pojawił się na jego twarzy tak złowieszczy, że aż niektórym istotom dreszcze przeszły po plecach. – Zabijanie Jedi jest nie lada rozrywką...

– Walczmy zatem...

Anuid’Kel włączył jeden swój miecz świetlny. Stał w pozycji do ataku na szeroko rozstawionych nogach. Oruun także uruchomił swą broń i można było podziwiać jego zielone ostrze. Syk dwóch mieczy rozlegał się w promieniu najbliższego kilometra bądź dwóch. Poza tym była tylko cisza. Nikt nie ośmielił się nawet wydać dźwięku, a oddychali jak najciszej.

Dwójka wojowników stała i patrzyła uważnie na siebie mocno trzymając w rękach broń.

Oruun skupiał się i otwierał na przepływ Mocy. Nie był on może wyśmienitym szermierzem, lecz co nieco o walce na miecze wiedział i sądził, iż zwycięży w tym pojedynku. Anuid’Kel zaatakował pierwszy biegnąc wprost na przeciwnika. Oruun nie patrząc na nic uczynił to samo. Biegli na siebie myśląc o tym samym, a mianowicie jak zadać cios, żeby był śmiertelny. Doszło do zvarcia, miecze

się skrzyżowały. Anuid'Kel zadawał mocne dobre wymierzone cięcia celując w głowę. Jednak Oruun parował je znakomicie nie dając ostrzu szansy dotarcia do celu. Wyszedł z kontratakami cięciem z dołu pragnął pozbawić mobilności swojego przeciwnika, lecz niestety przeliczył się. Anuid'Kel podskoczył nad ostrzem Oruun mocno kopiąc go w głowę, lekko go zdezorientując. Mistrz Jedi upadł na ziemię sięgając ręką do miecza, która leżał tuż obok. Jego przeciwnik nie czekał jak wstanie i podbiegał chcąc zabrać życie. Oruun wstał i wzmocnił swoją łączność z mocą. Miecz w jego dłoni zaświecił żywym blaskiem i kolejny atak wroga został odparty. Cięcie z lewej, pchnięcie, obrót i cięcie z prawej. Wszystko to mroczny wojownik doskonale parował, i tylko czekał na okazję. Na błąd w obronie, a praktycznie na lukę w którą mógłby wbić ostrze. Oruun czuł się coraz pewniej i atakował coraz śmieiej. Zamachnął się mieczem od siebie widząc już jak jego ostrze przecina gardło wroga pozbawiając go życia. Jednak tak się nie stało, wróg padł na ziemię jakby tego oczekiwał. Szybko wstał widząc lukę, której szukał i wbił w nią swoje ostrze, które bez problemu przebiło skórę i organy wewnętrzne zadając straszliwy ból. Malowało się ogromne zdziwienie na twarzy mistrza Jedi, który nie spodziewał się takiego obrotu sprawy.

Jednak czy to teraz miało znaczenie? Zadana została mu śmiertelna rana, a pomoc raczej nie zdążyłaby na czas. Całe jego życie przeszło mu przed oczyma, od chwili jego narodzin, przez najszcześniejsze momenty jako Jedi, aż do teraz. Padł na ziemię oddychając ciężko i zarazem płytko.

Kolejna śmierć... Kolejne istnienie ginie... Co będzie z nim dalej? Czy połączy się z wszechobecną mocą? Mistrz Jedi wiedział, że umierał. Dostrzegł kątem oka, że w sekundzie jak upadł przeciwnik cofnął się o dwa kroki zagaszając miecz. Podbiegł do niego jego Padawan Rex krzycząc: „Nie”. Wyczuwał od niego emanujący ból i niepokój.

Czas naszym wrogiem...

Czas przepływa przez palce...

Czas uciekał mistrzowi Jedi i miał on tego pełną świadomość. Chciał tyle jeszcze swojego ucznia nauczyć, lecz brakowało mu czasu. Los chciał inaczej dla niego. Było mu pisane umrzeć tu i dzisiaj. Smutek przechodzący w rozpacz... Czuł dokładnie to w sercu w tym samym momencie. Kiedyś zastanawiał się co będzie czuć w momencie swojej śmierci. Czy będzie się bał? Oruun znał dobrze fundament wszechświata, którym było cierpienie. Chciał dla swojego ucznia jak najlepiej, lecz w tej chwili nie wiedział nawet czy jego uczeń przeżyje.

– Mistrzu! Mistrzu! – krzyczał przez łzy młody Rex.

– Rex... Zawsze będę z tobą... – jego głos był ledwo słyszalny, nie był to nawet szept – Jestem z ciebie bardzo dumny... Pamiętaj... – grymas bólu pojawił się na jego twarzy – Mistrzu nie umieraj! Proszę... – błagał Padawan.

– Nie ma śmierci... Jest Moc... – wyszeptał i życie opuściło jego ciało.

Słowa mistrza Oruuna huczały w głowie młodego Padawana. „Nie ma śmierci... Jest Moc”

słowa będące podstawą kodeksu Jedi. Co teraz się dzieje z jego mistrzem? Czy przestał istnieć? Czy też stał się częścią Mocy? Rex patrzył przez łzy na ciało swojego nauczyciela.

Jego wzrok przesunął się na lewo na postać jego mordercy, który stał i w szyderczym uśmiechu patrzył na niego.

– Wstawaj mazgaju i walcz. – wycedził Anuid'Kel.

– Ja... – przetaił ręką oczy zalane łzami. – Nie jestem mazgajem...

– To się okaże jak będziesz błagał mnie o litość... dzieciaku...

– Nie jestem dzieckiem! Jestem Jedi! – krzyknął Rex sięgając po miecz świetlny i zapalając go.

Ku jego przerażeniu gniew opanował całe jego serce, lecz nie tylko. Było coś jeszcze oprócz gniewu. Oczywiście smutek po śmierci mistrza miał tam swoje stałe miejsce od niedawna, ale co jeszcze to było Rex nie mógł wyjaśnić. Oddał się we władanie Mocy. Nagle wszystkie uczucia... zmartwienia... emocje... Znikły w momencie jak przepłynęła przez niego Mocy, lecząc rany psychiczne, które przed chwilą zadał mu mroczny wróg. Był jak w transie widząc jeden cel w postaci Anuida'Kela. Nie zważał na to czy umrze czy przeżyje, czy zwycięży, czy też przegra. Przecież każdy kiedyś musi umrzeć... A pytanie brzmi tylko Kiedy i Jak. Jednak jak możemy wybrać sobie śmierć czy to nie byłoby lepsze? Czy śmierć z mieczem świetlnym w dłoni walcząc na śmierć i życie nie byłaby godniejsza od śmierci jako starzec w łożu wsłuchując się w swoje bicie serca, która byłaby wolniej i coraz wolniej, aż zatrzymałoby się i istota by zmarła. Rex zawsze należał do niecierpliwych i raczej impulsywnych uczniów i teraz było to bardzo widoczne. Nie myśląc nad taktyką zaatakował szybkimi cięciami raz z lewej, raz z prawej. Szyderczy uśmiech na twarzy przeciwnika mówił wszystko jak traktował pojedynek z młodym Jedi. Była to dla niego prawdziwa frajda. Miecz trzymał w lewej dłoni bez trudu parując ciosy Rexa. Jednak padawan nieżyjącego mistrza Jedi był ambitny i niewątpliwie nieustępliwy. Atakował z coraz większą zawziętością, lecz także bardziej odpływał świadomością. Czuł, że walczy, jednak wiedział, że to Moc kieruje jego dłońmi dodając im zwinności i szybkości. Anuid'Kel z pół obrotu kopnął młodego Jedi w brzuch i ten upadł na jedno kolano z grymasem bólu na twarzy. „Cierpienie fundamentem wszechświata... Ból jego częścią... Musze zaakceptować ból jako część życia... Nie można bać się cierpienia... Poprowadzi to do zguby. Cierpienie fundamentem mojej osobowości...

Akceptuje je jako moją część” – myślał Rex. Wstał i rzucił się z prawdziwą furią na mrocznego przeciwnika zadając lepsze i bardziej wyważone ciosy. Po czterech z lewej i jednym z prawej Anuid'Kel prawie stracił miecz świetlny z dłoni toteż złapał go dwoma rękami walcząc już na poważnie. Był lekko pod wrażeniem młodego Jedi, lecz czuł wewnątrz wielką pewność, że to mu nie wystarczy. Rex atakował, z każdej strony zamachnięcia mieczem świetlnym, specjalnie zataczał mały łuk, żeby za bardzo nie odkryć się. Kontratak Anuid'Kela była precyzyjny i pełen profesjonalizmu. Zaatakował go szybkimi uderzeniami z prawej i z lewej, lecz były one przyjmowane na ostrze przeciwnika. Doszło do zwarcia, aż iskry wyleciały z dwóch zetkniętych świetlnych ostrzy.

– Jestem pod wrażeniem! Zginiesz z Honorom Młody Jedi – wymówił.

– Zobaczymy! – odparł nie chcąc wdawać się w niepotrzebne szermierki słowne.

Najważniejsza dla niego była tylko walka na której skupił całą swą uwagę. Zamachnął się z lewej celując w prawe ramię Anuida, lecz ten zrobił podobny manewr jak w walce z Mistrzem Oruunem. Wszyscy oglądający to jakby nie nazwać widowisko, myśleli, że pojedynek będzie właśnie rozstrzygnięty. Jednak zapomnieli o tym, że nie można było nikogo nie doceniać. Każda istota jakby nie wyglądała, kim by nie była miała w sobie ogromny potencjał, którego nie widać na pierwszy rzut oczu. Potencjał, który może przenosić góry.

Gdy Rex dostrzegł co czynił jego przeciwnik dzięki mocy podskoczył do góry w momencie gdy Anuid'Kel padał na ziemię. Trwało to ułamek sekundy, lecz to wystarczyło, żeby stało się to co przygotował dla tych dwojga nieubłagany los. Gdy Jedi upadał na ziemię za leżącym przeciwnikiem on powoli się podnosił. Dla Rexa wszystko działo się jakby wolniej, jakby każda sekunda trwała minutę. Gdy Anuid'Kel był na już na nogach młody Jedi złapał na dół rękojeści i skierował ostrze za plecy. Usłyszał cichy jęk, jak jego miecz świetlny przebił przeciwnika na wylot. Szybkim ruchem wyciągnął ostrze i zgasił je. Odwrócił się w

momencie gdy jego wróg padał na ziemię. Podszedł do niego i spojrzał w jego oczy, pełne grozy. Dostrzegł dziwny uśmiech na jego twarzy sugerujący Rexowi, że to był prawdziwy szaleniec.

– Gratuluje... zwyciężyłeś – wyszeptał krztusząc się od wewnętrznego krwotoku.

– Czemu się śmiejesz? – zdziwił się młody padawan.

– Nigdy tego nie zrozumiesz. Śmiać się do śmierci to nie jest oznaka szaleństwa...

Jakbyś poznał tak dogłębnie fundament wszechświata jak ja byś to rozumiał... ale... – nie dokończył ponieważ oddał ducha. Pusta powłoka cielesna leżała bez życia.

Zdyszany Jedi uklęknął na ziemi łapczywie oddychając. Patrzył na leżącego przed nim trupa mordercy jego mistrza. Gniew zmagął się w nim z niewyobrażalną siłą. Czuł jak go powoli opanowywał. Nagle w głowie rozległ się głos Mistrza Oruuna jakby wspomnienie, który mówił: „Nie ma gniewu... Jest spokój. Gniew prosta ścieżką ku ciemnej stronie”. Rex sięgnął po Moc pozwalając jej wlać się w niego i znaleźć trawiącego go pasożyta. Tym robakiem był gniew, który wyszedł z ukrycia, żeby zawładnąć ciałem. Moc jednak go dopadła i unicestwiła w zarodku. Gniew zniknął tak szybko jak się pojawił. Jedi wstał i podszedł do ciała swojego Mistrza. Schylił się i wziął je na ręce udając się od razu do portu, żeby przywieźć ciało prawdziwego Jedi na Coruscant. Dla niego Mistrz Oruun był uosobieniem marzeń. Był tym kim zawsze chciał być. Prawdziwym Rycerzem Jedi, który umarł z mieczem świetlnym w dłoni. Anuid’Kel rzekł do niego, że nie znał Fundamentu Wszechświata. Chociaż zabił on jego mistrza był mu wdzięczny bo dzięki niemu poznał ten fundament. Było to prawdziwe cierpienie przeradzające się w agonalny ból. Cierpienie kształtowało od wieków... Teraz dopiero młody Jedi to pojął od razu akceptując Śmierć nie była końcem, lecz początkiem...

Łzy popłynęły strumieniem po policzku. „Nie ma śmierci... Jest tylko Moc...” – wyszeptał.

Kobieta spała w łóżu mając dziwny sen. Szła ciemnym korytarzem rozglądając się.

Nagle z czerni korytarza przed nią otworzyły się wrota wpuszczając trochę światła. Wyszła z nich postać mężczyzny, którego nie znała ani nigdy nie widziała na oczy. Uśmiechnął się do niej i dał znak ręką, żeby weszła do środka. Tak też zrobiła z lekką obawą w sercu. Gdy przeszła ciemny korytarz zmienił się w całkiem biały. Postać za nią zamknęła drzwi i stała nie ruchomo.

– Witaj piękna niewiasto, Czy jesteś gotowa? – spytał.

– Gotowa do czego? – odparła zdziwiona.

– Gotowa do poznania swojej przyszłości. Gotowa do poznania prawdy o samej sobie.

Jesteś kimś ważnym – zakończył.

– Ja? nie bądź śmieszny. Zawsze byłam cichą, spokojną dziewczyną, której – załamał się jej głos – nikt nigdy nie zauważał, która nic praktycznie nie osiągnęła wielkiego w życiu jak na razie, więc czemu mówisz, że Jestem kimś ważnym? Co ty możesz o tym wiedzieć? he? – zdenerwowała się lekko na niego.

– Chcesz poznać swoją przyszłość?

– Tak – rzekła niepewnie.

Mężczyzna uśmiechnął się, a jego oczy robiły się całe czarne. Kobieta cofnęła się o dwa kroki nie wiedząc co się dzieje. Kiedy już jego źrenice otulone zostały całunem mroku dał znak ręką na lewo, żeby tam patrzył. Nagle z jego oczu zaczęły wylatywać roje równie czarnych owadów prosta na białą ścianę. Człowiek wydawał przy tym przeraźliwe ni to jęki ni to krzyki. Owady rozpryskiwały się na ścianie pokrywając ją czarną plamą, która roznosiła się na całą ścianę tworząc sześciokątną figurę. Potem postać rozplynęła się jakby nie będąc już potrzebną. W pomieszczeniu

rozległ się głos kobiety.

– Patrz... – zaczął głos.

Zobaczyła jakiegoś mężczyznę walczącego z drugim. W rękach trzymali broń Jedi. Obraz zniknął i pojawił się inny człowiek otulony w czarny płaszcz z kapturem zakrywającym mu twarz. Widać było szyderczy uśmiech jak spoglądał na swoich podwładnych, lecz kobieta go nie знаła ani nawet nie widziała go nigdy na oczy. Potem zobaczyła młodego przystojnego mężczyznę w krótko obstrzyżonych blond włosach z warkoczem zwisającym mu na prawym ramieniu. Nagle rozległ się głośny pisk. Kobieta z bólem upadła na ziemię łapiąc się za głowę. Głos przemówił: „Narodziłaś się, żeby umrzeć po to, żeby Oni się narodzili.

Wszystko rozstrzygnie się niedługo zaraz po Norcoloh Htis. Sen to tylko przedsmak śmierci.

Ten który śpi, musi się obudzić”.

Kobieta otworzyła oczy siadając na łóżku. Rozglądała się wokół patrząc gdzie znajduje się i na szczęście skojarzyła, iż był to tylko sen. Wiedziała, że znajduje się na planecie Sluis, gdzie była z wizytą w interesach. Była ona człowiekiem, średniego wzrostu o krótkich blond włosach. Pracowała dla konsorcjum Trast, które chciało zamówić kilka statków dla obrony planetarnej i do przewozu konwojów, ponieważ ostatnio często były one atakowane przez nędznych piratów. Ostatnio męczyły ją straszliwe koszmary i nie wiedziała o co w nich chodziło. Była nawet z wizytą u słynnego Bothańskiego psychologa, ale niestety także nic nie wskórał w jej sprawie. Położyła się i zamknęła oczy. „Zaraz trzeba iść do pracy” – pomyślała.

Kesaj siedział na fotelu i rozmyślał patrząc w gwiazdy. Wiedział, iż niedługo nastąpi to co tak długo planował. Cieszył się na tą myśl, że wkrótce osiągnie to o czym marzył. Jego pragnienie nie różniło się zbyt od pragnień innych istot w galaktyce. Chciał jednego, a mianowicie władzy. Była to rzecz pożądana przez wielu, lecz dużo istot tego nie osiąga. Od zarania dziejów grupy społeczne dzieliły się na rządzących i tych którzy byli podwładnymi.

Chodziło o to, że jedni mieli władze, a drudzy jej nie mieli. Jedna rzecz ich łączyła, każdy z nich chciał władzy. Znajdował się on na statku lecącym do stoczni Sluis Van, gdzie odbędzie się wielka konferencja poświęcona przyszłości stoczni budującej międzygwiazdne statki.

Będzie tam wielu senatorów Republiki wraz z Kanclerzem Palpatine’em. Kesaj sam był senatorem i ku jego uciesze był także oddelegowany na Sluis. Dzięki temu będzie mógł wykonać to co planował. Jak mu się uda to przejdzie do historii i zdobędzie szacunek. Inne możliwości niż sukces nie przyjmował. Był człowiekiem ambitnym i wytrwałym, który rzadko odnosił porażki. „Zwycięzę...” – pomyślał.

Arnit stał przepychając się w zwarciu wraz ze swoim przeciwnikiem. Patrzył na niego tak jakby chciał go zabić samym wzrokiem. Mężczyzna w czerwono-białej zbroi odpowiedział mu uśmiechy pełnym pogardy. Był pewny, że to on zwycięży. Jednak jak to często bywało z pewnością siebie była ona przyczyną porażki wielu wojowników. Arnit odepchnął go na ścianę i zadał cios z góry chcąc rozplatać go na dwoje, lecz ostrze trafiło na ścianę.

Przeciwnik niskim pchnięciem chciał przebić bok młodego Jedi, ale i on uniknął ciosu.

Jednak nie było to wystarczająco szybkie, ponieważ miecz przejechał mu lekko po starej ranie, która błysnęła krwią. Jedi poczuł ukłucie bólu, lecz był tak złączony z Mocą, iż nawet się nie zachwiał. Zrobił coś co jego przeciwnik się nie spodziewał, a mianowicie z obrotu kopnął go lewą nogą mocno w twarz. Cios był mocny i pewny toteż nieprzyjaciel upadł dezorientowany na ziemię. Młody Padawan chciał go wykończyć wbijając ostrze wprost w serce przesiąknięte złem, lecz nagle

coś rozwiało jego uwagę. Ku jego zdziwieniu przeciwnik znikł. Nagle z strony wejść do miejsca, gdzie się znajdował padły strzały z blasterów. Arnit kilkoma szybkimi ruchami odbił je i czym prędzej odwrócił się uciekając w przeciwną stronę.

Nowi przeciwnicy podążyli za nim. „Gdzie on uciekł??” – zastanawiał się. Biegł jeszcze chwilę i dostrzegł w końcu swojego najgorszego wroga. Stał z mieczem w dłoni i czekał. On biegł wprost na niego chcąc przebić go na wylot. Głos przemówił mu w umyśle: „Tak...

Zabij... Zabij...”. Ku jego zdziwieniu przeszedł jak przez hologram, a gdy obrócił się postaci nie było. Znajdował się w tym samym miejscu, lecz nowych przeciwników także nie dostrzegą. Głos zza pleców zwrócił jego uwagę.

– Czy już rozumiesz? – zaczął ślepiec.

– Znowu ty? Co się dzieje? Gdzie on zniknął? – mówił zdyszany Arnit.

– Ukrywa się przed Tobą...

– Czemu?

– Czuje, że jesteś dobrym przeciwnikiem. Bawi się tobą od początku i kontynuuje ją i teraz. Nic nie jest tym czym ci się wydaje. Oczy mamia... Pamiętaj patrzysz, lecz nie widzisz...

– Znowu zagadki masz tylko dla mnie? – zirytował się Arnit.

– Często zagadki mówią więcej niż bezpośrednia prawda. Czyż nie jest tak w istocie?

– Chyba masz racje. Co mam robić? Jestem na Salatan, ale nie wiem co tu szukać. Po co miałem tu przybyć? Poradź tak jak to dotychczas czyniłeś...

– Sny są od zawsze wielką zagadką wszystkich istot we wszechświecie. Pokazują nasze ukryte pragnienia... rządzą... a także często przyszłość...

– Przyszłość? – zaciekawiał się.

– W przypadku Jedi są to Wizje ukazywane dzięki Mocy. Ogólnie wy nie śnicie.

– Co mam tu szukać powiedz mi zanim odejdiesz! – krzyknął Jedi – Norcoloh Idej... początek nastąpi niedługo... bądź przygotowany...

Jedi chciał zapytać o coś jeszcze, ale zaniechał tego gdy dostrzegł, że ślepiec się rozplywa.

Usłyszał szybkie kroki biegnącej istoty. Zastanawiał się skąd dobiegał ten odgłos toteż rozglądnął się dookoła. Nagle przez nie do końca rozplyniętą postać ślepca przebiegł jego wróg z zapalonym mieczem w dłoniach. Zadawał silne ciosy z lewej i z góry, które zmuszały Arnita do cofania się i blokowania ciosów. Atakował z czystą furią rycząc jak zwierze.

– Znudziła mnie ta zabawa... Czas to kończyć Jedi... – rzucił do młodego Corelianina.

– Zabawa? Jest to dla Ciebie tylko zabawą? Zabicie mojej rodziny i wielu niewinnych osób też było dla Ciebie zabawą?! – powoli unosił swój głos.

– Tak! Dodam, że bardzo przednia zabawa. Teraz zabiję Cię, a twoje wnętrze posłużą za budulec obicia mojego fotela.

– Dlaczego Ja?! Dlaczego???

– krzyczał. Gniew wzmógł w nim z całkiem nową i obcą dla Jedi siłą. Zaczął odpychać jego ataki udanymi pchnięciami i cięciami z prawej. Jego przeciwnik chociaż je blokował czynił to z coraz większym trudem. Jedi krzyczał zadając ciosy i rzucał w jego kierunku wszystkimi wyzwiskami w dwóch językach jakich znał. Chciał go zabić, nic innego nie miał w myślach w tej właśnie chwili. Nagle do pomieszczenia wbiegli inne postacie patrząc na dwóch walczących ludzi. Kątem oka Arnit dostrzegł wśród nich Garn'a Leblisa.

„Co on tu robi???” – zastanawiał się. Leblis dał znak ręką swoim ludziom, żeby zaczekali.

Oni natomiast walczyli dalej. Jedi zaatakował nagłym cięciem z lewej jednocześnie kopiąc nogą w prawym bok. Miecz zablokował, lecz cios przyjął co zaowocowało, iż przewrócił się na ziemię. Młody chłopak chciał zadać śmiertelny cios celując w serce, ale wróg uchylił się i tylko zranił go w ramię. Zaczął uciekać w pobliski korytarz, a Corelianin za nim. Ludzie Garn'a po tym jak dostali znak pogonili także, lecz chwile później. Uciekający mężczyzna w czerwono-białej zbroi zniknął mu z oczu. Kluczył w labiryncie korytarzy tracąc nadzieje na odnalezienie ściganego, ale nagle usłyszał hałas. Rzucił okiem do komnaty z której dobiegał dźwięk. Był to człowiek, którego ścigał stojący i wpatrujący się w swój miecz świetlny. Była to okazja jakiej Arnit nie mógł przepuścić. Wbiegł krzycząc w niebogłosy do pomieszczenia i przebił mężczyznę na wylot swoim ostrzem. Wydał z siebie dźwięki, które go trochę zdziwiły, ponieważ przypominały śmiech szaleńca. Czuł wewnętrzną radość gdy przesuwiał ostrze w górę rozcinając wroga aż do ramienia. Ten go złapał rękami za ramię chcąc coś wyszeptać, lecz nie mógł. „Tak.. Tak” – pomyślał Arnit. Jednak czy to były jego myśli czy to głos znów przemawiał? Przeciwnik padł na ziemię oddychając płytko. Nagle stało się coś naprawdę dziwnego, a mianowicie wizerunek mężczyzny zaczął się rozmywać. Jedi zdziwiony odszedł dwa kroki patrząc jak w obraz. W końcu dostrzegł przerażającą prawdę.

Ślepiec rzekł mu w umyśle: „Oczy mamia... Patrzysz, ale nie widzisz... Ujrzysz prawdę...

Pamiętaj wzrok nie mówi prawdy o tym na co patrzysz”. Te słowa okazały się śmiertelnie prawdziwe. Postać mężczyzny w czerwono-białej zbroi zniknęła, a ściślej mówiąc rozplynęła się. Okazało się, że to tak naprawdę była Anelim. Teraz leżała rozorana mieczem świetlnym z trudem łapiąca oddech. Arnit upadł na kolana koło niej i czuł jak go rozdziera na dwoje coś wewnątrz. Łzy powoli zaczęły mu spływać po policzkach. Jej oczy pytały go: „Dlaczego...

Dlaczego?”, lecz on nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Nie rozumiał jak mogło się to stać.

Przecież widział normalnie mężczyznę w czerwono-białej zbroi, który tak bardzo pragnął zabić. Teraz leżała przed nim jego ukochana z śmiertelną raną, która on zadał. Wiedział, że nic nie poradzi na to i ona umrze. Kolejna śmierć... Kolejne istnienie przestaje egzystować...

Śmierć nie jest końcem, lecz początkiem...

Nie ma śmierci jest Moc...

Złapał ją za rękę i skupił się na żywej Mocy. Chciał ją ocalić i o niczym innym w tej chwili nie myślał. Niestety jego wysiłki spełzły na niczym. Nagle Anelim spojrzała na niego trapiona agonialnym bólem.

– Ja... Dlaa... czego...? – wyjąknęła.

– Przepraszam Anelim.. – mówił przez łzy – Ja nie wiem... Ja... Widziałem wroga... to nie byłaś ty... – przetarł ręką oczy – Kocham Cię Anelim! Nie odchodź...

– Wiem... ale... – chciała coś powiedzieć, lecz tylko spojrzała swoimi pięknymi oczyma na Arnita i oddała ducha.

Jedi klęczał przy niej i patrzył w jej oczy. Były one wspaniałe i wręcz doskonałe. Zawsze go uspokajały, lecz teraz były martwe. Widział przed chwilą jak oczyma cały czas pytała go dlaczego ją zabił. Czemu nie myślał tylko poddał się instynktom? Ostatnie tchnienie Anelim sprawiło, że coś w nim pękło. Coś co trzymało go w łączności z prawami Zakonu, z tym kim był kiedyś. Krzyknął nagle w z całych swoich sił:

– Ślepcze!!!! Czy tego chciałeś?! Czy taki był twój plan?! Zabije Cię!!!!

– Zabijesz mnie? Przepraszam Ciebie bardzo młody Jedi, lecz za co?

– Za to, że mnie nie ostrzegłeś? Za to, że ją zabiłem.. Za wszystko.. – praktycznie bredził Arnit.

– Jak Cię nie ostrzegałem? Czyż nie mówiłem, iż Oczy mamią? Że nie widzisz, lecz ujrzysz? Patrzyłeś, ale nie widziałeś i temu ona zginęła.

– Nie... Nie... Nie... Ja już tego nie zniosę! Za co to mnie spotyka?! – krzyczał.

– Nie wiesz za co? Nie wiesz dlaczego Cierpisz? – zaczął spokojnie ślepiec.

– Jakbym wiedział głupcze to bym nie pytał – odburknął.

– Fundamentem wszechświata jest Cierpienie... Każdy to przeżywa... Jest częścią życia każdej istoty. Kształtuje ich... Tylko one pokazują która jednostka jest naprawdę silna.

Cierpienie to fundament na którym jest zbudowana każda myśląca jednostka we wszechświecie! Zaakceptuj to w końcu! – podniósł lekko głos tłumacząc.

– Cierpienie? Miałeś racje co do wszystkiego ślepcze... Nawet nie wiem jak masz imię.

To jest nawet zabawne. Paradoks... Chciałem zabić mojego najgorszego wroga, a zabiłem najpiękniejszą kobietę, którą obdarzyłem uczuciem. Jestem Jedi... Maszyną odrzucającą ludzkie uczucia... – położył się na ziemi i rozplakał się na dobre.

Wszystkie bariery jakie trzymał puścił pozwalając drzemiającym w nim emocjom wyjść na wierzch.

– Maszyną? On nie jest maszyną. On jest pierwszym Jedi nie maszyną. Jedi, który czuje... Jedi, który nie odrzuca emocji. Jest on człowiekiem. – doszedł go znajomy głos starca, z którym już rozmawiał kilkakrotnie wcześniej.

– Witaj! Masz racje! Ten Jedi jest inny... On czuje... Nie tak jak inni. – odparły mu ślepiec.

– Pierwszy krok nastąpił. Upadek Jedi... Upadek Człowieka... – wyartykułował starzec.

– O czym wy mówicie?? – krzyknął – Ja zabiłem. Ciemna strona Mocy mnie opanowuje! Czuję nic innego jak tylko Gniew... Smutek... Strach... a także ból. Jeśli to ma być ludzkie to ja nie chce być człowiekiem!!

– Ale nim jesteś i teraz podajesz nam jeden dowód na potwierdzenie tej tezy. Jesteś człowiekiem. Masz słabości jak ludzie. Czujesz...

– Nie wiem... – odpowiedział już kompletnie dezorientowany.

Nagle z przeciwległego korytarza wyłoniła się postać Garna Leblisa.

– Zabiłeś ją – wycedził dodając kilka Koreliańskich przekleństw.

– Ja... Nie chciałem... To był wypadek...

– Wiedziałem od początku, że to był zły pomysł! Nie powinienem jej na to pozwolić! – mówił jakby do siebie.

– O czym ty mówisz? – spytał Jedi widząc, nagle, iż ślepiec i starzec zniknęli.

– Pamiętasz co odpowiedziała na twoje wyznanie „Kocham Cię” – wypowiedział dobrze znany głos mężczyzny w czerwono-białej zbroi.

– To ty! zabije Cię! – krzyczał Arnit.

– Arnicie co ci się stało? twoja twarz... – wypowiedział Lefaw jeden z ludzi Garna patrząc na niego. Jego twarz była cała pomarszczona jak u starca. Przesiąknięty był czymś dziwnym. Jakby coś go od wewnątrz trawiło.

– Nie wiem... Choroba... – odrzekł – Anelim odparła „Wiem, ale...” Co to ma do rzeczy? powiedz zanim pożrę twe serce.

– Ona chciała powiedzieć, że Cię nie kocha... Tak naprawdę od początku gardziła Tobą.

Kiedy ją całowałeś powstrzymywała się z trudem od wymiotów. Taka jest prawda Jedi. – mówił głosem pełnym pewności i radości.

– Kłamiesz!!!

Jedi wstał biorąc miecz świetlny. Czuł gniew, który rozlał mu się po całym ciele. Nie chciał używać żadnych technik do zlikwidowania gniewu. Chciał, żeby go opanował, nie pragnął niczego innego. Rzucił się na przeciwnika jak wściekły Rancor na ofiarę. W umyśle huczały słowa „Wykończ go! Wykończ go! Nadszedł Czas!”. Arnit zadawał serie ciosów z prawej, z lewej, z góry i z dołu. Ten je parował, lecz słabł i było to widoczne. Był to jak taniec wręcz śmiertelny w którym każdy cios był odpowiednio wyprowadzany na oręż przeciwnika. W końcu Jedi napierał z taką siłą i zawziętością, że mężczyzna cofał się. Wyczuł emanujący strach od przeciwnika, który praktycznie zniszczył mu życie. Jego życie dobrego, poczciwego dobrze zapowiadającego się Padawana Jedi, który już nigdy nie zostanie Rycerzem. Jedi, który tak naprawdę nigdy nie wiedział kim był a ni dokąd zmierzał. Teraz to wiedział, a jego jedynym celem było wypełnienie drzemiących w nim pragnień. Pierwsze było zabicie stojącego przed nim człowieka. Arnit zadał strasznie mocny cios z lewej, który nie został zablokowany. Obciął mu połowę dłoni, który poleciała kilka metrów dalej, a rękojeść upadła z charakterystycznym odgłosem spadającego metalu nieopodal na ziemię. Wojownik w czerwono-białej zbroi krzyknął głośno i zaklął siarczyście. Wyciągnął rękę i odepchnął Jedi chcącego go wykończyć.

– Nieźle... Obciąłeś mi kawał dłoni – rzekł oblizując krew z kikuta – Czas z tymi kończyć.

– Prawda! Czas z tym kończyć... Zginiesz!

Arnit zaczął biec z mieczem przygotowanym do ostrego zamachu z prawej. Chciał mu obciąć głowę. Ku jego zdziwieniu przeciwnik wyciągnął lewą rękę i uśmiechnął się złowieszczo.

Nagle z niej wyleciały błyskawice mocy, która poraziły straszliwy młodego chłopaka, który upadł na ziemię. Jedi przeżywał straszliwe cierpienie. Każdy element jego ciała był parzony przez śmiertelne błyskawice. Krzyczał straszliwie, lecz nie wzywał pomocy. Garn Leblis z ludźmi patrzyli na rozwój sytuacji. Sam mężczyzna cieszył się, iż Jedi przeżywał taki ból.

„Jest to kara, za to co zrobiłeś mojej córce” – pomyślał. Arnit myślał co zrobić... czuł, że jeszcze trochę i zakończy się jego żywot. Przypomniawszy sobie słowa ślepego: „Cierpienie to fundament na którym jest zbudowana każda myśląca jednostka we wszechświecie!

Zaakceptuj to w końcu!”. Akceptacja cierpienia jako podstawy swojego istnienia... Nagle Arnit zaczął wstawać, ale błyskawice ciągle paliły jego ciało. Skóra w niektórych miejscach zaczynała mu odpadać. Nie czuł już bólu... kompletnie zniknął... Przesiąknął go czysty gniew dodając wielkiej niewyobrażalnej siły...

– Co jest??!! – krzyknął mężczyzna w czerwono-białej zbroi.

– Zaakceptowałem Cierpienie – wyjąknął – Jest ono podstawą mojego istnienia...

– Kim jesteś?? – odparł mu mężczyzna.

– Jestem Jedi... Jestem Synem Mocy...

Błyskawice ustały, a strach mężczyzny wzrósł. Jego obawa śmierci urosła do nie wyobrażalnych rozmiarów. Użył pewnej sztuczki ciemnej strony, żeby zyskać na czasie.

Chodziło o kontrolę umysłu. Dzięki tej technice władający Mocą mógł przejąć bezpośrednią kontrolę nad umysłami innych istot, które będą automatycznie wykonywać jego polecenia, z zasady przekazywane telepatycznie. Lefaw wraz z rosnącym Trandoshaninem rzucili się na Arnita. Ten włączył miecz świetlny i odbiła dwa strzały, które nadleciały z ich strony. Trandoshanin szybkim ciosem wytrącił z jego dłoni broń i z pazurami rzucił mu się do gardła. Jedi chwycił jego dłoń z niewiarygodną siłą. Przypomniawszy sobie lato na Kessi gdzie nauczył się tamtejszej bardzo

groźnej sztuki walki. Płynnym przejściem nadgarstka o dziewięćdziesiąt stopni złamał mu rękę. Uderzenie nogą z pół obrotu dokończyło dzieła.

Sięgnął Mocą po miecz świetlny wbijając jego ostrze w nieprzytomnego Trandoshanina.

Lefaw przestraszył się trochę, lecz nie mógł nic zrobić. Był kontrolowany przez mężczyznę w zbroi. Cięciem z lewej obciął mu głowę pozbawiając się jednego problemu. Garn próbował cały czas do niego strzelać, lecz albo nie trafiał, albo jego strzały były odbijane. Jedi rzucił mieczem, który i jego pozbawił życia. Było mu teraz wszystko jedno kogo zabija. Chciał tylko pozbawiać życia. Zadawać Cierpienie... Dostrzegł, że mężczyzna w zbroi stał nieruchomo.

– Chcesz mnie?! To choć – krzyknął – Jestem potężniejszy niż ci się wydaje!!!

– Giń...

Podbiegł i wbił ostrze wprost w jego serce. Wyjął i z pół obrotu obciął mu głowę. Zwłoki legły na ziemi. Jedi czuł się spełniony... Satisfakcja skończonej zemsty wypełniła go całego.

Poczuł się wspaniale. Schylił się obszukując martwego wroga i dostrzegł mały przedmiot.

– Holocron Sith... – wyszeptał głos w jego umyśle.

Schował go i podszedł do zwłok Anelim. Leżała martwa i równie piękna jak za życia. Zabił ją... chociaż kochał... Stał się teraz bardziej ludzki niż przedtem... chociaż popełnił straszliwy błąd... Zabił ukochaną... Przypomnił sobie nagle pierwszy pocałunek jakim go obdarzyła jego pierwsza miłość. Była to niezapomniana chwila, która na zawsze będzie mu przypominać tą dziewczynę. Każdy kto kiedykolwiek był zakochany wiedział, że Pierwsza miłość była nie zapomniana... Pierwszy pocałunek jedyny w swoim rodzaju... Były to chwile, które mogłyby trwać wiecznie... Jedi z łzami w oczach podszedł do ściany patrząc na nią z zaciekawieniem. „Dziwne obrazy” – pomyślał.

– Znajdziesz tu Holocron Jedi – rzekł na głos ślepiec – a potem uciekaj jak najszybciej – dodał.

Fundamentem Wszechświata jest cierpienie i Jedi to właśnie zrozumiał...

Śmierć nigdy nie była końcem, lecz początkiem...

Nie ma śmierci... Jest Moc...

Magata leżała nie przytomna. Z komnaty jej sypialni próbował ją wynieść tajemniczy napastnik. Wszyscy strażnicy nie żyli. Szedł, lecz ku jego zdziwieniu usłyszał kroki. Pojawiła się postać mężczyzn idących pewnym krokiem w jego kierunku. Wiedział, że będzie musiał stoczyć walkę, toteż położył kobietę na ziemi.

– Zostaw ładnie panią i powiedz dla kogo pracujesz rzezimieszku... – powiedział spokojnie pierwszy człowiek.

– Nic ci nie powiem, a kobietę i tak zabiorę! – krzyknął.

– Idź do niej... Ja się nim zajmę – powiedział mężczyzna do swojego kompana.

Zaatakował go serie ciosów kierowanych na twarz, lecz szybki i pewne uniki nie pozwoliły mu na trafienie. Nagle mężczyzna złapał porywacza za obydwie ręce tak mocno, że prawie kości mu złamał. Jęknął z bólu próbując się wyrwać, ale było to daremne. Człowiek wyprowadził potężny cios głową łamiąc nos i sprawiając, że porywacz legł na ziemi.

Oglądnał go dokładnie jak leżał obchodząc dookoła. Podszedł i z całej siły kopnął go w twarz pozbawiając przytomności.

– Co z nią? – rzucił do kompana.

– Dobrze. Żyje, lecz jest nie przytomna. Ripper nie wiedziałem, iż jesteś taki dobry w walce.

– Skrywam mój druha wiele talentów... Kid zabierz ją do sypialni, a ja się zabiorę za naszego porywacza.

– Czy ona powinna mnie teraz zobaczyć? Chyba to jeszcze nie czas nieprawdaż? – zaciekawiał się Kid.

– Masz racje... Przyjdzie na to czas. Zanieś ją tam i uciekamy.

Zabrał ją i położył na łóżku tam gdzie zawsze spała. Popatrzył na nią próbując sobie przypomnieć jak to było, kiedy był jej mężem. Pamięć wracała bardzo powoli. Co do jednego faktu nie miał wątpliwości. Otóż było ona bardzo piękną kobietą i nie był zdziwiony, że ożenił się z nią. Czuł, że pomiędzy nimi był jakiś związek... uczucie... Jednak teraz wiedział tylko to, ale nie miał żadnych wspomnień. Pocałował ją czule i poczuł jak jego serce zaczyna bić coraz szybciej. Wiedział, że to z tą kobietą będzie chciał spędzić resztę życia.

– Jesteś już bezpieczna... Spij kochanie... – wyszeptał.

Odwrócił się i odszedł do Rippera. Sądził, iż myślała, że on nie żył. W pewnym sensie stary Rutra'Dik Yrub był martwy. Jednak śmierć nie była końcem, lecz początkiem...

ROZDZIAŁ 11

Akinoma stała i patrzyła w gwiazdy. Minęła jakaś godzina od pogrzebu Lelobacca, który był dla niej zawsze jak starszy brat, którego nigdy nie miała. Zastanawiała się nad wszystkim co ją spotkało w ciągu ostatnich kilku dni. Niby to tak niewiele czasu, a zdarzyło się tyle rzeczy. Dziwiła się jakie miała ciekawe życie. Niektórzy całe życie wegetują i marzą o takich przygodach jakie przeżyła dziewczyna w ciągu ostatnich kilku dni. Myślała także ogólnie nad swoim bytem. Co tak naprawdę osiągnęła? Czy stała się kimś? Była prostą przemytniczką, która żyła z dnia na dzień bez praktycznego celu. Zawsze marzyła o założeniu rodziny, kupienia pięknego domu na jakiejś spokojnej planecie. Jednak było to tylko marzenie, a te zazwyczaj spełniają się dość rzadko. Łzy popłynęły jej strumieniem po policzku, gdy znów zaatakowała ją wspomnienie o Wookiem. Śmierć to taka dziwna rzecz.

Zawsze tak uważała, ale nigdy nie zastanawiała się jak to może wyglądać. Życie po śmierci...

Czy ono w ogóle istnieje? Pamiętała jak przez mgłę jakąś kobietę, która kiedyś jej mówiła:

„Śmierć nie jest końcem, lecz początkiem. Nie ma czegoś takiego jak koniec. Każdy koniec jest początkiem czegoś nowego”. „Może była to racja? Może ta kobieta mówiła prawdę?” – zastanawiała się. Czowała się tej chwili bardzo samotna. Zawsze pragnęła uchodzić za twardą i nieustępliwą kobietę, lecz chciała czasami być zwykłą kruchą dziewczyną, która pragnęła jedynie, żeby jej mężczyzna mocno ją przytulił. Czy żądała nazbyt wiele? Czy to tak dużo?

Nagle poczuła, że ktoś się powoli zbliża. Nie chciał, żeby dziewczyna wyczuła jego obecność starając się iść bardzo cicho. Kobieta jednak była bardzo czujna i nie zwykła dawać się zaskoczyć. Poczuła niespodziewanie na swoim ramieniu czyjąś rękę. Złapała ją i przerzuciła przed siebie siadając na niej i przytykając blaster do skroni. Tajemniczym napastnikiem okazał się Risk.

– Chciałem Ci zrobić niespodziankę Akinomo – uśmiechnął się – Wygodnie? – rzekł widząc, że kobieta zarumieniła się.

– Nie rób tego. Mogłam Ciebie zabić Risk! – krzyknęła.

– Spokojnie, Spokojnie. Panowałem nad sytuacją.

– To ja może wstanę. – powiedziała dziewczyna, lecz Risk złapał ją mocno za ramiona.

Ta wiecznie nie ustępliwa i twarda kobieta poczuła się niepewnie. Spojrzała mu w oczy i dostrzegła, że patrzy na nią bardzo dziwnie. Wiedziała, że to kobieciarz i pragnął tylko ją doliczyć do swoich licznych zdobyczy, ale nie była już do końca tak tego pewna.

– Puść mnie... – wyszeptała.

– Nie puszcze Ciebie. – odparł z pewnością w głosie.

Zbliżył się do niej powoli, lecz stanowczo. Czuł, że jej ręce zaczęły drżeć. Czy to był strach?

Czy aż tak bała się, iż ktoś chciałby się od niej zbliżyć? Widząc, że się nie opierała pocałował ją namiętnie w usta. Tak połączeni w pocałunku trwali sporą chwilę. Akinoma była bardzo zdziwiona,

że nie wbiła mu wibroostrza w serce za tą nędną próbę. „Może tego potrzebuje? Mężczyzny, który zaopiekuje się mną?” – zastanawiała się. Zdecydowała się nie opierać. Podała się sytuacji, która właśnie zaistniała. Risk chociaż ją denerwował zbytnią pewnością siebie zaczynał się jej podobać. „Może to mężczyzna z którym spędzę resztę mojego życia??” – pomyślała.

– Musimy zaraz lecieć – rzekł Risk.

– Dokąd? – spytała trochę nieobecna rozkoszując się jeszcze chwilą niebiańskiego pocałunku.

– Karrde z ludźmi lecą na Nar Shaada. Ja mam lecieć na Coruscant. Jeszcze nie wiem po co, a ty co zamierzasz? – zaciekawił się.

– Chyba też polecę na Coruscant. Ciekawa jestem co z moim kompanem.

– Możemy polecieć razem prawda? – spróbował Risk.

– Czemu nie? Z chęcią poznam Cię bliżej rzeźmieszku – obdarzyła go w odpowiedzi ciepłym uśmiechem, który powalał na kolana nie jednego mężczyznę. Był tak olśniewający i piękny, że każdy mężczyzna jej rasy nie mógł się jej oprzeć. Mogła wtedy robić z nimi co chciała.

Wstali i udali się odpocząć i przygotować do podróży.

Rex wylądował na Coruscant. Trwało to sporo czasu zanim doleciał tu z Revost. Czuł smutek będąc pograżony w żałobie po swym mistrzu Oruunie. Dziwił się, że jego mistrz zginął, a on pokonał tajemniczego wroga. Ciekawił się kim był ten przeciwnik. „Czy był to Jedi? Czy tylko zwykła istota biegła w walce na miecze świetlne?” – myślał. Wyszedł ze statku i dostrzegł, że w komitecie powitalnym były same znane osobistości. Przyszli po niego sam Mistrz Mace Windu wraz z Mistrzem Ki-Adi-Mundim. Dali znak ludziom, żeby weszli do środka i zabrali zwłoki Oruuna. Rex podszedł do obydwóch Jedi.

– Co się stało Padawanie? – zaczął Mace Windu.

– Poleciliśmy na Revost. Spotkaliśmy tajemniczą istotę, która prawdopodobnie była odpowiedzialna za stan Kretha Malwila. Wyzwała Mistrza Oruuna na pojedynek, który niestety przegrał – wziął głęboki oddech i zdziwił się, że głos mu załamał się lekko – Wtedy ja zacząłem z nim walczyć... nie wiem jak to zrobiłem, ale go pokonałem.

– Dobrze się spisałeś Padawanie. Idź teraz zobaczyć się z medykiem. Powinien Cię opatrzyć. Odpocznij i najedz się do syta. – rzekł Ki-Adi-Mundi.

– Niech Moc będzie z Tobą! – dodał Mace Windu.

Rex skłonił się lekko i odszedł w kierunku Ambulatorium. Przepelniał go smutek i gorycz po stracie Mistrza. Prawda była taka, że dla każdego Padawana jego Mistrz zastępował mu ojca.

Między niektórymi więź była silniejsza, a taka była pomiędzy Rexem, a Oruunem. Młody Jedi z całych swoich sił pragnął odrzucić uczucie Gniewu. „Strach prowadzi do Ciemnej Strony. Strach prowadzi do Gniewu” – pomyślał.

Dostawszy pomoc medyczną udał się na spotkanie z kilkoma mistrzami, żeby im opowiedzieć co się stało. Czuł się trochę dziwnie, iż on przeżył, a jego Mistrz poległ. „Ironia losu. Padawan w końcu przerasta swojego Mistrza. Taka była kolej rzeczy” – pomyślał.

Zastanawiał się kim był ten mroczny wojownik. W szermierce był bardzo dobrze obeznany, ale dlaczego zabijał Jedi? Te wszystkie myśli trapiły młodego Padawana i praktycznie nie dawały mu spokoju. W końcu doszedł do celu jakim była sala Rady Jedi, gdzie za chwilę miał zdać relacje z ostatnich wydarzeń. Miał wewnątrz prawdziwą burzę. Zastanawiał się co będzie z nim dalej. „Czy dostane nowego Mistrza? Czy przystąpię do prób?” – myślał.

Przestąpił progi sali Rady Jedi i skłonił się nisko. Po tym jak Mistrz Windu dał mu znak, Rex

zaczął opowiadać co się ostatnio stało.

Arnit stał przed ścianą z dziwnymi malunkami i przyglądał się jej uważnie. Widział na niej wielu Jedi z mieczami w dłoniach walczącymi z innymi. „Sithowie” – pomyślał.

Walczyli jakby na wielkim polu pośrodku którego na widocznym wywyższeniu leżał mały kwadratowy przedmiot. Był to pradawny Holocron Jedi zawierający tajemniczą wiedzę Władców Mocy. „Jednak dlaczego o niego walczyli? Czy Jedi bronili Holocronu przed Sithami? Co takiego skrywał ten Holocron?” – zastanawiał się. Nagle dostrzegł trochę wyżej nad walczącymi na miecze świetlne tajemniczo wyglądające istoty. Wyglądały na wysokie, o trzech żółtych ślepiach. „Ja to gdzieś już widziałem” – pomyślał. Wyglądało jakby te istoty także chciały zagarnąć Holocron. Nagle ukuł go potworny ból prawie rozsadzając mu głowę.

Padł na kolana łapiąc się za nią i sięgając po Moc próbował go wytłumić. Obrócił się i zobaczył kobietę pięknej urody. Włosy kruczoczarne spływały jej po ramionach odzianych w białą szatę. Patrzyła na niego równie czarnymi oczyma gdzie nie można było dostrzec nawet kropli bieli. Przemówiła do niego głosem mocnym, pewnym i na dodatek dla niego znajomym.

– Urodziłeś się po to, aby umrzeć, żeby Oni się urodzili. Wszystko ma swoją przyczynę. Wszyscy uczestniczymy w wielkiej grze. Los przygotował dla ciebie taką rolę i musisz ją spełnić. Dotknij Holocronu i oddaj go Im... Wszystko od tego zależy...

Kobieta znikła tak samo jak jego ból w głowie. Wstał powoli próbując odzyskać równowagę i spojrzał raz jeszcze na ścianę. Moc kazała mu wyciągnąć dłoń w kierunku malunku holocronu. Nie mógł powstrzymać tego ruchu. Była całkowicie nie zgodny z jego wolą.

Poddał się temu i zdziwił się co nastąpiło. Jak dotknął obrazu wcisnął się on do środka.

Cofnął się o krok jak usłyszał hałas dobiegający sprzed niego. Zobaczył jak cała ściana zaczyna drżeć i niespodziewanie otworzyła się. Jego oczom ukazał się mały kwadratowy przedmiot leżący w środku na piedestale. „Holocron Jedi” – pomyślał. Nagle doszedł go głos zza pleców.

– Arnicie... Stój – Mistrz Quell Perr??? – zdziwił się chłopak.

– Tak mój Uczniu, to ja. Uspokój się... – zaczął – Nie oj nie!! Nie dam się ponownie nabrać na tą sztuczkę! nie wiem jak uniknąłeś śmierci, lecz drugi raz tegoż samego błędu nie popełnię. – mówił coraz bardziej zdenerwowany Arnit.

– O czym mówisz mój Padawanie? Uspokój się! Oddychaj głęboko! Użyj Mocy.

– Tak, tak, tak. I co jeszcze mi powiesz? Ciebie tu nie ma. Jesteś moim demonem. – rzekł włączając miecz świetlny.

– Co ty robisz?

– To co powinienem.

Zatakował Quell Perra z całą furją jaką w sobie tłumił. Mistrz nie wiedział co wstąpiło w młodego chłopaka toteż spokojnie parował jego ciosy. Z całą siłą odepchnął ucznia na ścianę gdy nagle całe to miejsce zaczęło się trząść w osadach. Quell Perr spojrzał w miejsce gdzie powinny leżeć zwłoki mężczyzny w czerwono-białej zbroi i ku jego zdziwieniu nie ujrzał ich tam. Następnie spojrzał w miejsce gdzie znajdował się Holocron Jedi, którego także nie było.

Niespodziewanie poczuł w Mocy czyjąś obecność za sobą. Była ona przepelniona gniewem, rządzą mordy i krwi. Obrócił się, lecz nie zdążył nic zrobić. Postać złapała go oburącz za skronie wbijając w niej pazury. Mistrz Jedi zaczął krzyczeć w niebogłosy i padł na kolana. W tym czasie Arnit ocknął się i przeraził się niezmiernie kiedy otworzył oczy. Myślał przez chwilę, że to kolejny z serii jego dziwnych snów, lecz tym razem była to rzeczywistość.

Smutna, szara i prawdziwa. Nie mógł uwierzyć, jaki kolejny błąd popełnił atakując swojego mistrza. Teraz widział obok niego swojego wroga, który jakimś cudem żył. Zganił siebie raz jeszcze i szybko przemyślał sytuację. Zdecydował się działać od razu, żeby uratować Quell Perrra. Włączył miecz świetlny i pobiegł w kierunku przeciwnika. Skoczył w jego kierunku mierząc silny cios nogą w korpus. Zaskoczony mężczyzna przewrócił się puścił Mistrza Jedi, który padł nieprzytomny na ziemię. Jedi chwycił Holocron i schował go do poprzedniego przedmiotu. Podszedł powoli do mężczyzny, który już wstawał.

– Nieźle... Zaskoczyłeś mnie... – wycedził.

– Jak przeżyłeś? Przecież to jest nie możliwe!!! – krzyknął.

– Jestem potężniejszy niż myślisz... I zaraz się o tym przekonasz.

Zaczął biec w kierunku Arnita, który stał przygotowany na odparcie jego ataku. Quell Perrr w tej samej sekundzie skoczył na przeciwnika i powalił go na ziemię.

– Arnit! Uciekaj! Teraz! – rozkazał.

– Mistrzu...

– Idź!

Nie zawsze słuchał swojego mistrza i zawsze sądził, iż poniekąd był to błąd. Teraz stanął na rozdrożu dwóch dróg. Na końcu jednej była teoretycznie wolność i dalsze życie, a na drugiej Mistrz Quell Perr zastępujący mu ojca. Walczący teraz z jego najstraszniejszym wrogiem.

Skazany na porażkę. „Co to za życie... Przecież i tak wkrótce umrę” – pomyślał. Jednak ku jego zdziwieniu odwrócił się i uciekł. „Co jest?” – zastanawiał się. Biegł i biegł, aż znalazł się na swoim statku szykując go do startu. Spojrzał na prawo i dostrzegł, że siedzi obok niego Anelim. Piękna tak jak ją pamiętał. Patrzyła na niego tymi magicznymi oczyma...

Nagle rozpląnęła się obdarzając go bardzo czułym, lecz smutnym uśmiechem. W jej miejsce pojawił się ślepiec.

– Startuj! Czas nagli. – rzekł.

– To ty mnie zmusiłeś, żebym nie ratował mistrza Prawda? – spróbował Arnit.

– Tak... Musiałem. Nie przewidziałem przybycia tej osoby. Ten mężczyzna jest bardziej niebezpieczny niż myślisz.

– A co z moim Mistrzem?

– Niestety jest zgubiony... – odparł z udawanym smutkiem. – Teraz czekają nas ważne sprawy.

Masz Holocrony?

– Tak. Holocron Sith i Jedi. – wziął głęboki oddech i spytał – Jakie ważne sprawy?

– Niedługo stanie się coś co musisz powstrzymać... Musisz oddać Holocrony. Ci którzy ich pragną szukają...

– Przestań do mnie mówić zagadkami Ślepcze! Raz choć powiedz wprost o co ci chodzi!

– Pamiętasz co zobaczyłeś na obrazie na Salatan? – zapytał ślepiec.

– Tak. Jedi walczący z Sith i... – zawahał się – Jakies dziwne trójokie istoty. Czy to o nich mówisz? Kim oni są?

– Od początku istnienia wszystko miało dwie strony. Był dobro i zło, samiec i samica, Jasna strona i Ciemna strona Mocy. Jednak nie do końca jest to prawdą. Wszystko ma swoje dwie strony medalu, lecz jest jeszcze część środkowa. Coś co jest pomiędzy jedną stroną, a drugą. Miejsce łączące obydwie strony... – wyjaśniał.

– Czy oni są tym czymś co łączy? – spróbował chłopak.

– Tak tym właśnie oni są. Od wieków nie pokazywali się w znanym tutaj rejonom galaktyki. Jednak nadchodzą mroczne czasy... – zniżył głos – Oni o tym wiedzą...

Chcą Holocronów, bo mają w sobie wiedzę dość niebezpieczną, która musi być zabrana tej części galaktyki póki nie nadejdzie zły czas...

– O czym ty mówisz? Jaki zły czas? Może Republika ma problemy z Separatystami, ale na pewno wszystko zostanie rozwiązane na drodze pokojowej i dyplomatycznej.

Nie ma czym się przejmować. – wyjaśnił z pewnością w głosie.

– Te czasy już się zaczęły... Wybuchnie wkrótce wielka wojna... Wszystko się rozpoczęła osiem lat temu. Wiesz co wtedy się stało?

– Niech to... – zaklął siarczyście – Blokada Naboo... Tajemniczy Sith, który zabił Mistrza Qui Gona Jinnę...

– Dokładnie o tym mowa. Wszystko się łączy z Postacią o imieniu Palpatine.

– Kanclerz Palpatine? Dlaczego? Jak? Nie rozumiem co on ma wspólnego z tym wszystkim.

– On jest jak to ładnie nazywacie Sith'em. Próbuje zrobić i zdobyć to czego najbardziej pragnie...

– Co to takiego?

– Zdobyć władzy i... – przerwał ślepiec – Lećmy na Coruscant.

– Dobra, ale Co jeszcze?

– Zabić wszystkich Jedi... – dokończył ślepiec.

Statek Arnita skoczył w nadprzestrzeń zostawiając za sobą Salatan i Mistrza Quell Perrę na nim. Jedi na planecie leżał nieruchomo obok mężczyzny w czerwono-białej zbroi. Nagle ruszył się i zaczął powoli wstawać. Człowiek w zbroi leżący obok leżał nie ruchomo bez życia. Mistrz Quell Perrę dziwnie się przyglądał swojemu ciału. Nagle krzyknął: „Tak! Udało się!” i wydał z siebie szaleńczy chichot. Wszedł powoli udając się do statku.

Orbita Sluis była zatłoczona jak nigdy. Oprócz tego, że stocznie cały czas pracowały pełną parą. Teraz w tym systemie znajdowała się większość floty Republiki na wielkich manewrach. Oprócz samych statków i całej śmietanki dowództwa floty znajdują się tu także głównie władze samej Republiki prosto z Coruscant. Wszystko z powodu wielkiej konferencji, która miała się tutaj niebawem odbyć. Dostrzec można było kilka stacji bojowych typu Golan, które miały zapewnić bezpieczeństwo w systemie. Miejscem konferencji miało być dzieło jednego z najlepszych architektów pracujących w stoczni Kirana Lar. Co było interesujące nie należał on do rasy Sluisów, ale do lekko podobnej zwanej Wusil. Miała ona normalnie nogi, lecz owłosione prawie jak u Wookiego, a górna część była jakby węża z dwoma łapami. Rasa rzadko opuszczała swoją planetę ceniąc sobie prywatność i spokój. Stworzył on specjalnie na tą okazję wielką stację konferencyjną, która zostanie zaraz otwarta. Wszyscy, którzy powinni przybyć już się na niej znajdowali, a Kanclerz Palpatine kończył przemawiać i przecinał wstęgę otwierając symbolicznie stację. Wszyscy udali się obejrzeć ten wspaniały obiekt będący wprawdzie dziełem sztuki. Anakin Skywalker szedł powoli z tyłu patrząc i podziwiając, ale jednocześnie zachowując czujność. Nagle poczuł, że ktoś go obserwował. Nie chciał dać temu komuś znać, że wiedział o tym toteż powoli się rozglądał. Dostrzegł kobietę patrzącą na niego bardzo dziwnie. Niespodziewanie podbiegła do niego.

– To ty! Tak jestem tego pewna! To musisz być ty! – powiedziała zdenerwowanym głosem.

– Uspokój się i proszę powiedz o co chodzi – zaczął Anakin.

– Musisz uważać! Głos mi mówi... – pojawił się na jej twarzy grymas bólu – To ty...

Nagle Anakin wyczuł niebezpieczeństwo, lecz było zbyt późno niż by tego chciał. Strzały

z blastera poleciały w jego i w stronę innych Senatorów. Skrytobójców dostrzegł pięciu.

Widział jak jeden śmiertelny czerwony promień leci prosto w jego serce. Zdziwił się jak kobieta go w jednej sekundzie odepchnęła i strzał zamiast w niego trafił w nią. Padła na ziemię wydając z siebie cichy jęk. Anakin włączył miecz świetlny i precyzyjnie odbijał strzały napastników. Jeden z nich został trafiony odbitą nitką lasera. Dwaj zostali już powaleni przez Mistrza Obi-Wana Kenobiego. Pozostali zostali schwytani. Akcja była sprawna i szybka toteż nikomu nic się nie stało. Prawie nikomu ponieważ na ziemi leżała kobieta z śmiertelną raną. Skywalker podszedł do niej i ukląkł.

– Żyjesz... udało się... – wyszeptała.

– Nie ruszaj się... Zaraz przyjdzie droid medyczny.

– Już jest za późno. – uśmiechnęła się – Głosy ucichły, Jesteś przystojniejszy niż myślałam.

– Dziękuję – zarumienił się chłopak.

– Kocham Cię... – wyjąknęła. – proszę przytul mnie.

Anakin przytulił ją mocno i pewnie. Uratowała mu życie, więc chociaż takim małym gestem mógł się jej odwdziżyć. Kobieta czuła, że umierała, lecz była szczęśliwa. Przez prawie całe jej życie dręczyły ją dziwne sny i słyszała głosy. Ten sam przemówił teraz, ale już po raz ostatni.

– Narodziłaś się, żeby umrzeć po to, aby Oni się narodzili... Przeznaczenie się wypełnia... Osiągniesz spokój...

Dziewczyna uśmiechnęła się i pocałowała zszokowanego Anakina. Była to ostatnia rzecz jaką zrobiła. Chwilę później życie opuściło jej ciało. Umarła będąc pierwszy raz szczęśliwa.

Mężczyzna wstał i trochę się zasmucił. Obi-Wan podszedł do niego.

– Takie jest życie mój uczniu... Śmierć zawsze nam towarzyszy...

– Wiem Mistrzu...

– Pamiętaj! Śmierć nie jest końcem, lecz początkiem.

Nagle stacją zatrzęsło. Wdarł się wielki chaos. Syreny alarmowe ogłuszyły prawie wszystkich.

– Co się dzieje? – spytała Anakin jakiegoś oficera ochrony.

– Nastąpił atak na nasze statki Mistrzu Jedi. Flota dziwnie wyglądający statków wdarła się niepostrzeżenie do systemu i wplątała się w walkę z naszymi okrętami. Było to zaskoczenia. Nasze okręty przegrywają.

– Anakin szybko za mną – rzucił Obi-Wan biegnąc do hangaru.

Anakin jak biegł dostrzegł u wszystkich przerażenie i to samo też wyczuł poprzez Moc.

Jednak od jednej istoty emanowało uczucie radości. Gdy spojrział na tą osobę dostrzegł uśmiech. „Dziwne... Czemu Senator Kesaj jest taki zadowolony?” – zastanawiał się.

Tymczasem na orbicie rozpoczęła się prawdziwa bitwa. Statki o tajemniczym kształcie i trzech niby rogach wyrastających z kadłuba jeden za drugim ostrzeliwały okręty Republiki.

Generał Haln stał na mostku swojego okrętu i patrzył. „To znowu oni” – pomyślał. Kolejny wybuch lekko go oślepił. Był to wielki nowy Acclamator „Sen Senatu”, który został ostrzelany przez trzy wrogie wielkie statki i roztrzaskano go na kawałki. Haln dostrzegł chmary myśliwców latające i walczące wszędzie, gdzie było tylko miejsce w tych zatłoczonych przestworzach. Wyglądały jak roje dwóch zwaśnionych gatunków owadów z Nibus walczące o pożywienie. Co chwila małe wybuchy... kolejna śmierć dobrego pilota... W komunikatorze na częstotliwości Republikańskich myśliwców słychać było okrzyki zwycięstwa po zestrzelonym myśliwcu i krzyki bólu na chwilę przed śmiercią. Jego okręt z wszystkich baterii turbolaserów zaczął strzelać na najbliższy trójrogi

statek wroga. W raz z nim strzelały jeszcze cztery okręty. PO chwili rogi odpadły i statek był targany wybuchami.

Nagle mniejszy z statków wroga lekko uszkodzony leciał prosto na pobliski statek republiki „Naron”. Próbowano go zestrzelić, lecz bez skutku. Nieprzyjaciel wbił się w niego taranując go i niszcząc siebie wraz z nim. Statek wroga po krótkim ostrzale uległ zniszczeniu. Potem następny i następny... Wir walki pochłaniał kolejne ofiary. Nagle jakiś zabłąkany uszkodzony myśliwiec wroga koziółkując leciał prosto na okręt Halna.

– Zestrzelić go!! Szybko! – krzyknął.

Było jednak już za późno. Myśliwiec przeleciał przez mostek zabijając wszystkich. Walka narastała z chwili na chwilę. Nagle wszędzie na okrętach Republikańskich rozległ się syczący głos: „Norcoloh Idej... Norcoloh Htis”.

Arnit znajdował się w nadprzestrzeni gdy nagle coś z niej wyrwało jego statek. Gdy wyszedł z niej dostrzegł dwa duże okręty o trzech rogach. Nie strzelały... Nic się nie działo.

– Czy to Oni? – spytał ślepeca, który gdzieś zniknął.

– Tak – odparł zza jego pleców.

– Co robić?

– Czekać...

Nagle zza nim wyszedł kolejny okręt. Rozpoznał w nim statek swojego Mistrza Quell Perra.

Ucieszył się i sięgnął do niego Mocą. Wtedy go poraziło, że aż prawie zemdłał. Nagle jakby wiązka holowniczą pochwycone zostały obydwa okręty i wciągnięte na najbliższy trójrogie pojazd. Arnit wiedział, że nie był to jego mistrz. Nie wiedział kto to, ale na pewno nie Quell Perr. Po chwili znajdowali się na trójrogim statku. Wyszedł na zewnątrz. Dostrzegł jedną postać o trzech żółtych ślepiach i nieznanym kształcie.

– Norcoloh Idej... Norcoloh Htis – wypowiedziała postać.

– Nie rozumiem! Co to oznacza? – spytał.

– Daj mu Holocrony. Norcoloh Idej to Jedi Holocron w ich języku. Tak samo jak Norcoloh Htis jest Holocronem Sith – usłyszał głos ślepeca.

– Rozumiem. Czy to chcesz? – wyjął obydwa małe przedmioty i pokazał je postaci. – Rzucił mu Holocron Jedi.

– Norcoloh Idej – widać na jej twarzy było coś jakby uśmiech. Wskazała na drugi przedmiot i rzekła – Norcoloh Htis.

– Masz!

Postać dostała obydwa Holocrony. Nagle z drugiego statku wybiegła inna postać. Arnit spojrzał w tamtą stronę i dostrzegł Mistrza Quell Perra, lecz przez Moc nie wyczuwał go, ale kompletnie inna postać.

– Holocrony są Moje!!! – krzyczał.

Podbiegł do postaci i włączył miecz świetlny.

– Oddaj stworze!

– Nie – rzucił Arnit.

– Nie sprzeciwiaj się swojemu Mistrzowi chłopcze. Zginiesz jak tak będziesz dalej czynił.

– I tak zginę niedługo. – powiedział czując jak niewiele czasu mu pozostało. Skóra robiła się już zielonkawa i pokryta bruzdami. Co chwila pluł krwią. Wiedział, że ta choroba go zabija.

– Wiem. – zaśmiał się niby Quell Perr – Przecież to ja ofiarowałem Ci tą chorobę!

– Co?! – krzyknął chłopak.

Jednak Quell Perr nie odpowiedział. Trójjoki wbił w niego dziwną broń. Quell Perr padł na ziemię bez życia. Jednak na tym nie skończyła postać swoje dzieło. Wzięła tajemniczy okrągły przedmiot i przyłożyła do serca martwej osoby. Mroczny szept przechodzący w krzyk rozległ się w całym hangarze. Po chwili kula wypełniona była czarną mgłą. „Co to jest?” – zastanawiał się chłopak. Zobaczył tylko jak istota daje mu znak, że może sobie iść.

Odwrócił się i odleciał kierując się ponownie na Coruscant. Smutek go ogarnął na myśl, że jego mistrz nie żył. Zginął przez tą samą istotę, która mu zniszczyła życie. Czekał go jeszcze jakiś czas podróż. W tej samej chwili na orbicie Sluis bitwa powoli się kończyła. Statki nieprzyjaciół znikwały skacząc w nadprzestrzeń. Po jakimś krótkim czasie już żadnego wrogiego okrętu nie było w systemie. Zdziwienie wszystkich znajdujących się w systemie było wielkie i nikt tego nie rozumiał co tu się tak właściwie stało. Jedno było prawdą, a mianowicie galaktyka to bardzo dziwne miejsce w której dzieją się naprawdę niesłychane rzeczy. Czas minie i ludzie zapomną o tym co tu się zdarzyło. Śmierć wielu pozostanie tylko wspomnieniem, które zatrze się przez czas. Czemu tak było? Czemu czas tak przemijał? Czy to nie dziwne, że w jednej chwili siedzimy, a jakby chwilę później to co robiliśmy sekundę wcześniej było już wspomnieniem? Było to i będzie zawsze zagadką dla filozofów. Czym jest czas... Wrogiem?

Przycielem? Czy czymś pomiędzy?

Na Coruscant w apartamentach trójprzymierza Valasos Ocir sprawujący władze po zniknięciu Rutra'Dik Yruba siedział i myślał. Czuł dziwny niepokój i nie wiedział czemu.

Czekał w tej chwili na Regentkę Magatę, z którą miał omówić ważną sprawę. Nagle wrota się otworzyły i Ocir wstał oddając szacunek Regentce. Jednak jak ujrzał kto wchodził zbladł i omal nie padł na ziemię. Zobaczył Rutra'Dik Yruba w towarzystwie Rippera.

– Witaj przyjacielu... – rzucił do niego Ripper. – Poznajesz go prawda?

– Jak... To niemożliwe!! – krzyknął.

Wziął blaster i chciał wystrzelić w Kid'a, lecz nie zdażył. W tej samej sekundzie Ripper chwycił swój podręczny mały śmiercionośny sztylet i rzucił w niego celując w gardło. Wbił się w jego szyję lekko i spokojnie. Na twarzy Ocira widać było przerażenie i zdziwienie. Padł na ziemię bez życia.

– Co dalej? – rzekł Rutra'Dik – Ty tu czekaj na Magate. Ja idę pozbyć się Trupa.

Zabrał go i wyszedł. Po jakimś czasie weszła Magata. Gdy zobaczyła siedzącego naprzeciw niej Rutra'Dik omal nie zemdląca. „Jak to możliwe?” – pomyślała.

– Mężu! – krzyknęła.

Podbiegła do niego i mocno go przytuliła. On poczuł się dziwnie szczęśliwy w jej objęciach i namiętnie ją pocałował. Prawie cała pamięć wróciła, lecz nie był on już tym samym człowiekiem co przedtem. Doświadczenia ostatnich dni bardzo go zmieniły.

– Czemu? – zaczął.

– O co ci chodzi? – zaniepokoiła się kobieta.

– Czemu spiskowałaś... Czemu chciałaś mnie pozbawić życia... Wiem, że to ty!

Pamiętam.

– To jakieś nie porozumienie!

– Łżesz! – krzyknął.

– Ona mówi prawdę – doszedł do niego głos zza wielkiej firany – To ja za tym stałam.

– Kim jesteś? – zdziwił się.

– Aino o czym ty mówisz? – spytała zaskoczona Magata.

– Zamknij się! – rzekła i wystrzeliła z blatera. Magata padła na ziemię.

Rutra'Dik w tym czasie złapała ją za rękę i mocno uderzył ją w twarz. Kobieta jednak była twardsza niż myślał. Kopnęła go mocno w krocze. W tej sekundzie pomyślał, że umiera, ale jednak był to tylko ból. Położyła go na biurku i przyłożyła wibroostrze do gardła.

– Zabiłeś go... – spojrzała na Ocira. – teraz ja zabije Cię. Jednak przyłącz się do mnie.

Uczyń mnie swoją żoną. Razem będziemy rządzić... – rzekła i polizala go po policzku wywołując u niego uczucie obrzydzenia.

– Nie – wycedził.

Z całej siły odepchnął ją. Kobieta kompletnie zaskoczona potknęła się o ciało Magaty.

Rutra'Dik podbiegł i rzucił ją na okno. Dziewczyna poleciała na dół wydając z siebie cichnący krzyk.

– Magato... Magato... – zaczął Rutra'Dik – Ja... Nie wiedziałam...

– Nie rób mi tego! Nie odchodź teraz jak Ciebie odzyskałem! – pocałował ją czule.

– Kocham Cię... – odparła mu i umarła.

To wydarzenie sprawiło, że odzyskał pamięć. Kobieta, którą kochał zmarła. Śmierć przychodziła zawsze w najmniej spodziewanym momencie. Kiedyś mędrzec rzekł: „Nikt nie zna dnia, ani godziny”. Czas zasklepi nowo powstałą ranę mężczyzny, lecz nigdy jej nie uleczy. Jakże dziwna była istota czasu. W jednej chwili człowiek cieszył się ze spotkania z ukochaną, a nagle w drugiej już był pogrążony w żałobie po jej śmierci. Dziwne było to jak istoty myślące nie szanowały tego co miały. Pewien pisarz pochodzący z Ralltiir w jednym z wierzy zawarł pewną uniwersalną złotą myśl: „Nikt nie dostrzeże prawdziwej wartości tego co ma dopóki tego nie straci”. Rutra'Dik przytulił nieżywą kobietę i wydał z siebie jakby zwierzęcy krzyk. Potem już było tylko słycać smutny płacz.

Arnit dotarł w końcu na Coruscant. Nie wiedział gdzie iść najpierw. „Czy iść powiadomić Rade Jedi o Sithcie czy iść tam gdzie ślepiec mówił? – zastanawiał się. Poddał się Mocy i szedł tam gdzie ona go kierowała. Po jakimś czasie dotarł do wysokiego piętra jakiegoś budynku. Zatrzymał i wyjrzał przez szybę na taras. Dostrzegł kobietę o płomiennie rudych włosach majstrującą przy karabinie snajperskim najnowszej generacji. Spojrzał przez okno po lewej jego stronie i dostrzegł, że na niższym piętrze przeciwległego budynku stoi Senator. Nie widział dokładnie kto to. „Ona chce zabić Senatora” – pomyślał. W tej samej chwili zdecydował się działać. Dostrzegł, że kobieta zamierza właśnie wystrzelić. Zapalił miecz świetlny i wybiegł krzycząc. Zaskoczona skrytobójczyni wzięła karabin i skierowała go w stronę Arnita. Mimowolnie wystrzeliła posyłając niebieską nitkę śmierci wprost w jego klatkę piersiową. Jedi poczuł strzał, lecz biegł dalej chwytając napastniczkę i skacząc z tarasu.

– Zginiemy razem – wycedził do niej.

Wbił jej miecz świetlny w korpus pozbawiając ją życia. Wiedział, że za chwilę umrze.

Spadając dostrzegł, że Senator, którą uratował to kobieta. Nie rozumiał nigdy swojego przeznaczenia, ani swoich snów, lecz był pewien, że postąpił dobrze. Przeżył upadek, lecz powstał. Postąpił tak jak prawdziwy Jedi. Bezinteresownie uratował inne życie. Ślepiec wmawiał mu, że Jedi to maszyny. To, iż kontrolują swoją emocje sprawia, że ich nie odczuwają. Poniekąd miał rację, lecz ogólnie mylił się. Jedi to istoty myślące i czujące tak jak inne. Niestety większość myśli o Jedi jako o prawie Bogach o niesłychanych zdolnościach i nieskazitelnych charakterach. Prawda była taka, że

mieli oni słabości tak jak inni. Czuli tak samo... krwawili kiedy się ich zraniło... Płakali gdy byli smutni... Pragnęli... Marzyli... Jedi nigdy nie byli ideałami doskonałości. Byli zwykłymi istotami o niezwykłych umiejętnościach. Wiedział, że popełnił wiele błędów i żałował ich bardzo, lecz zaraz umrze.

Zobaczy ukochaną Anelim. Miłość uczucie, które nigdy żaden Jedi nie powinien znać ani zgłębiać, a zwłaszcza uczeń nie potrafiący kontrolować swoich emocji. Nikt nie znał swojego przeznaczenia. Arnit miał to szczęście w nieszczęściu, że poniekąd je znał. Był częścią gry w której ślepy los w raz z innymi grali tworząc to co nazywamy życiem. Zabił niewinną osobę w postaci Anelim. Głos nagle w umyśle zaczął mu mówić: „Urodziłeś się, że umrzeć po to aby oni się narodzili. Spełniłeś swoje przeznaczenie”. Nie wiedział o co dokładnie chodzi i jaką rolę w tym wszystkim odegrają jej dzieci, ale cieszył się, że tak postąpił. Wywnioskował, że słowo „aby oni się narodzili” a uratował Panią Senator to odwoływało się do jej potomstwa.

Pani senator stała na tarasie i przeraziła się jak dostrzegła dwójkę istot skaczących z tarasu. Nagle na taras weszła druga postać.

– Senator Padme? Co się stało? – zaczęła kobieta.

– Powiadom służby medyczne. Ktoś skoczył z pobliskiego tarasu – odparła kobieta ze smutkiem.

– Och... Już wzywał Pani.

– Idę odpocząć – odrzekła Padme Amidala.

Arnit upadł nie jako Jedi wyidealizowany przez społeczeństwo, lecz upadł na dno swojego życia jako człowiek. W chwili gdy zabił kobietę która kochał nastąpił ostateczny Upadek Jedi... Upadek Człowieka... Wiedział, że śmierć nie będzie dla niego końcem, lecz całkiem nowym początkiem. W chwili gdy dolatywał do dna i miał za chwilę umrzeć przyszła mu do głowy jedna myśl. „Nie ma śmierci... Jest Moc...”